



Na górze cisza

Gerbrand Bakker

W
ab
Tura

Gerbrand Bakker

Na górze cisza

przełożyła Jadwiga Jędryas

wydawnic
ab
two



I

1

Wyniosłem ojca na górę. Posadziłem go na krześle, a potem rozłożyłem łóżko na części. Siedział na krześle jak parominutowy cielak, jeszcze zanim wyliże go matka: z niekontrolowane rozchybotaną głową i oczami, które prześlizgują się po przedmiotach. Zdarłem z materaca pościel, prześcieradło i ochraniacz, sam materac i poprzeczki stelaża łóżka oparłem o ścianę, a szczyty stelaża odłączyłem od boków. Próbowałem w miarę możliwości oddychać przez usta. Pokój na górze – mój pokój – opróżniłem już wcześniej.

– Co robisz? – zapytał.

– Przeprowadzasz się – odpowiedziałem.

– Chcę zostać tutaj.

– Nie.

Pozwoliłem mu zatrzymać łóżko. Jedna jego połowa już od przeszło dziesięciu lat pozostaje zimna, ale na pustym miejscu wciąż królują poduszki. W pokoju na górze ponownie skręciłem łóżko: tył i szczyt do boków. Pod nogami umieściłem podkładki. Założyłem czyste powłoczki na poduszki i zaścieliłem łóżko świeżą pościelą. Potem ruszyłem z ojcem po schodach. W chwili, w której uniosłem go z krzesła, wbił we mnie wzrok i nie oderwał go aż do momentu, kiedy położyłem go do łóżka, a nasze twarze prawie się ze sobą zetknęły.

– Sam umiem chodzić – dopiero wtedy oświadczył.

– Nie, nie umiesz – odparłem.

Przez okno zobaczył rzeczy, których się nie spodziewał.

– Wysoko leżę – stwierdził.

– Tak. Będziesz mógł teraz wyglądać na dwór i widzieć więcej niż tylko niebo.

Cuchnie stęchlizną pomimo zmiany pomieszczenia i odświeżenia pościeli; on cuchnie stęchlizną i wilgocią. Uchyliłem jedno z dwóch okien i zablokowałem haczykiem. Na zewnątrz panował trzaskający mróz i spokój, jedynie na najwyższych gałęziach krzywej osiki w ogrodzie od ulicy wisało parę pogniecionych liści. W oddali dostrzegłem dwóch rowerzystów przejeżdżających groblą. Gdybym zrobił jeden krok w bok, on też mógłby ich zobaczyć. Nie ruszyłem się.

– Wezwij lekarza – odezwał się ojciec.

– Nie – odpowiedziałem. Odwróciłem się i wyszedłem z pokoju.

Na moment przed tym, jak zamknąłem za sobą drzwi, krzyknął:

– Owce!

W jego poprzedniej sypialni na podłodze zalegał kurz, zajmując powierzchnię nieco mniejszą od prostokątnego łóżka. Opróżniłem sypialnię – dwa krzesła, szafki nocne, toaletkę matki wyniosłem do salonu. Pod wykładzinę w kącie pokoju wcisnąłem dwa palce. „Nie przyklejaj” – przypomniało mi się, jak wielu temu zastrzegła matka dokładnie w chwili, kiedy ojciec ze słoikiem kleju w prawej dłoni i z pędzlem do kleju w lewej zamierzał uklęknąć, a my już zdążyliśmy nawdychać się ostrych wyziewów. „Nie przyklejaj, bo za dziesięć lat chcę nową wykładzinę”. Teraz jej spód kruszył mi się w palcach. Zrolowałem ją i wyniosłem na zewnątrz, gdzie – stanąwszy na środku podwórza – nie wiedziałem, co z nią począć. Wypuściłem rulon z rąk, tak jak stałem. Nadspodziewanie głośne uderzenie wystraszyło parę kawek, które poderwały się z drzew okalających podwórze.

Podłogę w sypialni wyłożono płytami pilśniowymi, szorstką stroną na wierzch. Szybko przejechałem po nich odkurzaczem, a potem – bez przecierania papierem ściernym za pomocą szerokiego płaskiego pędzla zamalowałem je ciemnoszarą farbą do podłóg. Gdy kończyłem malować ostatnie płyty przy drzwiach, zauważyłem owce.

Siedzę teraz w kuchni, czekając, aż podłoga wyschnie. Dopiero wtedy będę mógł zdjąć ze ściany ponury obraz przedstawiający parę czarnych owiec. Skoro chce patrzeć na owce, wbiję gwóźdź w ścianę przy oknie i zawieszę mu obraz. Drzwi kuchenne są otwarte i drzwi do pokoju też; z miejsca, w którym siedzę, rozróżniam majaczący za toaletką i dwiema szafkami nocnymi obraz, ale jest już tak ciemno i niewyraźnie, że choć wysilam wzrok, nie mogę dopatrzeć się na nim owiec.

Pada, a silny wiatr zdmuchnął z osiki ostatnie liście. Listopad nie jest już ani chłodny, ani rześki, przestał być też spokojny. Sypialnia rodziców stała się teraz moją. Pobeliłem ściany i sufit i drugi raz zagruntowałem płyty pilśniowe podłogi. Krzesła, toaletkę matki i dwie szafki nocne wyniosłem na górę. Jedną szafkę postawiłem obok łóżka ojca, a resztę rzeczy wstawiłem do pustego pokoju obok jego sypialni. Do pokoju Henka.

Krowy już od dwóch dni stoją w oborze. W czasie dojenia robi się nerwowo.

Gdyby okrągła pokrywa cysterny mleczarskiej była otwarta, dziś rano wytrysnęłaby z niej jak z gejzera połowa mleka, tak gwałtownie kierowca hamował przed zrolowaną wykładziną, która wciąż leży na podwórzu. Kiedy wszedłem do zlewni, stał, przeklinając cicho pod nosem. Kierowców cysterny jest dwóch, to był ten starszy, ponury. Wydaje mi się, że jest mniej więcej w moim wieku. Jeszcze parę lat kursowania, a potem emerytura.

Moja nowa sypialnia, nie licząc łóżka, jest zupełnie pusta. Zamierzam pomalować jeszcze stolarkę – listwy przypodłogowe, framugi okienne i drzwi. Być może na ten sam kolor co podłogę, ale jeszcze nie zdecydowałem. W głowie mam niebieskoszary kolor jeziora IJssel w słoneczny dzień, gdy w oddali zbierają się chmury burzowe.

To musiał być koniec lipca, początek sierpnia, gdy przepływali tędy kajakami dwaj chłopcy. Nieczęsto się to zdarza, szlaki kajakarskie omijają moje gospodarstwo. Docierają tutaj tylko co ambitniejsi kajakarze. Ci obnażyli swoje torsy; było ciepło, mięśnie ich ramion i barków lśniły w świetle słońca. Stałem przed domem, trochę z boku, niewidoczny, i zauważyłem, że próbują się nawzajem wywrócić. Wiosła pluskały w wodzie wśród nenufarów. Przedni kajak ustawił się w poprzek kanału i utknął czubkiem w brzegu. Jeden z chłopców spojrzał w moim kierunku.

– Popatrz no tylko – zwrócił się do drugiego, piegowatego rudzielca z opalonymi na czerwono ramionami. – Dla tego gospodarstwa czas się zatrzymał. Leży sobie przy tym szlaku, ale równie dobrze mógłby to być rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy albo tysiąc dziewięćset trzydziesty.

Rudy chłopak przyjrzał się uważnie mojej zagrodzie, drzewom, kawałkowi ziemi, na której akurat pały się osły. Nadstawiłem uszu.

– Tak – odezwał się po kilku chwilach – i te osły, one dopiero są archaiczne.

Chłopiec w przednim kajaku wyswobodził się z brzegu i ponownie obrócił dziób w kierunku jazdy. Powiedział coś do towarzysza, coś, czego nie rozumiałem, bo właśnie krwawodziób zaczął swoje trele. Późny krwawodziób; przeważnie z końcem lipca nie ma tu już ani jednego. Rudy chłopak ruszył powoli śladem kolegi; wciąż nie spuszczał wzroku z moich dwóch osłów. Nie miałem dokąd się ruszyć – z bocznej, pustej strony domu nie było nic, czym mógłbym się zająć. Stałem tak nieporuszony, wstrzymując oddech.

Zobaczył mnie. Pomyślałem, że odezwie się do drugiego chłopca – jego usta się rozchyliły i odwrócił głowę. Jednak nic nie powiedział. Patrzył i nie zdradził przyjacielowi mej obecności. Po jakimś czasie wpłynęli w kanał opperwoudzki, a masa rozerwanych żółtych nenufarów zwarła się za nimi na nowo. Wyszedłem na drogę, by odprowadzić ich wzrokiem. Po paru minutach nie mogłem już dosłyszeć ich głosów. Odwróciłem się i spróbowałem popatrzeć na moją zagrodę ich oczami.

–Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy rok – mruknąłem i pokręciłem głową.

Dlaczego właśnie ten rok? Jeden chłopak wymówił rok, drugi – piegowaty ze spalonymi ramionami – go dojrzał. Był to bardzo gorący dzień, popołudnie, zbliżała się pora zaganiania krów. Nieoczekiwanie poczułem ciężar własnych nóg i popołudnie stało się bez wyrazu, puste.

Wciągnięcie stojącego zegara po schodach to piekielnie trudne zadanie. Wykorzystuję do tego długie, gładkie deski, kapy i kawałki gumowej pianki. W szafce zegara brzęczy i postukuje. Jego tykanie doprowadzało mnie do szału, a z drugiej strony zatrzymywanie go na noc wymagało zachodu. W połowie schodów muszę odpocząć parę chwil. Może jego tam, na górze, też doprowadzi do szału, choć oczywiście wciąż ma ten swój obraz z owcami, który pozwala mu się uspokoić.

– Zegar? – mówi, gdy wchodzę do sypialni.

– Tak, zegar.

Ustawiam go tuż za drzwiami, naciągam wahadła i popycham wskazówkę. Momentalnie pokój wypełnia się czasem, oddalającym się powoli w rytmie tykania. Kiedy się zamknie drzwi, ojciec widzi, która jest godzina. Rzuciwszy okiem na tarczę zegarową, oznajmia:

– Głodny jestem.

– Ja też czasem jestem głodny – odpowiadam.

Zegar spokojnie tyka dalej.

– Zastony są zaciągnięte – odzywa się nagle.

Podchodzę do okna i rozsuwam zastony. Już nie pada, a wiatr trochę przycichł. Woda w kanale stoi wysoko i przelewa się przez groblę.

– Muszę iść do wiatraka – mówię do siebie i do szyby. Może nawet do ojca.

– Co?

– Nic.

Uchylam okno i zaczepiam haczyk, myśląc o pustym miejscu w salonie.

W kuchni smaruję sobie parę kromek masłem i kładę na nich ser. Pochłaniam chleb, ledwie mogę się doczekać. Kiedy kawa wciąż jeszcze przecieka przez ekspres, już stoję w salonie. Jestem sam, będę to musiał zrobić sam. Kanapę przesuwam na jednej z kap, których użyłem do wniesienia zegara. Ciągnę ją przez sień do komory. Dwa fotele przenoszę przez drzwi wyjściowe na zewnątrz i stawiam przy drodze. Resztę rzeczy również przenoszę do komory. Komodę muszę najpierw zupełnie opróżnić, zanim udaje mi się ją przesunąć.

Wtedy wreszcie jestem w stanie wcisnąć palce pod wykładzinę. Ta była droższa, nie kruszy się pod palcami. Kiedy ją zwijam, zastanawiam się, czyby nie zostawić kawałka dywanu, czy jeszcze mi się do czegoś przyda. Nic mi nie przychodzi do głowy. Rolka jest zbyt ciężka, by ją podnieść, ciągnę ją po żwirowej ścieżce i mostku w kierunku drogi. Kiedy wracam, mój wzrok pada w sieni na telefon. Dzwonię do gminy, by zawiadomić, że mam do wywiezienia odpady o dużych gabarytach. Kawa paruje na podgrzewającej płytce ekspresu.

Po drodze do wiatraka obserwuję, co już w minionych dniach widziałem, a co budzi mój niepokój. Chmarę ptaków, które nie zmierzają z północy na południe, ale rozlatują się we wszystkie strony świata i nie przestają krążyć. Słychać jedynie łopot ich skrzydeł. Chmarę tworzą ostrygojady, wrony i mewy. Właśnie to jest dziwne, jeszcze nigdy nie widziałem, by te trzy gatunki ptaków latały razem. Jest w tym coś złowieszczonego. Czy może już wcześniej je widziałem, lecz nie odczułem z tego powodu niepokoju? Wpatrując się dłużej, dostrzegam, że to cztery gatunki – pomiędzy dużymi mewami srebrzystymi latają też sporo mniejsze mewy śmieszki. Przelatują między sobą w tę i w tę, nie tworzą oddzielnych grup; sprawiają wrażenie zdezorientowanych.

Wiatrak to mały żelazny model firmy Bosman. Po jednej stronie jego żelaznego ogona widnieje napis „Bosman Piershil”. Po drugiej stronie – „NL nr 40832”. Dawniej myślałem, że to numer egzemplarza, ale okazało się, że patentu. Ten typ wiatraka na polderach sam szuka wiatru, kiedy ogon ustawia się prostopadle do ramion, i dopóty się kręci i pompuje wodę, dopóki nie złoży się go wzdłuż szyny prowadzącej, by znalazł się równoległe do skrzydeł. Teraz jednak rozkładam ogon za pomocą pręta przymocowanego w tym celu do końca ogona. To wspaniały smukły wiatraczek; ma w sobie coś amerykańskiego. Właśnie z powodu tej inności i tego, że dno kanału jest wybetonowane, a także dlatego, że tak bardzo lubiliśmy zapach smaru, dawniej często przychodziliśmy pod niego z Henkiem w lecie. Tutaj było inaczej. Co roku z Bosmana przyjeżdżał pracownik, by sprawdzić wiatrak, i nawet teraz, choć minęły lata, odkąd po raz ostatni pojawił się tu przedstawiciel Bosmana, wciąż wszystko w wiatraku chodzi jak w zegarku. Przyglądam się jeszcze chwilę, jak woda kipi w kanale.

Wracam, nadkładając drogi, i liczę owce. Wciąż są wszystkie. Wszystkie dwadzieścia trzy plus tryk. Zady samic są czerwone; niedługo zabiorę tryka. Z początku rozbiegają się przede mną, ale gdy podchodzę bliżej do ogrodzenia od strony grobli, ruszają za mną. Staję

tuż przy ogrodzeniu. Zatrzymują się w odległości jakichś dziesięciu metrów ode mnie. Stoją w szeregu i wszystkie na mnie patrzą, z baranem o kwadratowym łbie pośrodku. Czuję się niezręcznie.

Na podwórzu widzę nasiąkniętą deszczem wykładzinę i postanawiam i ją przenieść na pobocze drogi.

Zanim pójde wydoić krowy, jeszcze chwilę grabię żwirowe ścieżki w ogrodzie od frontu. Powoli zapada zmierzch. Dwaj chłopcy z sąsiedztwa, Teun i Ronald, siedzą pod wykładziną – drogą wykładziną – którą częściowo rozwinęli i zarzucili na dwa krzesła. Dzień czy dwa dni temu zjawili się koło siódmej wieczorem we frontowych drzwiach. Trzymali w górze wydrążone czerwone buraki cukrowe i fałszując, śpiewali jakąś piosenkę. W delikatnej poświacie bijącej od buraków ich rozemocjonowane twarze były jeszcze bardziej czerwone. Dałem im po batoniku Mars. Teraz każdy z nich ma ze sobą latarkę.

– Hej, Helmer! – wołają przez dziurę, którą wycięli – nożem? – w wykładzinie. – To nasz domek!

– Piękny! – odkrzykuję, opierając się na grabiach.

– I mamy też światło!

– Widzę.

– I tutaj jest powódź!

– Woda już opada! – uspokajam ich,

– Będziemy tu spać.

– Chyba nie – mówię.

– Chyba tak – odpowiada Ronald, młodszy.

– Coś mi się nie wydaje.

– Za chwilę pójdziemy do domu – słyszę, jak Teun wyjaśnia cicho bratu. – Nie mamy tutaj nic do jedzenia.

Patrzę w górę, na okno sypialni ojca. Jest już ciemne.

– Chcę, żeby przyszedł Mikołaj – mówi.

– Mikołaj? – Po śmierci matki w tym domu przestało się obchodzić mikołajki. –
Dlaczego?

– Bo to miłe.

– A jak to sobie wyobrażasz?

– No, normalnie – odpowiada.

– Normalnie? Skoro chcesz, żeby przyszedł Mikołaj, musisz kupić prezenty.

– No.

– Aha. A jak je chcesz kupić?

– Tyje musisz kupić.

– Dla siebie też?

– Tak.

– To już wiem, co dostanę.

Nie zamierzałem tak długo z nim rozmawiać. Chciałem tylko na chwilę zajrzeć i szybko zniknąć. Tykanie stojącego zegara wypełnia pokój. Czworobok światła słonecznego w kształcie okna pada na szafę, a światło odbija się od obrazu z owcami, który teraz wygląda mniej ponuro. Dziwny obraz. Czasem wygląda, jakby przedstawiał zimą, innym razem lato lub jesień.

Kiedy mam zamknąć za sobą drzwi, woła:

– Pić.

– Mnie też się czasem chce pić. – Zdecydowanym ruchem zamykam za sobą drzwi i schodzę po schodach.

Tylko kanapa powróciła do salonu. Na najniższej półce wbudowanej bieliźniarki w mojej sypialni znalazłem duży kawał tkaniny. Może to kupon materiału, z którego matka zamierzała uszyć sukienkę, choć jest na to raczej za duży. Ładnie wygląda na kanapie. Podłoga jest pomalowana na szaro; gdy drzwi sypialni są otwarte, kolor gładko przepływa ponad pomalowanym tak samo progiem. Komoda stanęła w innym miejscu, puste regały na

książki – na górze. Wszystkie kwitnące rośliny doniczkowe wyrzuciłem na kompost. Niewiele się ostało. Jak pojedę po farbę, będę musiał poszukać żaluzji albo rolet; na widok ciężkich ciemnozielonych zastan w sypialni i salonie brakuje mi tchu i mam niejasne poczucie, że nie wynika to tylko z tego, iż już od lat nie były trzepane. Resztę zawartości wbudowanej bieliźniarki w sypialni przenieśliśmy na górę, a własne ubrania zniósłem na dół.

Kręcą się tu koty. Dzikie koty przybłądy. Czasem pojawiają się trzy lub dwa, parę miesięcy później jest ich dziewięć lub dziesięć. Niektóre kuleją lub brakuje im ogona, inne (większość właściwie) są wyliniate. Zupełnie nie można się połapać, ile ich jest, więc się człowiek nie dziwi, gdy napotyka ich dziesięć, a tym bardziej dwa. Ojciec rozwiązywał problem kotów w ten sposób, że wrzucał miot do jutowego worka, dokładał kamień i ciskał worek do kanału. Dawno temu wsadzał do worka jeszcze jakiś gałgan, który moczył w płynie stojącym w szafce na trucizny. Nie wiem, co to był za płyn. Chloroform? Jak mógł jednak zdobyć butelkę chloroformu? Trzydzieści lat temu można było go zwyczajnie kupić? W stodole wisi srebrzystoszara szafka z trupa czaszką i skrzyżowanymi piszczelami i od lat nie ma już w niej żadnej trucizny. Ja trzymam w niej farby.

Zeszłej wiosny zobaczyłem, jak obchodzi stodołę z miseczkami mleka. O nic nie zapytałem, tylko głęboko westchnąłem, na tyle głęboko, żeby to usłyszał. W ciągu paru dni doprowadził do tego, że młode kociaki, wszystkie razem, piły z jednego spodeczka. Wyłapał je i wsadził do worka. Nie jutowego – tych już nie mieliśmy. Był to papierowy wór po paszy. Mniej więcej metrowym sznurkiem przywiązał worek do tylnego zderzaka opla kadetta.

Siedem lat temu przeszedł egzamin – musiał przedłużyć prawo jazdy. Nie poszło mu w wielu testach i go nie zdał. Od tej pory nie mógł prowadzić. A mimo to wgramolił się do auta. Drzewa okalające podwórze spowijała zielona poświata, a wokół pni kwitły narcyzy. Stałem w drzwiach stodoły i przyglądałem się, jak zapala samochód, który natychmiast wyrwał do przodu, aż wcisnęło go w fotel i uderzył głową o kierownicę. Następnie ruszył przed siebie, nie zaglądając przez ramię ani w lusterko wsteczne. Przez jakiś czas to powtarzał – podjeżdżał do przodu, wrzucał wsteczny (skrzynia biegów jęczała) i cofał, lekko kręcąc przy tym kierownicą. Do przodu, do tyłu i jeszcze raz, i jeszcze raz, aż chmura spalin zawisała między drzewami. Wylazł z samochodu, zdecydowanym ruchem odwiązał worek i chciał go rzucić na kupę gnoju. Aż trzy razy musiał podnosić worek z ziemi, by to zrobić – nie miał już dość siły w ramionach, by odpowiednio mocno się zamachnąć.

– I po krzyku – powiedziały, kiedy wkraczał do stodoły.

Wytał sobie czoło i zatarł dłonie w geście „no to mamy święty spokój”, co wywołało szorstki odgłos.

Chwilę trwało, nim ruszyłem się z miejsca. Powoli zbliżyłem się do gnojowiska. Worek wcale nie leżał na wierzchu, zsunął się i wynikło to nie tylko z siły ciężenia, ale ruchów w środku. Słysząc było cichuteńkie popiskiwania i ledwie słyszalne drapanie. Ojciec pokpił sprawę, a ja mogłem to naprawić. Olałem to. Odwróciłem się i odszedłem na tyle daleko od gnojowiska, by nic więcej nie słyszeć, i pozostałem tam, dopóki wszystkie dźwięki i ruchy nie ustały.

Chce obchodzić Mikołaja, „bo to miłe”.

Nie wiem, o co tu chodzi, ale teraz z gałęzi na nagiej osice gapi się na mnie wrona siwa. Nigdy wcześniej nie widziałem tutaj wrony siwej. Jest piękna, ale naprawdę zaczyna grać mi na nerwach – ledwie potrafię przełknąć kęs. Przesiadam się na miejsce z widokiem na boczne okno. Wokół stołu stoją cztery krzesła i mogę usiąść, gdzie chcę, pozostałe trzy są nieużywane.

Zawsze siadam na tym, na którym dawniej siedziała matka, na krześle stojącym najbliżej zlewu. Ojciec siedział naprzeciw niej, plecami do okna od frontu. Henk siedział plecami do bocznego okna i mógł zaglądać do salonu, gdy drzwi były otwarte. Ja siedziałem plecami do drzwi kuchennych i często, z powodu światła, które wpadało przez okno zza Henka, widziałem tylko kontur jego postaci. Nie miało to znaczenia – naprzeciw mnie siedziała wierna kopia mnie samego i bardzo dobrze wiedziałem, jak wygląda. Wylądowałem więc znowu na swoim starym miejscu przy stole kuchennym i to mi nie leży. Wstaję, przesuwam talerz na drugą stronę stołu i siadam na krześle Henka. Teraz znowu jestem na widoku wrony siwej, która obraca swój łeb, by mnie lepiej dojrzeć. To jej gapienie się przypomina mx owce, które parę dni temu – wszystkie dwadzieścia cztery – wbiły we mnie wzrok. Ogarnęło mnie uczucie, jakby owce były mi równe, jakby to już nie zwierzęta się we mnie wpatrywały. Nigdy wcześniej nie miałem takiego poczucia – nawet przy moich dwóch osłach. A teraz ta dziwna wrona siwa. Odsuwam krzesło, przechodzę przez sień do wyjścia i wstępuję na żwirową ścieżkę.

– A sio! – wołam. Wrona lekko przekrzywia łeb i przestawia jedną łapę. – Uciekaj! – krzyczę i dopiero wtedy rozglądam się spłoszony.

Cudaczny, podstarzały rolnik wrzeszczy na coś niewidzialnego przed otwartymi na oścież drzwiami.

Wrona siwa gapi się na mnie pogardliwie. Zamykam drzwi. Gdy w sieni powraca cisza, słyszę, jak ojciec coś mówi na górze. Otwieram drzwi na klatkę schodową.

– Co mówisz? – wołam.

– Wrona siwa – odkrzykuje.

– No i? – krzyczę.

– Dlaczego ją odganiaasz?

Głuchy w każdym razie nie jest. Zatrzaszkuję drzwi na klatkę schodową i siadam znów za stołem, na miejscu ojca, plecami do frontowego okna. Niewzruszony przeżuвам chleb, starając się nie rozumieć słów ojca, który zwyczajnie gada dalej.

W ciągu dziesięciu minut zająłem miejsce na każdym z krzesel. Gdyby ktoś mnie obserwował, pomyślałby, że próbuję być tą czwórką, by nie musieć jeść samotnie.

Zanim pomalowałem stolarkę, pobeliłem ściany i sufit w salonie. Potrzebne były dwie warstwy farby, by pokryć białe prostokąty, które się ukazały po zdjęciu obrazów, zdjęć i haftowanych metryczek. Po tym, jak kupiłem farbę i nowy pędzel u malarza, zajrzałem do Castoramy, gdzie znalazłem drewniane żaluzje, które dokładnie pasują do okien w salonie i sypialni. Najwyraźniej wciąż aktualne są rozmiary, które obowiązywały pięćdziesiąt lat temu. Zanim je zamontowałem, zdjąłem z parapetów pozostałe rośliny doniczkowe i wyrzuciłem je na gnój. Teraz w obu pomieszczeniach jest pusto i szaroniebiesko, a światło wpada do środka w postaci poziomych pasów. Rano nie podnoszę żaluzji do góry tylko ustawiam listewki pod odpowiednim kątem.

Wspinam się po schodach z pudełeczkiem pełnym gwoździ, młotkiem i dużą ciężką skrzynką na ziemniaki.

– Co robisz? – pyta ojciec.

Wyjmuję po kolei ze skrzynki wszystkie obrazki, zdjęcia i wyhaftowane metryczki i zaczynam je rozwieszać.

– Uważasz, że Mikołaj jest miły – mówię – a to też jest miłe.

– Co tam słyhać na dole?

– Co niemiara – odpowiadam.

Wokół obrazu z owcami wieszam pierwsze zdjęcia, ale niebawem muszę przenieść się na drugą ścianę, Oprawione zdjęcie matki i Henka, krów olimpijek z rozetami (sto tysięcy litrów mleka), dziadków i mnie, metryczki naszych narodzin (nie jedna, ale dwie) i ślubu ojca i matki. Wśród obrazków znajduje się sześć przedstawiających grzyby, prawdziwa seria akwareli.

– Po co to? – pyta ojciec,

– Masz teraz na co patrzeć – mówię.

Gdy wszystko już wisi, jeszcze raz przyglądam się uważnie zdjęciom. Jedno przedstawia

matkę siedzącą na krześle z podłokietnikami. Spoczywa w nim jako szacowna niewiasta, skromnie zwierając nogi, które nieznacznie przechyla w jedną stronę, przez co górna połowa jej ciała jest lekko skręcona, dłonie wstydliwie zwinięte na podołku. Patrzy na fotografa w sposób, który zupełnie do niej nie pasuje. Trochę uwodzicielsko i jednocześnie wyniośle, a wrażenie to jeszcze podkreślają te odgięte w bok nogi. Zdejmuję zdjęcie ze ściany i wkładam do pustej skrzynki po ziemniakach, razem z gwoźdźmi i młotkiem.

- Zostaw ją tutaj – odzywa się ojciec.
- Nie – mówię. – Zabieram ją ze sobą na dół.
- Są mandarynki?
- Chcesz mandarynki?
- Tak.

Odginam nóżkę ramki zdjęcia i stawiam matkę na kominku. Potem idę do bocznej kuchni po dwie mandarynki i niosę je na górę. Kładę je na szafce nocnej i podchodzę do okna. Wrona siwa wciąż siedzi na osice – widziana z tego okna zdaje się znajdować na tej samej wysokości co ja.

- Czy ta wrona na ciebie patrzy? – pytam.
- Nie – odpowiada ojciec. – Patrzy trochę niżej.

Nagle przypomina mi się, o czym zapomniałem. Schodzę na dół i wchodzę do kuchni. W kącie, obok biurka, stoi dubeltówka ojca. Podnoszę ją, zastanawiając się, czy jest naładowana. Nie sprawdzam. Dziwnie się czuję, trzymając ją w ręku. Dawniej nie wolno nam jej było dotykać, potem sam nawet nie chciałem. Wnoszę strzelbę na górę i opieram o bok stojącego zegara. Ojciec zasnął. Leży na wznak, głowa opadła mu na bok, strużka śliny spływa na poduszkę.

Matka była niebywale brzydką kobietą. Dla kogoś, kto jej nie znał, zdjęcie na kominku prawdopodobnie przedstawia pocieszny widok: kościstą chłopkę o wylupiających oczach i fryzurze w stylu „raz na kwartał do fryzjera”, usiłującą przybrać dystygowaną pozę. Mnie zdjęcie nie bawi. To moja matka. Zastanawia mnie jednak, dlaczego ojciec, który, o ile nie śpi, z pewnością kontempluje atrakcyjny wizerunek samego siebie na zdjęciach sprzed lat – ją poślubił. A raczej – jako że już parę dobrych chwil przypatruję się jej zdjęciu i myślę o mężczyźnie na górze – zastanawia mnie, dlaczego to ona za niego wyszła.

Na kominku z czarnego marmuru poza tym nie zostało już wiele. Lichtarz z brązu z jedną białą świecą i stary pojemnik na rysiki z wymalowaną krową rasy lakenvelder z charakterystycznym białym pasem biegnącym przez brzuch. Wszystkie inne drobiazgi znajdują się w pudle, które wylądowało w pokoju Henka razem z resztą zbędnych rzeczy. Pokój Henka zmienił się w przechowalnię. Obok jego łóżka, które nigdy nie służyło za gościnne, stoją i spoczywają przeróżne rupiecie, których on nigdy nie zobaczył ani nie poznał; jego sypialnia przeobraziła się w jedną wielką galerię przeszłości, a wciąż żywy okaz muzealny w pokoju obok ciągle jeszcze uparcie oddycha. Oddycha i gada. Nawet teraz, tutaj, słyszę jego mamrotanie. Przemawia do wrony? Do zdjęć czy do sześciu akwarelowych grzybów?

Henk i ja urodziliśmy się w 1947 roku; jestem o parę minut starszy. Z początku myślano, że nie dożyjemy następnego dnia (24 maja), ale matka nigdy w nas nie zwątpiła. „Kobiety są stworzone do tego, by mieć bliźniaki”, miała wygłosić, gdy po raz pierwszy przystawiono jej nas do piersi. Nic a nic w to nie wierzę; to jedno z tych stwierdzeń, które wylaniają się z ogółu wydarzeń i spostrzeżeń (oczywiście w tamtym okresie wypowiedziano wiele innych rzeczy), a które w miarę upływu czasu jako jedyne się ostają, podczas gdy najprawdopodobniej jest ono przeinaczeniem jakiejś wypowiedzi ojca lub lekarza domowego. Sama matka nie powiedziałaaby za wiele. Pamiętam coś, czego nie mogę pamiętać. Widzę jej twarz od dołu, ponad świetlistym, miękkim wybrzuszeniem. Brodę i przede wszystkim jej lekko wylupiające oczy, które nie są zwrócone na mnie, ale na jakiś punkt w oddali – na nic konkretnego, na pole, być może groblę. Jest lato i moje stopy czują dotyk innych stóp. Matka była małomówną kobietą, ale widziała wszystko. Ojciec gadał –

i ledwie co dostrzegał. Przez życie torował sobie drogę krzykiem.

Ktoś puka w okno. W ogrodzie od frontu Teun i Ronald krzyczą i machają rękami. Podchodzę do drzwi.

– Helmer! Osły się zerwały! – ogłasza Ronald tonem, w którym słyszę, że marzyłby o tym, by osły zrywały się codziennie.

– Ciągłe są na podwórzu – dodaje Teun tonem, w którym słyszę, że sam też usłyszał to, co jego braciszek rzeczywiście miał na myśli.

Chłopcy biegną przede mną, skręcają za róg domu.

– Spokojnie! – wołam za nimi.

Osły sterczą między drzewami, jakieś pięć metrów od uchylonej bramy. Sznurek, który zwykle utrzymuje bramę w takiej pozycji, by stykała się z betonowym słupem, zwisa luźno. Zgaduję, co się wydarzyło.

– Dobra – stwierdzam. – No to teraz zaprowadźcie je z powrotem na wybieg.

– My? – nie dowierza Ronald.

– Tak, wy.

– Czemu?

– Temu.

Teraz, gdy osły chodzą wolno, Teun i Ronald nagle zaczynają się ich bać. To tak jak z kranem: gdy jako dziecko się go odkręci, wydaje się miły i przyjemny do chwili, kiedy wpada się w panikę na widok bezmiaru wody, która się z niego leje, i nie ma się pojęcia, jak by to ustrojstwo z powrotem samemu zakręcić.

– Temu? – powtarza Teun. – A co to znaczy?

– To znaczy – odpowiadam – że wiem, że to ty otworzyłeś tę bramę, bo ci się nie chciało przez nią przechodzić, i że Ronald przylaźł za tobą, i jeszcze szerzej ją otworzył.

– No – przyznaje Ronald.

Teun patrzy na niego ze złością.

– Do roboty – mówię. – Pchać.

– Pchać? Bramę?

– Nie, osły. – Podchodzę spokojnie do bramy, pociągamy za nią i otwieram na całą szerokość.

Chłopcy nie ruszają się z miejsc i patrzą na mnie z niedowierzaniem i lekkim strachem.

W zimie osły często przez długi czas przebywają w swojej stajni, obok kurnika. Osły nie cierpią mieć mokrych kopyt. W boksie jest sucho, a na ziemi leży warstwa słomy. Pomieszczenie ma sześć metrów długości i pięć szerokości. Jest otwarte od frontu i wyposażone w okap. Osły mają boks cztery metry na pięć metrów, a na pozostałych dwóch metrach, z przodu, leżą bele siana i stoi wór owsa. Zwykle w skrzynce przechowują parę buraków cukrowych i marchewek. Na półce leżą: duży nóż, zgrzebło, nóż kowalski, tarnik i skrobak do kopyt. Kiedy osły przebywają w stajni, nie ma dnia, by Teun i Ronald do nich nie zajrzeli. Sadowią się na beli siana albo w boksie, na ściółce ze słomy. Najchętniej tam przesiadują, gdy na dworze zaczyna się ściemniać, a ja zapaliłem już lampę. Raz znalazłem ich wyciągniętych jak dżdzy pod osłami. Zapytałem, dlaczego tak leżą.

– Chcemy przewyciężyć strach – odpowiedział Teun, który wtedy miał jakieś sześć lat. Ronald kichnął, bo długa zimowa sierść jego osła łaskotała mu twarz. Teraz, gdy osły się zerwały, boją się ich.

– Ale jak? – pyta Ronald.

– Normalnie. Staniesz za nimi i popchniesz ich zadki.

– W życiu – stwierdza Teun.

– Nic wam nie zrobią – zapewniam.

– Na pewno? – dopytuje się Ronald.

– Na pewno.

Każdy z nich staje za jednym osłem i Ronald natychmiast zaczyna z całej siły pchać. Teun najpierw ostrożnie dotyka zadka swojego osła, żeby się upewnić, że ten nie kopnie. Ciekawi mnie, co się teraz stanie.

Nic się nie dzieje. Ruszam do spichlerza.

– Gdzie idziesz? – woła Teun.

– Zaraz wracam – uspokajam go.

W spichlerzu napełniam wiadro paroma garściami koncentratu paszowego i zanim wrócę do chłopców, wyglądam zza rogu stodoły, by sprawdzić, jak się sprawy mają. Bez zmian. Wychodzę do nich, gdy widzę, jak Teun bojaźliwie się rozgląda.

– Nie udaje się wam? – pytam.

– Nie – odpowiada Ronald. – Głupie bydlęta.

– Co powiedziałeś? – pytam.

– Yyy... – waha się.

– Nie ruszyły się ani o krok – dodaje Teun.

Oddalam się w głąb pola i zaczynam potrząsać wiadrem. Osioł, o którego opiera się Ronald, podbiega do mnie tak szybko, że chłopiec się przewraca. Rozrzucam zawartość wiadra i zamykam bramę. Potem w trójkę wisimy przez chwilę na ogrodzeniu, przyglądając się osłom zjadającym paszę. Moje stopy spoczywają na ziemi, Teuna – na najniższej listwie bramy, a Ronalda – na drugiej od dołu.

– Więcej tego nie róbcie, dobrze? – proszę ich.

– Dobrze – odpowiadają jednocześnie.

Zeskakują na ziemię i wchodzą na podwórko. Kiedy są już prawie przy grobli, Ronald się odwraca i woła:

– Gdzie jest twój ojciec?

– W środku – odkrzykuję.

Więcej nie musi wiedzieć. Przechodzą przez groblę i skręcają w prawo.

Zostaję sam przy osłach. Nie mają imion. Kiedy kupiłem je parę lat temu, nie zdołałem żadnych wymyślić, a po jakimś czasie było już na to za późno, bo stały się „osłami”. Ojciec zapytał, czy ogłupiałem:

– Osły? – nie mógł uwierzyć. – Co nam po osłach, na litość boską? Ile takie bydlaki będą nas kosztować, co?

Odpowiedziałem mu, że to nie nasze osły, ale moje. Handlarz byłem uznał to za niezły interes; zawszeć to jakaś odmiana. Osły są mieszańcami, nie jakiejś tam francuskiej, irlandzkiej, włoskiej czy hiszpańskiej rasy. Są mocno ciemnoszare, a jeden ma popielate nozdrza.

– Gdzie jest twój ojciec? – mówię do nich cicho i cmokam.

Podchodzą do mnie i wpychają swoje różnorako zabarwione pyski w moje włosy.

Krowy są niespokojne, dwie wierzgnęły w moim kierunku, kiedy chciałem je podłączyć do dojarki. Jeszcze niedawno sądziłem, że to dlatego, iż już nie wychodzą na dwór, ale zaczynam podejrzewać, że to ja jestem niespokojny. Pod tym względem krowy są dokładnie jak psy – podobno umieją wyczuwać nastrój właścicieli. Nie mam psa. Nigdy nie mieliśmy tu psów.

Ojciec nie zjadł mandarynek. W zasadzie nie chcę tego widzieć ani o tym słyszeć.

Przeniosłem go z dołu na górę i teraz, jeśli o mnie chodzi, może nawet usiąść na dachu, stamtąd przenieść się na najwyższe czubki topoli okalających podwórze, a następnie zostać wywianym podmuchem wiatru do nieba. Najlepiej by było, gdyby po prostu zniknął.

– Nie umiem zdjąć skórki – mówi.

Próbuję nie widzieć mandarynek na nocnej szafce i jego powykręcanych palców na kocu. Zaczyna tu naprawdę śmierdzieć, a przecież okno bez przerwy zostawiam uchylone i zaczepione na haczyku. Jeśli nie zniknie, będę go musiał umyć. Przed zaciągnięciem zasłon przykładam ręce do szyby okna, by nie przeszkadzało mi światło lampy. Z głową między dłońmi obserwuję osikę w ogrodzie od frontu. „Wrona odleciała. Czy może jest tak ciemno, że zlewa się z konarami i wieczornym niebem?”

A wtedy widzę jakiegoś przechodnia. Wzdłuż drogi stoją latarnie, jedna na każdy dom lub obejście. W sumie więc siedem. Od paru tygodni coś się dzieje z moją. Zapala się, ale to wszystko: choćby się stanęło tuż pod nią, światło nie dochodzi do człowieka. Żaluzje w salonie są spuszczone. Na dworze jest tak ciemno, że widzę tylko, jak ktoś przechodzi i że, właśnie teraz, zatrzymał się przed gospodarstwem. Ciemniejszą plama, widoczna jedynie dzięki temu, że odcina się na tle kanału. Nie mogę nawet dojrzeć, na co plama patrzy.

– Co jest? – pyta ojciec.

– Ktoś idzie drogą – szepczę. – Kto?

– Nie widzę.

Wtedy plama się porusza i nagle zapala się jej czerwone tylne światełko. Odprowadzam światełko wzrokiem, aż znika za ramą okna. Jednym ruchem zaciągam zasłony. Serce wali mi w gardle.

– No dobra – mówię i biorę mandarynki z szafki nocnej.

Obieram obie, usuwam gorzkie białe nitki i podaję ojcu w cząstkach. Niebawem po jego brodzie spływa sok.

– Pycha – mówi.

Całe życie się bałem. Bałem się ciszy i ciemności. Również całe życie miałem trudności z zasypianiem. Wystarczy, bym usłyszał jakiś dźwięk, którego nie umiem zidentyfikować, a mogę zapomnieć o spaniu. Mimo to nigdy wcześniej nie zaprzętałem sobie głowy tym, co też w nocy się dzieje na zewnątrz. Oczywiście dawno temu widywałem różne rzeczy defilujące przed oknem, choć wiedziałem, że znajduje się ono wiele metrów ponad żwirową ścieżką. Widziałem barki, napięte, ściągnięte barki kogoś, kto wspinał się po fasadzie. Ruchem pantery; czasem jednym ramieniem już chwytając się parapetu. Wtedy wsłuchiwałem się w oddech Henka, który leżał obok, a później wyobrażałem sobie go śpiącego w sąsiednim pokoju, i barki lub to, co wydawało mi się, że widziałem, znikają. Podświadomie czułem, że widzę rzeczy, których nie mogę zobaczyć.

Teraz, po tym, co zobaczyłem na drodze, i po nakarmieniu ojca, leżę w łóżku z mocno zaciśniętymi powiekami. Spać, myśleć, spać. Ale widzę leżące na łące owce, posapujące i przeżuujące, szare maźnięcia na ciemnozielonej połaci, i kawki na topolach z łebkami schowanymi w piórach, i osły, które stoją naprzeciwko siebie, blisko ogrodzenia, ze zwieszonymi łbami, jakby drzemały, głowa przy głowie, i wiatrak Bosmana, który znowu zatrzymałem, stojący samotnie na odludziu, połyskujący srebrzyście przy każdym prześwicie w chmurach, i kogoś przy wiatraku, kto spogląda na ogon i odczytuje „NL nr 4083 z”. Aż otwieram oczy, kiedy to sobie wyobrażam. Czy przed moim obejściem częściej staje ktoś bez ruchu w jesienną noc? I czy nigdy bym się o tym nie dowiedział, gdybym przypadkiem nie wyrztał przez okno sypialni?

Później widzę chłopców w kajaku. Ten pierwszy, który powiedział, że czas się tu zatrzymał, jest niewyraźny i szybko się rozplywa. Drugi, rudzielec z opalonymi na czerwono ramionami, nie znika. Dostrzegł to i dostrzegł mnie. Podstarzałego chłopca w wyblakłym niebieskim kombinezonie o rozpiętych górnych guzikach, bo tego dnia było bardzo gorąco. Który trzymał się z boku zabudowań, w cieniu, i nie ma tam nic do roboty poza gapieniem się bez ruchu, wstrzymując oddech. Który od 1967 roku z każdym kolejnym dniem stawał się coraz starszy, a poza tym nic się nie zmieniało; nie, jednak, owszem, jedna rzecz się zmieniła: osły, to właśnie na temat osłów rudy chłopak coś powiedział. Ze one to dopiero są

archaiczne. Zatem to, co powiedział, ma znaczenie. Powiosłowali kanałem opperwoudzkim roześmiani, egoistyczni, a więc szybko zapominając o tych sprawach. W przedłużeniu kanału zachodzi słońce. Co jest zupełnie niemożliwe, ponieważ kanał biegnie na wschód, słońce nigdy nie zajdzie w jeziorze IJssel, ale teraz tak się dzieje, a chłopcy stają się sylwetkami o cichnących głosach. A potem znikają. Teraz, myślę, teraz zasnę. Myśleć to móc zapomnieć. Wymagowane słońce kojarzy mi się z morzem, które, niebotyczne, leży jakieś trzydzieści pięć kilometrów na zachód. Byliśmy nad nim dawno temu, dwa razy w ciągu tego samego lata. I dwukrotnie w ciągu dnia się zachmurzyło. Matce zależało na tym, by zobaczyć, jak słońce zanurza się w wodzie, i udało jej się tak urobić ojca, że pozwolił parobkowi samemu wydoić krowy. Nigdy nie widziałem, jak słońce zachodzi w morzu, a mógłbym z łatwością – przecież to tak niedaleko.

Słyszę coś, wydaje mi się, że dźwięk dochodzi spod mojego okna, i czuję, jak włos jeży mi się na głowie. Myślę o ojcu na górze. Nie ma już z niego żadnego pożytku, teraz jednak go potrzebuję, by odpędzić mój strach.

Może rudy chłopak czasem myśli jeszcze o mnie, tym starym rolniku, który tak sobie po prostu stał w ładny letni dzień.

– Stary? No coś ty, Helmer, ty wcale nie jesteś stary! – Ada, matka Teuna i Ronalda, siedzi naprzeciwko mnie przy kuchennym stole. – Twój ojciec to tak, on jest stary.

Ada usłyszała co nieco od swoich synów. O osłach i o „drewnianych listewkach” na oknach. Jest ciekawska.

– Wiesz, kto jest stary? Klaas van Baalen, który mieszka tuż za Broek. Jest dokładnie w twoim wieku, ale niechłuj z niego jak nie wiem co. Nie potrafi o siebie zadbać. Nie dawno zabrali mu owce, kompletnie zabiedzone, kłębuszki wełny z grzechoczącymi kośćmi.

Zapomniałem, że Ada pije teraz kawę bez mleka, no i powiedziałem, że robi się ze mnie stary przyk.

Ada uznała za „fantastyczne” zmiany, które wprowadziłem w salonie i w sypialni. Szary błękit podłogi i framug uznała za „prześliczny” i przede wszystkim nie mogła się nachwalić ogromu wolnej przestrzeni. Stanowczo powinienem jeszcze tylko dokupić kołdrę puchową. Koce, nie, zdecydowanie wyszły już z użycia, były „niemożliwie przestarzałe”, a spanie pod kołdrą było „nieporównanie bardziej wygodniejsze”. („Tak się w ogóle mówi?” – zastanawiała się później). Chciała wiedzieć, ile zapłaciłem za żaluzje, bo też by się pozbyła z domu zasłon („tych wylęgarni kurzu”). A krzesła po prostu wyrzuciłem? Czekaj no, właściwie to wiedziała, przypomniała sobie nagle opowieść Teuna i Ronalda, coś o „dywanowym domku”. Wydało jej się to „cudowne”, że można tak po prostu wyrzucić rzeczy, zrobić miejsce, zrezygnować z wiecznego przechowywania wszystkiego. Jeszcze raz poszła do sypialni. Dlaczego wciąż śpię w jednoosobowym łóżku? W dużym miałbym „mnóstwo wolnej przestrzeni”. Mówiąc to, spogląda na mnie filuternie. A te kołdry puchowe „naprawdę się sprawdzają”, bo mógłbym dokupić na nie takie śliczne niebieskie poszwy i zrobiłoby się jeszcze ładniej i „świeżej”.

Po drodze do kuchni wyciągnęła ramię i wskazała na puste ściany w salonie. Sztuka. Może mógłbym kupić „coś ze sztuki”?

Ada jest wciąż młoda, ma jakieś trzydzieści pięć lat. Jej mąż jest z pewnością dziesięć lat od niej starszy, może nawet piętnaście. Ada kipi energią, najchętniej przychodziłaby do mnie raz na tydzień, żeby posprzątać, a nie jak teraz raz na rok, w kwietniu. Jest skarbniczką w kole

gospodyń wiejskich, robi kołdry patchworkowe, należy do klubu czytelniczego, udziela się w stowarzyszeniu W Interesie Wsi i bierze udział w konkursie na „najładniejszy ogród w całym Waterlandzie”. Przypomina mi moją matkę, bo jest prawie tak samo brzydka, ale u Ady wynika to z zajęcej wargi, którą niezbyt ładnie zoperowano. Jej chłopcy są śliczni – mają blond włosy, długie rzęsy i nieskazitelne usta. Ada nie pochodzi stąd i być może dlatego wie wszystko o wszystkich z całej okolicy.

Nalewam drugą filiżankę kawy i powstrzymuję ziewanie. Lubię Adę, ale jej entuzjazm i bezceremonialne trajkotanie wciąż wprowadzają mnie w osłupienie, zwłaszcza tuż po dojeniu krów lub karmieniu cielaków.

– Więc zamieniłeś się z ojcem na sypialnię? Co tam u niego? Będę mogła zajść do niego na chwilkę?

– W porządku – mówię, a następnie kłamię: – Nie. Śpi, zostawmy go w spokoju.

Ada pije kawę i spogląda na mnie znad krawędzi swego kubka.

– Stary – powtarza. – Co ci przyszło do głowy? Masz przystojną buzię, gęstą czuprynę i ani grama tłuszczu na sobie.

Czuję, że się czerwienię, i nic nie mogę na to poradzić. Nie tylko dlatego, że Ada powiedziała, iż mam przystojną buzię, raczej dlatego, że skłamałem, a moje kłamstwo w każdej chwili może wyjść na jaw. Ojciec nie śpi.

–A do tego się czerwienisz jak uczeń!

Ada zajmuje moje stare miejsce. Siada na nim zawsze, gdy tu przychodzi, bo okno w bocznej ścianie daje jej widok na gospodarstwo męża i poczucie, że ma pod kontrolą cały ten kram, choć gospodarstwo leży ponad pięćset metrów stąd. Ja siedzę na miejscu matki. Wrona siwa już od przeszło tygodnia tkwi na tej samej gałęzi osiki. Święty Mikołaj przyszedł – ale nie do nas – i sobie poszedł. Jest sobota, świeci słońce i nie ma wiatru. Jasny grudniowy poranek, w którym wszystko wygląda bardzo nago i wyraźnie. Dzień tęsknoty. Nie za domem, bo w nim jestem, ale właśnie za takimi minionymi dniami. W takiej sytuacji inaczej się na to mówi – powiedzmy: „nostalgii”. Ada by tego nie zrozumiała. Bo nie jest stąd, nie zna właśnie takich dni tutaj, dawno temu.

– Widziałś tu już kiedyś wronę siwą? – pytam.

– Co to takiego?

– Na osice siedzi jedna.

Ada wstaje i wygląda przez okno od frontu.

– Ale wielka – ocenia.

– Już od paru dni siedzi i gapi się na mnie jak sroka w gnat.

– Śmiesznie – kwituje Ada.

Nie interesuje jej to. Odwraca się, by z powrotem usiąść. Gdy się odzywa, to, co mówi, brzmi, jakby miała w ustach zwitek waty. Ma to pewnie związek z jej dawniej rozszczepionym podniebieniem.

– O co chodziło z tymi osłami?

– Zostawili otwartą bramę.

– Powiem im, żeby nigdy więcej tego nie robili.

– Już im powiedziałem.

– Lekarz był?

– Tak, tak.

– I co powiedział?

– Że jest stary. Po prostu jest stary. I sklerotyk. Ostatnimi czasy mówi dziwaczne rzeczy.

– Co masz na myśli?

– Ach, różne rzeczy. O przeszłości. Czasami kompletnie nie rozumiem, o czym gada. –

Robię nieokreślony ruch przy czole.

– A teraz?

– Co: teraz?

Odstawiam swoją kawę i lewą ręką usiłuję zetrzeć z czoła gorąc. Lewą, by tym samym oddzielić się dłonią od Ady.

– Nie powinnam czasem do niego wpaść? Mogłabym się nim zająć.

– Ależ nie, daję sobie radę. Już prawie zima, poza dojeniem nic nie mam do roboty.

– Dobrze. – Dopija kawę i nieznacznie opada w krześle. Patrzy w okno. – Nie, to Klaas van Baalen jest stary. Ty świetnie potrafisz o siebie zadbać. – Wciąż się wpatruje, zamyśla. Może się zastanawia, dlaczego ojciec leży na górze i dlaczego podłoga została pomalowana na niebieskoszaro. – Z nikim też nie rozmawia – dodaje – stroni od ludzi, jest samotny, a jak mu zabrali owce, to już w ogóle nic mu nie zostało. – Wzdryga się. – Straszne.

– Tak – przyznaję. – Straszne.

– Dlaczego nigdy się nie ożeniłeś, Helmer?

– Co?

– Nie ożeniłeś się.

– Bo do tego potrzeba dziewczyny – mówię.

– No tak, ale dlaczego jej nie masz?

– Ach...

– Ten twój brat... miał przecież dziewczynę, prawda? Mieli się przecież pobrać? – Jeśli Ada rzeczywiście ma trzydzieści pięć lat, urodziła się w roku śmierci Henka. W 1967.

– Tak – przyznaję. – Ritę.

– Henk i Rita – wypowiada Ada. – Pasuje.

– Tak – odpowiadam.

– Czyli on miał dziewczynę, a ty nie?

– Nie.

– Dziwne.

– Ach, tak czasem wychodzi.

Słyszę, że otwierają się drzwi komory. Zanim ktokolwiek pojawia się w drzwiach kuchennych, wiemy już, kto idzie.

– Przestańcie tak wrzeszczeć – woła Ada.

Teun i Ronald wchodzi do kuchni i każdy z nich staje po jednej stronie matki z opuszczonymi ramionami.

– Hej, Helmer – odzywa się Teun.

Ronald nic nie mówi, ale wpatruje się w napięciu w paczkę ciastek na stole.

– Po co przyszliście? – pyta Ada.

– Ojciec mówi, że masz wrócić do domu – melduje Teun.

– Po co?

Teun się zastanawia.

– Nie wiem.

– Nie wiesz czy zapomniałeś?

– Zapomniałem – odpowiada Ronald.

– No to już chodźmy – mówi Ada. Wstaje. – Widzieliście nowy pokój Helmera?

– Nie – odpowiada Teun.

– No to idźcie zobaczyć.

Rusza za chłopcami i wkracza do salonu. Teun i Ronald wykrzykują, najgłośniejszym głosem, jak potrafią, „o” i „Ach”, bo sądzą, że sprawi mi to przyjemność. I sprawia. Tak jak i to, że siedzę

sobie tu w kuchni, a w pokoju są ludzie, którzy po prostu po nim chodzą i rozmawiają.

Wychodzą drzwiami od frontu. W połowie drogi Ada się odwraca.

– Całkiem zapomniałam ci powiedzieć, że ten chłopak od Kopera, no wiesz, z ulicy Buitenweerweg...

– Jarno, gola! – wykrzykuje Ronald.

Piłkarski bohater. Sam Ronald gra w orlikach lub w żakach.

–Tak, Jarno, przenosi się do Danii, gdzie obejmie gospodarstwo. A może już o rym wiesz?

– Nie – odpowiadam – nic o tym nie słyszałem.

– Chyba na Jutlandię. Tam to jest przestrzeń, że hej. Pozdrowisz ode mnie ojca, dobrze?

–Tak, dziękuję – potwierdzam i zamykam drzwi.

Stoję w progu swojej sypialni i patrzę na wełniane koce na moim jednoosobowym łóżku. Wierzchni ma wystrzępione brzegi. Odwracam się i spoglądam na puste ściany w salonie. Coś ze sztuki.

– Helmer! – wrzeszczy stary na górze.

Kładę się na pokrytej tkaniną kanapie i zamykam oczy. Dania.

Dania. Jutlandia, Zelandia, Fionia, Bornholm, Wielki Bełt, Mały Bełt, Odense. Słowa Ady coś we mnie wyzwoliły. Łagodnie spadzisty ląd, rozległy ląd, wrzosowiska. Jamo Koper to chłopski syn, któremu się tu u nas przejadło. Ciemnowłosa chłopak, ma jakieś dwadzieścia pięć lat. Kiedy się do niego zwracam – co zdarza się bardzo rzadko – zawsze rzuca coś w rodzaju „co to za podmokły szajs”. Wyjeżdża, ośmiela się jechać do *Danmark*. Stary kraj; to *mark* w nazwie, o ile się nie mylę, wskazuje na to, że miał coś wspólnego z pradawnymi Niemcami; muszę sprawdzić w słowniku. Prostuję się na kanapie i odwracam. Za moimi plecami nie ma już regału z romansidłami, które czytała matka. Będę musiał pójść na górę.

– Helmer!

– Gadaj sobie zdrów – mamroczę, wyciągając spomiędzy romansideł słownik.

Siedzę na łóżku Henka, kolanami dotykam regału. Będę musiał wszystko jeszcze raz poprzekładać, ledwie da się tu obrócić – toaletka stoi przed otwartymi na oścież drzwiami wbudowanej szafy. W niej znajdują się moje rzeczy. Te, których człowiek nie chce się pozbyć ani nie chce wyrzucić, ale których właściwie już nie potrzebuje. Znalazłem *Mark* – marchia, okręg pograniczny, jaki dawniej istniał w państwie Franków i średniowiecznym cesarstwie niemieckim. Ci parszywi Niemcy. Ten skrawek lądu na granicy naszego cesarstwa, ten kawałek ziemi, zamieszkały przez tych Duńczyków. Znaczy to również coś innego: skupisko ludzi, którzy posiadali ziemię w niepodzielonej własności. Czy dlatego Marken nazywa się Marken?

– Helmer!

Zamykam słownik, wstawiam go z powrotem między powieściska i ruszam do drzwi. Matka wieczorem godzinami potrafiła czytać. „Romantyczna dusza”, mruzczał czasem ojciec, kiedy ruszał do sypialni wiele godzin przed nią. Zawsze brzmiało to nieprzyjemnie.

Wypróżniam się dwa razy na dzień. Pierwszy raz tuż przed dojeniem, drugi raz – po kawie. Bardzo rzadko zachciewa mi się później w ciągu dnia, i to przeważnie wieczorem, ale zawsze ignoruję tę potrzebę.

Skoro już o tym mowa, znoszę ojca po schodach, by posadzić go na ubikacji. Zamykam

wtedy za sobą drzwi i czekam przed nimi jak wierny pies (psy są podobno wierne, ale osobiście tego nie doświadczyłem; nigdy nie mieliśmy tu psów), aż zawoła „już”. Wypróżnia się, jak tylko go sadzam na sedesie. Czasem jest to raz na dwa dni, czasami między posiedzeniami mijają cztery. Sika też ledwie co, od czasu do czasu znajduję kapkę moczu na dnie kaczki sanitarnej. Opróżniam ją wtedy i przepłukuję wrzącą wodą. Nie wiem, kiedy i w jaki sposób to naczynie trafiło do naszego domu, ale się przydaje.

– O co chodzi? – pytam, wchodząc do pokoju ojca.

– O nic – odpowiada.

– No to po co mnie wołasz?

Podchodzę do krzesła z podłokietnikami, które stoi pod oknem, pod obrazem z owcami, i odwracam je. Staram się jak najmniej oddychać przez nos.

– Wezwij doktora.

– Nie.

– Chcę wstać z łóżka.

W normalnych warunkach nawet bym się do tego nie zabierał, ale teraz jego życzenie nawet mi pasuje. Odwracam koce i poszwę. Opary, jakie buchają z ciepłego łóżka, sprawiają, że aż mnie zatyka. Wsuwam ramiona pod jego ciało, dźwigam go i przenoszę na krzesło. Szczupełymi ramionami obłapuje oparcia. Zdzieram koce i pościel z łóżka. Z powleczeniem schodzę na dół. Wrzucam je do pralki z innymi białymi rzeczami i nastawiam termostat na 90 stopni. Następnie wyjmuję z szafki pod zlewozmywakiem wiadro i napełniam je letnią wodą. Biorę ręczniki i myjkę z bieliźniarki i ruszam z powrotem na górę. Ojciec opadł na krzesło. Wygląda na to, że ramiona nie sprostały wadze jego ciała, zsuwał się powoli do przodu i zdołał uniknąć upadku, uczepiając się nóg krzesła. Odstawiam wiadro i popycham go do pozycji siedzącej. Najpierw zdejmuję bluzę jego piżamy; nie przysparza to wiele kłopotu. Siwe włosy na jego zapadniętej klatce piersiowej przylegają płasko do skóry. Staję za nim i unoszę go jednym ramieniem, opasując jego pierś pod pachami. Wolną ręką zsuwam spodnie piżamy z jego tyłka. Piżama jest poplamiona od środka. I siedzi goły na krzesle. Jego przyrodzenie ściśnięte jest między nogami, uderzająco długie i gładkie w porównaniu z wielkością jego ciała i skórą na ramionach i brzuchu.

– Była Ada? – pyta.

Ma trudności z utrzymaniem głowy w pionie.

– Była.

– Cemu nie przysłała na górę?

– Nie miała ochoty.

– Tak powiedziała?

– Tak, tak powiedziała.

Przenoszę wzrok z ojca na wiadro, a z wiadra na podłogę wyłożoną granatową wykładziną, po czym z podłogi na myjkę, która leży na łóżku. Nic z tego nie będzie. Znowu schodzę na dół i przenoszę z kuchni do łazienki plastikowy stołeczek. Pralka się kręci.

– Zimno – mówi.

Wkładam dłoń pod strumień i trochę mocniej odkręcam kran z gorącą wodą. Nie przemyślałem tego, nie zdjąłem ubrania, a teraz już na to za późno – jak go puszcze, rąbnie o podłogę. Na to nie możemy sobie pozwolić – na upadek ojca, tu, na wykafelkowanej podłodze. Stołeczek stoi pod ścianą, w kącie, w ten sposób mogę go przytrzymać jednym ramieniem. Dokładnie w chwili, gdy zakręcam kran, wyciąga w górę jedną rękę, by zasłonić głowę przed strumieniem wody.

– Namydlę cię – oznajmiam.

Nic nie mówi. Odkładam myjkę na jego kolano i wyciskam na nią sporą ilość żelu pod prysznic. Nazywa się Badedas i pachnie mentolowo. Trudno tak jedną ręką. Zaczynam go namydlać. Znowu kojarzy mi się z nowo narodzonym cielęciem: gładkimi śliskim, rozedrganym. Chcę sięgnąć myjką do jego pupy i znowu, jak przy zdejmowaniu piżamy, muszę go unieść jednym ramieniem, tylko że teraz nie stoję za nim, ale przed nim. Cieszę się, że tego nie przemyślałem i wciąż jestem ubrany, w przeciwnym razie mój nagi tors dotykałby jego obnażonej wątłej piersi. Kiedy parę razy przecieram myjką jego tyłek, przez mokry materiał wyczuwam opuszkami palców jego jądra. Sadzam go znowu na stołku. Wielkie nieba, staje mu. Powinienem właściwie wypluć myjkę, jedną stopą szybko rozsuwam mu jednak nogi i przecieram nią pachwiny i członek, pod wpływem czego jeszcze bardziej sztywnieje. Pospiesznie strzepuję myjkę z dłoni i odkręcam kran.

– Zimna – skarży się znowu.

– Sam jesteś sobie winny – odpowiadam.

Członek opada mu powoli między nogi. Po spłukaniu go zastanawiam się, czy powinienem umyć mu włosy – „gęstą czuprynę”, powiedziałaaby Ada. Nie, dosyć tego dobrego. Wycieram go. Udaje mu się chwilę ustać na własnych nogach.

Gdy stoję z nim w drzwiach pokoju jak pan młody starej daty, dociera do mnie, że źle się do tego zabrałem. Łóżko jest jeszcze nieprzebrane. Siedzam ojca z wilgotnym ręcznikiem wokół bioder na krześle pod oknem. Brudna piżama leży na kupce przy jego nogach. Zaścielam łóżko czystą pościelą wyjętą z szafy, po czym kładę go na nim i przebieram go w świeżą piżamę. Mokre ubranie krępuje mi ruchy, a w pokoju jest zimno. Kładę dwie poduszki u wezłowia łóżka i przykrywam go.

- Lepiej by było, jakbym nie żył – mówi cicho.
- Akurat teraz, gdy jesteś czysty? – pytam.
- To ta wrona – odpowiada i drżącym palcem wskazuje na zewnątrz.
- Co z tą wroną?
- Czeka na mnie.
- No coś ty.
- Mówię ci.
- Niech ci będzie – odpowiadam.

Ojciec nie chciał słyszeć o centralnym ogrzewaniu. Matka tak, ale jej głos się nie liczył. Mamy tu dwa piece olejowe – jeden w kuchni, drugi w salonie. Teraz na górze sam odczuwam tego konsekwencje. Dawniej, gdy chwytał mróz, zostawiał piec na noc lekko włączony i drzwi do ich sypialni otwarte na oścież. Gdy Henk i ja się budziliśmy, nie mogliśmy wyjrzeć na dwór przez okno, tak obfite były kwiaty szronu na szybach.

Nasza ciepła woda pochodzi z bojlera. Nie zużyłem jej za wiele na ojca i mam okazję teraz skorzystać. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz w ciągu dnia stałem pod prysznicem. Teraz sam pachnę mentolem. Rozpiera mnie uczucie młodości i siły, ale gdy ujmuję w dłoń własny członek, czuję się również dziwnie beużyteczny i pusty. Mimowolnie porównuję go z przyrodzeniem ojca. Mój jest większy i samo stwierdzenie tego sprawia, że rośnie. Gdy zaczynam się zastanawiać, co to ma znaczyć, rozbrzmiewa dzwonek do drzwi. Prawie nigdy nikt tu nie dzwoni, w pierwszej chwili nawet się nie orientuję, że to dźwięk dzwonka. Zakręcam kran i czekam na to, co nastąpi. Czuje, jak żyłka w mojej szyi pulsuje, spadające na kafle podłogi krople wody grzmocą jak wodospad. Cisza. Powoli się wycieram i wciągam slipki. Ubranie zostało w pokoju. Otwieram drzwi łazienki, ale nie widzę, by ktoś stał przed podłużną matową szybą drzwi wejściowych. Zanim wejdę do salonu, zerkam zza framugi drzwi, czy ktoś nie stoi pod oknem. Nikogo. Idę do sypialni, w której żaluzje są

opuszczone. Wkładam suche ciuchy, ponownie spostrzegam wystrzępione brzegi koca. Po ubraniu się idę do sieni i otwieram drzwi wejściowe. Droga jest pusta. Wrona siwa się na mnie gapi.

Według atlasu ptaków wrona kracze, ale ani razu nie słyszałem jej wydającej „kraaa”.

Całe popołudnie dźwięczy mi w uszach dzwonięcie dzwonka, odbijające się w pustej sieni. Idę policzyć owce i choć jest ich tylko dwadzieścia trzy, trzy razy muszę zaczynać od nowa. Parę dni temu oddzieliłem tryka od owiec i odwoziłem go rolnikowi, który pożycza mi jednego co roku. Uprząż dla barana odwiesiłem w młockarni. Dopiero po południu, gdy siedzę pod krowami, a już zapadł zmierzch, przypomina mi się postać, która stała bez ruchu przed zagrodą.

W zlewni stoi inny kierowca cysterny mleczarskiej, młody, z uśmiechem.

– Hej, Helmer – mówi, gdy wchodzę do środka.

Przeważnie, jak przyjeżdża cen stary, ponury, trzymam się z dala od zlewni. Młody opiera się o krawędź zbiornika i na przemian to zagląda do cysterny, to patrzy na wąż u swych stóp. Chcę go pozdrowić po imieniu, ale za każdym razem, gdy go widzę, zapominam, jak się nazywa, i dlatego witam go skinieniem głowy.

–Arie zmarł – mówi.

Nawet taka wiadomość nie pozbawia go uśmiechu.

– Zmarł? Na co?

– Zawał serca.

– Kiedy?

– Przedwczoraj. U siebie w domu.

– Właśnie ostatnio sobie myślałem, że za parę lat przejdzie na emeryturę.

– Tak, chciał przestać pracować na sześćdziesiąte urodziny.

– A ile miał lat?

– Pięćdziesiąt osiem.

– Pięćdziesiąt osiem.

– Stanowczo za młody.

Zbiornik jest pusty. Odkręca wąż, a resztkę mleka spływa do ścieku. Następnie skręca go wokół kołowrotka na tyle cysterny.

– Stanowczo za młody – mówi jeszcze raz. Staje przede mną na rozstawionych nogach, z rękami na biodrach. Wciąż ten uśmiech, krzywy uśmiech odstaniający zęby. – Przez jakiś czas będziesz musiał znosić tylko mnie – mówi.

– Niech Bóg ma mnie w swojej opiece – odpowiadam.

Teraz uśmiech przechodzi w prawdziwy głośny śmiech, w którym ukazuje się jeszcze więcej zębów. Nie żegna się, gdy rusza do szoferki. Wiadomość o śmierci obróciliśmy w żart, a po czymś takim nie ucina się już pogawędek. Otwiera drzwi szoferki i zwinnie wskakuje do środka. Niebieskie spodnie opinają mu się na nodze, na której się odbija, a która mogłaby być nogą łyżwiarza. Wychodzę z podwórza w ślad za odjeżdżającą cysterną. Gdyby spojrział we

wsteczne lusterko, zobaczyłby, jak stoję, tak jak rudy chłopak zeszłego lata. Pada. Osty sterczą z opuszczonymi łbami tuż przy bramie; jak nie przestanie padać, wprowadzę je do stajni. Spoglądam na moje mokre podwórze.

Stary, ponury i martwy, myślę.

Do jego śmierci funkcjonowaliśmy jako „Henk i Helmer”, chociaż to ja jestem starszy. Jeszcze niedawno po południu regularnie chodziłem się chwilę zdrzemnąć na jego łóżku. Teraz już tego nie robię ze względu na cały ten chłm, jaki zastawia jego pokój, oraz z powodu bliskości ojca. Kładłem się wtedy na boku, z podciągniętymi kolanami, jak dawniej, gdy we dwóch spaliśmy w jednym łóżku. Teraz po południu kładę się na kanapie. Odkąd Ada skomentowała moje łóżko, nie lubię się w nim kłaść, z całą pewnością nie w ciągu dnia. Parę dni temu pojechałem do Monnickendam, by kupić nowe. Skończyło się na łóżku kontynentalnym – składającym się w zasadzie wyłącznie z materaca na krótkich nóżkach. Niedługo je przywiozą, mają mnie uprzedzić telefonicznie. W każdym razie dojedzie „na pewno przed Gwiazdką”, zapewnił pogodny sprzedawca łóżek. W innym sklepie kupiłem prześcieradło i poszwy. Błękitne i granatowe – ufam ocenie Ady. Pościel leży jeszcze w opakowaniu w kącie pokoju. Dwóch poszewek również nie wypakowałem. Poprosiłem o jedną, ale sprzedawczyni (młoda babia z czarnymi warkoczami) powtórzyła dobitnie: „Jedną?”, tak że nie pozostało mi nic więcej, jak powiedzieć: „Nie, oczywiście, że dwie”. Wypakuję wszystko, dopiero gdy przywiozą łóżko, a do tego czasu śpię pod kocami o wystrzępionych brzegach w jednoosobowym łóżku.

Henk i Helmer, a nie Helmer i Henk. Jestem kimś, kto nic nie pamięta z pierwszych czterech czy pięciu lat życia. A jeśli czasami pojawia się jakieś wspomnienie, podejrzewam je o zafałszowanie, o to, że zostało mi zasugerowane przez opowieści innych. Dopiero od lat pięćdziesiątych mam jakieś przebłytki pamięci. Tego, jak często ojciec tłukł nas we wcześniejszych latach, nie pamiętam.

Na widok naszej dwójki potrafił się strasznie rozeźlić, zawsze miał do czynienia z tandemem. Uważał, że spiskujemy przeciwko niemu, że do tego sprowadzają się wszystkie nasze wysiłki i że patrzymy na niego tak bezceremonialnie, żeby go sprowokować. Mnie się dostawało najwięcej, bo byłem starszy, a więc to ja miałem „wszystko wykoncytować”. Łał nas gołymi rękami, a jak nadarzyła mu się okazja, zdierał chodaka i walił nas nim po tyłku,

a czasem w plecy. Sądziłem, że moje imię odgrywało tu pewną rolę. Helmer był w rodzinie matki, Henk to imię jego ojca.

Zanim pójde doić, wprowadzam osły do środka. Niewiele muszę w tym celu zrobić. Otwieram ogrodzenie i ruszam w kierunku ich stajni, a one czekają już przed nią, nim sam do niej docieram. Wpuszczam je do środka, kroję buraka cukrowego na kawałki i wrzucam do żłobu. Potem wciskam parę garści siana w drabinkę. Nauczyłem Teuna i Ronalda, by zawsze najpierw mnie pytali, czy mogą karmić osły. Gdybym dał im wolną rękę, nawet bym się nie obejrzał, a osły by się spały albo pochorowały. Deszcz grzechocze o dach z blachy falistej. Kiedy je drapię za uszami, nie reagują, taksą zajęte jedzeniem. Przed wyjściem ze stajni zapalam światło. Nie patrzą za mną, gdy wychodzę.

W Monnickendam skręcam w drogę krajową numer 247 i jadę nią aż do Edamu. Tam przejeżdżam przez miasteczko do grobli komunikacyjnej, bo inaczej byłbym uziemiony na tej głównej drodze aż do wysokości Oosthuizen. W okolicy Warder na chwilę zatrzymuję samochód, by przyjrzeć się chmarze ptaków, która tamtędy przelatuje. Ostrygojady, wrony, mewy śmieszki i mewy srebrzyste. Podskakuję na dźwięk klaksonu samochodu, który chce mnie minąć na wąskiej drodze.

– Cemu w ogóle stajesz na wale? – pyta Ada, która nie umie odróżnić bogatki od modraszki. Ubrana jest w czarny płaszcz do połowy łydki i wygląda trochę blado.

W Hoorn muszę na krótko zjechać z wału. Jest cicho i znowu mgliście, woda jeziora IJssel zlewa się w oddali z niebem. Pod maską opla kadetta coś postukuje, będę musiał znowu odstawić auto do warsztatu. W Oosterleek skręcam w lewo i po dziesięciu minutach parkuję samochód przed zakładem pogrzebowym w Venhuizen, który znajduje się dokładnie naprzeciw domu starców.

– Jak można coś takiego wymyślić? – pyta Ada. – Jak można być tak okrutnym?

Przybyło bardzo dużo gospodarzy, natychmiast poznaję ich po ubraniu – prawie wszyscy włożyli na czyste koszule „porządne swetry”. Z zakładu pogrzebowego przechodzimy za karawanem do kościoła rzymskokatolickiego. Tam żona Ariego przemawia nad trumną, a raczej zabiera się do wygłoszenia przemowy, jednak powiedziawszy „Arie zmarł” – przerywa i nie może dalej mówić. Dwie młode kobiety – zakładam, że to jej córki – wstają i odprowadzają matkę na miejsce. Proboszcz przewodniczy nabożeństwu pogrzebowemu, a lokalny chórek śpiewa smutną pieśń. Po krótkiej chwili ciszy wchodzi sześciu grabarzy w wysokich ciemnoszarych cylindrach, którzy biorą trumnę na ramiona i wynoszą ją na zewnątrz. Ada idzie obok mnie jak żona. Złapała mnie za ramię i płacze. Wima, jej męża, nie ma; boi się – jak powiedziała – śmierci i nie chce mieć z tym nic wspólnego. Poza tym ma inne sprawy na głowie. Cmentarz nie leży bezpośrednio za kościołem, trzeba iść jeszcze spory kawałek. Po drodze mijamy supermarket DeBoer. To porządny pogrzeb: grabarze opuszczają trumnę, żona i córki Ariego wrzucają ziemię do dołu. Gdy wracamy w kierunku kościoła, podchodzi do nas młody kierowca cysterny.

– Dobrze, że przyjechałeś, Helmer – mówi. – I ty też, Ada.

Solidarność to piękna sprawa.

– Ach, Gaitjo – odzywa się Ada głosem, który bardziej niż zwykle brzmi, jakby tłumiała go wata – to przecież minimum tego, co człowiek może zrobić.

Nic nie mówię, młody kierowca mnie wzrusza. Gaitjo, nie dziwota, że nie mogę spamiętać jego imienia. Nawet tutaj, na cmentarzu, się uśmiecha. Po prostu nie potrafi inaczej.

Zostaliśmy trochę w tyle. Gdy się odwracam, widzę dwóch mężczyzn zasypujących dół, nie ostrożnie, garstka po garstce, ale pełnymi łopatami.

Potem wszyscy wracają do domu pogrzebowego, by złożyć kondolencje żonie, córkom i dalszej rodzinie Ariego. Pijemy kawę, a Ada je kawałek ciasta. Ja zjadam dwa.

Ada chce wracać inną drogą. Jedziemy przez Hem i Blokdijk do Hoorn.

– Przejedźmy przez Beemster – mówi. – Beemster jest ładne.

Przecinam Berkhout do Avenhorn i Schermerhorn. Kieruję się według tablic w kierunku północnego Beemster.

– Wioskami? – pytam.

– Wioskami – przystaje Ada.

Skręcam w prawo i przejeżdżamy szosą przez północny i środkowy Beemster.

– Gdyby tak można było tu kiedyś zamieszkać – rozmarza się Ada. – Patrz no, co za przestrzeń. A ziemia jest położona tak ładnie wysoko, u nas jest stale wilgotno. Ciasno i wilgotno.

– Jamo Koper już wyjechał do Danii? – pytam.

– Nie, wyrusza w styczniu. – Rozgląda się tęsknie. – Wim tak by chciał coś większego. Nie coś strasznie rozległego, tylko odrobinę. Z dziesięć krów, parę hektarów ziemi.

– No to też musicie pojechać do Danii.

– Boże, nie. Wyobrażasz sobie, żeby Wim kiedyś stąd wyjechał?

– Nie – odpowiadam. – Nie wyobrażam sobie.

Wim całe swoje życie mieszka obok nas, ale ledwie co go znam.

Tuż przed skręceniem w stronę południowo-wschodniego Beemster Ada prosi, żebym jechał wolno, chce się dobrze przyjrzeć Jednoroźcowi.

– Tak – odzywa się, obserwując odrestaurowane gospodarstwa – my sobie jedziemy do

domu, a one zostają tam bez męża i bez ojca.

Tuż przed skrzyżowaniem zatrzymuję samochód i wysiadam. Łyse gałęzie pasa wiatrochronnego wzdłuż połaci ziemi naprzeciwko Jednorożca są wilgotne. Nie mogę dojrzeć końca szeregu drzew, pnie rozplývają się w lekkiej mgłę. Mija nas jakiś samochód, który jedzie o wiele za szybko. Po czym znowu robi się cicho. Po drugiej stronie skrzyżowania, obok trochę mniej ładnego gospodarstwa, stoją trzy konie.

Ada ma rację, Beemster jest piękne, również późną jesienią, lecz ja myślę o Danii. Wyobrażam sobie, że w Danii często wisi mgła.

Ada otwiera drzwiczki samochodu i wysiada.

– Co robisz? – pyta.

– Zwyczajnie, stoję sobie – mówię.

Przygląda mi się.

– Dobrze się czujesz?

– Oczywiście – odpowiadam.

– Pogrzeb to coś strasznie dziwnego.

– Hm.

– Zwłaszcza gdy chowany jest ktoś, kogo się nie za dobrze zna.

– No.

– Człowiek po tym czuje się bardziej żywy niż przedtem.

– Gdzie właściwie mieszka Galtjo?

– Nie mam pojęcia. Nie wiedziałam też, że Arie mieszkał aż w Venhuizen. No bo co się o tych ludziach właściwie wie?

– Niewiele – odpowiadam.

– Jedziemy do domu?

– Jedziemy.

Jadę główną drogą aż do kanału północnoholenderskiego. Mijam Purmerend, IJpendam i Watergang, aż do Het Schouw. Potem przejeżdżam przez Broek i jesteśmy w domu.

Kiedy wchodzę do zlewni, słyszę dźwięk telefonu. Szybko przechodzę przez komorę do sieni i odbieram. Nic nie słyszę.

– Halo?

Po drugiej stronie trwa cisza, taka cisza, w której się słyszy, jak ktoś wstrzymuje

oddech.

– Kto tam? – pytam.

Nie otrzymuję odpowiedzi i odkładam słuchawkę. W kuchni na stole leży nieprzeczytana gazeta. Nie mogę usiąść, muszę coś robić. Jestem już „po”; czuję się bardziej żywy niż „przed”.

Mam od bardzo dawna ładną małą ręczną piłę, która świetnie się nadaje do ogławiania wierzb. Wciąż jest bardzo ostra, myślę, że to była droga piła. Na południe od gospodarstwa rosną wierzby białe, które raz na trzy lata ogławiam. W tym roku jeszcze nie nadarzyła mi się okazja, a dzisiaj jest idealny dzień na przycinkę. Miejmy nadzieję, że jutro też taki będzie, bo w jeden dzień nie dam rady skończyć. Już w połowie pierwszej wierzby robi mi się gorąco, a kiedy zaczynam drugą – ociekam potem. Nie potrzebuję drabiny, skrzynka na ziemniaki jest wystarczająco wysoka. Kiedy zbliża się pora dojenia, mam za sobą ogłowienie sześciu wierzb z boku gospodarstwa i już nie pamiętam, o czym przez ten cały czas myślałem. Wrzucam parę gałązek osłom do żłobu, a potem dzwonię do Ady, W tym, co ma się stać najładniejszym ogrodem w gminie Waterland, zaczęła wznosić faszynadę. Mówię jej, że może wziąć sobie moje gałązki wierzbowe, jeśli tylko sama po nie przyjdzie.

Ojciec stoi przy oknie. To niedobrze. Opiera się ramionami o wąski parapet, a czoło przyciska do szyby. Pokój wypełnia blade światło, pogoda jest taka sama jak poprzedniego dnia – mglista, ze słońcem, które na próżno próbuje się przebić.

– Jak tam dotarłeś? – pytam.

Mówi coś, ale nie mogę go zrozumieć.

– Co?

Unosi się nieznacznie, podpierając na ramionach, przez co plecy mu się prostują, a czoło odkleja od szyby.

– Wrony siwej nie ma – mówi.

– Co?

– Wrony nie ma, odleciała.

Czego nie widziałem na dole przez frontowe okno w kuchni, widzę teraz, spoglądając ponad ojcem przez okno sypialni: konar na krzywej osice jest pusty.

– Nie czekała na mnie.

– Nie, no pewnie, że nie, co za bzdury.

– Tak myślałem.

Ramiona zaczynają mu drżeć, a głowa się trząść. – Ale to by było cudownie – mówię pod nosem. – Co?

– Wracaj do łóżka – nakazuję.

– Nie umiem.

– Czemu nie? Do okna dojść umiałeś, prawda?

Powoli się odwraca, prawe ramię nie odrywa się od parapetu. Patrzy na swe łóżko tak, jak powątpiewający w swoje możliwości skoczek w dal mierzy wzrokiem belkę do odbicia. Kroczek po kroczeniu, szurając, oddala się od okna.

– Nie dojdę – mówi w połowie drogi.

– Pewnie, że dojdiesz – odpowiadam. – Jeszcze kawatek.

Nie dochodzi. Baczę, by go złapać. Chwytam go i prowadzę do łóżka. W chwili gdy mam go położyć, rozlega się telefon. Niech sobie dzwoni, jak odbiorę, na pewno znowu usłyszę napiętą ciszę. Dzwoni siedem razy. Kładę ojca do łóżka.

- Mogę chodzić – mówi, wciąż zziębnięty.
- Wiesz, kto umarł? – pytam.
- Nie.
- Arie.
- Jaki Arie?
- Kierowca cysterny.
- Nie!
- A jednak.

W drzwiach jego pokoju nie ma klucza. W drzwiach pokoju Henka, na zewnątrz, również nie. Wchodzę do środka i siadam na jego łóżku. Klucz tkwi w dziurce. Zastłony są zaciągnięte, w pokoju zapada zmrok. Gapiąc się w sufit, zdaję sobie sprawę, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdybym kogoś miał, gdybym był żonaty i miał dzieci. Kiedy się ma rodzinę, z czystym sumieniem można się pozbyć ojca.

Wstaję i wyjmuję klucz z dziurki. Przecinam sień i wkładam klucz do dziurki w drzwiach ojcowskiego pokoju. Pasuje, ale dopiero gdy go przekręcam, czuję, że rzeczywiście pasuje. Z pokoju nie dobiega żaden komentarz. Wyjmuję klucz z zamka i stoję z nim w jednej ręce, po czym wkładam go do niego z powrotem.

Oba pokoje położone są po prawej stronie podestu. Naprzeciwko klatki schodowej znajduje się okienko w dachu, przez które wpada mało światła – tu, na górze, zawsze panuje wieczór. Na końcu podestu, po lewej stronie obok okienka w dachu, jest trzecia sypialnia, mniejsza niż oba pokoje. Ten pokój zajmuje może jedną trzecią powierzchni zlewni położonej pod nim. „Nowy pokój”, jak aż do śmierci nazywała go matka.

Nie pamiętam, jaki pomysł miano na to pomieszczenie, które od chwili wybudowania gdzieś w latach sześćdziesiątych, jednocześnie ze zlewnią, stało nieużywane. Nigdy tam nie wchodzę. Drzwi do niego są zawsze zamknięte. Podłogę pokrywa ta sama granatowa wykładzina co w obu sypialniach. To bardzo dziwny pokój – czuję to teraz, kiedy znowu do niego wkraczam. Choć pachnie stęchlizną, unosi się w nim jednocześnie zapach nowości, świeżo urządzonego pomieszczenia. W pochyłej ścianie znajduje się dość duże okno połaciowe, dzięki któremu jest tu trochę mniej mrocznie niż na podeście. Ale pokój jest pusty, nie ma żadnego powodu, by do niego wchodzić.

Przez okno widzę osły w najodleglejszym kącie ich wybiegu. Dziś rano znowu wcześniej je wypuściłem. Są nierozłączne, tylko kiedy biegną lub kłusują, od czasu do czasu tracą ze sobą kontakt, a potem ze strachu nie wiedzą, jak szybko znowu się ze sobą połączyć. Przed zejściem na dół nieznacznie uchylam weluks.

To był sklep z łózkami. Późnym popołudniem pogodny sprzedawca zadzwonił po raz drugi i powiedział, że już wcześniej próbował się dodzwonić. Jutro przyjeżdża łózko. Pytam o której. Tego nie może dokładnie powiedzieć, „jakoś z rana”. Przed odłożeniem słuchawki radzi mi jeszcze nabyć automatyczną sekretarkę, bo w ten sposób łatwiej jest zostawić wiadomość.

Za kurnikiem, stajnią osłów i gnojowiskiem, nad rowem melioracyjnym, rośnie osiem wierzb. Siedem z nich stoi prosto, porządnie, jedna pochyla się nad rowem. Co roku zabieram się do tego drzewa w ten sam sposób: ustawiam rozkładaną drabinę ponad rowem i umieszczam na niej poprzecznie krótką belkę, w którą wbiłem parę długich gwoździ, by ją zaklinować (brzegi rowu mają różną wysokość). Potem kładę na drabinie drewnianą paletę, która – ponieważ opiera się jedną stroną na belce – spoczywa prawie poziomo. Po ustawieniu na palecie drewnianej skrzyneczki mogę dosięgnąć witek wierzbowych. Zaczynam od krzywej wierzby, a gdy ta już jest podcięta, pozostałe siedem to łatwizna. Ostra jak brzytwa stal ręcznej piły wchodzi gładko w młode, wiotkie drewno. Moje ramiona i barki są mniej elastyczne po przycięciu poprzedniego dnia sześciu drzew. Po paru wierzbach robię przerwę na odpoczynek. Przyglądam się owcom, które pasą się na kawałku pastwiska pod wiatrakiem Bosmana.

Dwadzieścia trzy, co to za dziwna liczba; dwadzieścia bardziej by pasowało.

Faceci, którzy przywieźli łóżko, musieli się nieźle napocić. Zestaw do samodzielnego skręcenia to to nie jest. Przeniesienie go przez drzwi wejściowe nie stanowiło problemu, wykręcenie z sieni do salonu okazało się trudniejsze. Moje stare łóżko wyniosłem od razu po dojeniu. Materac postawiłem na boku w sypialni Henka, drewnianą ramę wyrzuciłem w kawałkach na stos drewna na podpałkę, obok gnojowiska. Robi się on dość wysoki, może jak wiatr będzie wiał w dobrą stronę i nie będzie padać, zrobię z niego ognisko na sylwestra. Dostawcy pozostawili ślady błota w salonie i sypialni i nie chcieli kawy, bo mieli też inne łóżka do rozwieszenia. W domu jeszcze długo potem panował ziąb, ponieważ nikt, ja również, nie pomyślał o tym, by w tym całym zamieszaniu zamknąć drzwi wejściowe w sieni. Ze wschodu wieje zimny wiatr, który bije w okna od frontu. Dziś w nocy chwyci mróz.

Łóżko ma szwedzką albo duńską nazwę, która mi umknęła, coś z kropeczkami nad „A”. Jest w biało-niebieską kratę i bardzo szerokie; niezależnie od tego, jak bym się na nim położył, stopy nie wystają mi poza krawędź. Przez cały czas ścielenia łóżka ojciec się wydiera. Jest strasznie ciekawski. W pierwszej chwili ogarnia mnie strach, bo wydaje mi się, że zapomniałem, gdzie zostawiłem klucz, ale potem przypomina mi się, że zwyczajnie tkwi w zamku. Oblekły jedną poduszkę i położywszy ją na swoim miejscu, siadam w kuchni. Kiedy zajmuję miejsce matki i pochylam się nad stołem, przez otwarte drzwi mogę zajrzeć do sypialni. Dwie poduszki. Po co mi dwie poduszki? Tylko że jedna to szczególny widok; w pewien sposób wytrąca szerokie łóżko z równowagi. A nie były tanie. Po przeczytaniu pierwszej strony gazety i wypiciu kawy idę do pokoju i oblekam drugą poduszkę.

W południe na podwórzu wjeżdża furgonetka handlarza bydlęm. Dziwaczny z niego typ, prawie nic nie mówi. Ubrany jest w schludny płaszcz ochronny i czapkę, którą ściąga z głowy, gdy wchodzi do domu. Nie zdejmuje jej, kiedy spotyka mnie na zewnątrz lub w stajni. Zawsze robi uwagi o pogodzie, a potem milknie. To ja mam powiedzieć, czy coś dla niego mam, czy nie. Kiedy nic nie mam, natychmiast odjeżdża bez zbędnych słów. Jeszcze nigdy – a przyjeżdża już do nas od przeszło trzydziestu lat – nie usiadł przy stole kuchennym. Zostawia swoje drewniaki przed drzwiami w wejściu, a stojąc na linoleum w kuchni, stawia

jedną stopę na drugiej i gmera palcami u nóg w grubych skarpetach z koziej wełny. Dzisiaj stoimy pośrodku podwórka i coś dla niego mam. Kilka owiec.

– Są pokryte? – pyta.

– Tak. Pod koniec listopada zabrałem od nich tryka.

– Trzy?

– Trzy. Za ile schodzi dzisiaj jedna owca?

– Jak się ma szczęście, to za sto dwadzieścia. Ale prędeż za sto.

–To niewiele. –Tak, niewiele. Są już w obejściu?

– Nie, ciągle na pastwisku.

Nie spieszy się, by mi pomóc. Mógłby też wrócić jutro. Wchodzimy na pastwisko i zapędzamy owce pod ogrodzenie od strony grobli. On łapie jedną, ja chwytam dwie. Pozostałe dwadzieścia sztuk rozpierzcha się na wszystkie strony. Otworzywszy bramkę i wypuściwszy owcę na pozostały kawałek ziemi, przejmuje jedną ode mnie. Zaganiamy owce do zagrody za gospodarstwem. Przełazę przez ogrodzenie i przynoszę dwa oddzielne płotki ze stodoły, które zaczepiam po obu stronach opuszczonego trapu furgonetki. Między płotkami a przegrodą rozciąga się najwyżej pięć metrów. Otwieram ją i jedna z owiec wchodzi po trapie jak po sznurku. Dwie pozostałe idą jej śladem. Handlarz byłem podnosi i zamyka trap.

– Poszło jak z płotka – mówi.

– Mogło być gorzej – przyznaję.

Handlarz byłem unosi palce do góry na znak pożegnania i włazi do szoferki. Powoli jedzie w kierunku grobli i jeszcze wolniej skręca na szosę.

Zamykam bramę. Pozostałe dwadzieścia owiec skupiło się na skrawku ziemi przy wiatraku, w najodleglejszym kącie pastwiska.

Wieczorem, przed położeniem się do łóżka, obcinam sobie paznokcie u rąk i u nóg i długo stoję pod prysznicem. Zostawiam mały ogień w piecu i uchylone drzwi sypialni. W dużym lustrze, które wisi nad kominkiem, spoglądam na siebie nagiego od stóp do głów. Nieoczekiwanie nachodzi mnie ochota na jazdę na łyżwach; chcę poczuć znużenie, jakie odczuwa się w mięśniach nóg i pośladków po rundzie na łyżwach. Ciepło pieca ogrzewa mi członek. Potem po raz pierwszy wchodzę pod kołdrę. Płomień w moich łądźwiach szybko ustaje; poszwa kłuje od nowości i przez całą noc ledwie udaje mi się zmrużyć oko.

Teun i Ronald wiążą gałązki wierzbowe w pęki. Kładą kawałki sznurka pakowego na ziemi, rzucają na nie naręczna wierzbowych witek i związują. Przez ogród przenoszą wiązki na podwórze. Machają do mnie za każdym razem, kiedy mijają okno. Przede mną na stole kuchennym leży rachunek telefoniczny i ręcznie napisany list, który przyniosła mi Ada. Tuż przed wjechaniem na podwórze samochodu z przyczepką odjechał listonosz. Jest sobota.

Chcę otworzyć list, ale Ada wciąż stoi na progu mojej sypialni. Przed chwilą macała poszwę kołdry.

– Taką pościel trzeba wpierw uprać! – wykrzykuje. – Nowy materiał potrafi być taki sztywny!

Kiwam głową na Ronalda, który pomachawszy mi, przechodzi pod frontowym oknem. Odprowadzam go wzrokiem w myślach i spostrzegam go w bocznym oknie dokładnie w chwili, w której powinien się w nim zjawić. Znowu mi macha. Ma na głowie czapkę, a z siniego nosa leci mu strużka smarków. Cieszy się; zawsze się cieszy, nawet gdy mu zimno w palce i gdy, jak teraz, przewraca głąb jarmużu w warzywniaku.

– Naprawdę ładnie, wiesz?

Wzdrygam się.

Ada stoi w drzwiach z głową lekko odwróconą, jakby nasłuchiwała.

– Czegoś mi tu brakuje – mówi. – W salonie.

– Krzesel?

– Nie – zamyśla się na chwilę. – Dźwięku.

– Zegara?

– Tak, zegara. Gdzie się podział? Chyba go nie wyrzuciłeś na stos, co?

– Nie. Stoi na górze u ojca.

– Aha – mówi Ada. Obserwuje moje dłonie. – Od kogo to list?

– Nie wiem, najpierw muszę go otworzyć.

– Wszystko w porządku z ojcem?

– Bez zmian.

– Schodzi czasem na dół?

– Czasami. Dużo śpi.

– Tak, tak.

Patrzy na mnie z lekko przekrzywioną głową, tym razem jednak nie tak, jakby czegoś nasłuchiwała.

– Pójdę załadować przyczepkę – odwraca się i wychodzi do sieni.

Czekam na trzaśnięcie drzwi do komory, ale zamiast tego zza framugi drzwi kuchennych wyłania się głowa.

– Dwie poduszki, Helmer – mówi. – Dwie poduszki.

Gdy patrzy tak znacząco, z tą swoją zajęczą wargą Ada wygląda prześmiesznie. Potem znika na dobre. Obracam list w dłoni. Na odwrocie koperty nie widnieje żadne nazwisko.

Drogi Helmerze!

Nie przestrasz się, wiem, że najpierw szukałeś nazwiska nadawcy, też zawsze tak robię, gdy dostaję list, ale nie masz żadnego powodu przestraszyć się mojego nazwiska. Może nawet już zapomniałeś, kim jestem! Nie widzieliśmy się ani nie rozmawialiśmy ze sobą przeszło trzydzieści lat i przez to pisanie tego listu jest takie ciężkie.

Od razu uczciwie powiem, że zabrałam się do napisania do Ciebie, bo wydaje mi się, że Twój ojciec już od jakiegoś czasu powinien nie żyć. Mam rację? Wasz ojciec stanowił zawsze dla mnie przeszkodę w nawiązaniu kontaktu z Tobą. Mówiąc to, nie noszę w sobie jakiejś urazy, choć może Cię ronie, bo się smucisz (ewentualną) śmiercią swojego ojca.

I naprawdę muszę spisać wszystko, co się ze mną działo? No dobrze, w takim razie krótko. Przeniosłam się do rodziny w Brabancji i tam szybko wyszłam za mąż za hodowcę świń. Urodziły nam się dwie córki, a dużo później jeszcze syn. Córki już dawno poszły z domu. Mój mąż (miał na imię Wien, tak, to trochę dziwne imię) w zeszłym roku zmarł. Syn wciąż mieszka ze mną, niedawno skończył osiemnaście lat.

Przyznam od razu szczerze, że zanim zabrałam się do tego listu, próbowałam się z Tobą skontaktować. Raz w środku nocy podjechałam na rowerze pod Wasze gospodarstwo i jakiś czas stałam i na nie patrzyłam. Zobaczyłam Cię w oknie pokoju na górze (po ojcu ani śladu). Zatrzymałam się na noc u mojej ciotki w Monnickendam (Tak, ciągle żyje, ma osiemdziesiąt trzy lata. Znasz ją? Ona Ciebie nie), której nie widziałam z piętnaście lat. Nie pojęła, czemu zawdzięcza ten honor. Zadzwoniłam później do Twoich drzwi, ale nagłe obleciał mnie strach i szybko odjechałam. Raz też zatelefonowałam, a kiedy usłyszałam Twój głos, stchórzyłam i odłożyłam słuchawkę. Ale zrozumiesz, że nie jest mi łatwo się z Tobą spotkać albo Cię

słuchać. Kiedy usłyszałam Twój głos, ujrzałam tam, w drzwiach, Henka.

Z tego wszystkiego Ust wydaje mi się jednak najłatwiejszy ale teraz i tak ciężko mi przychodzi jego pisanie. Będę mogła jeszcze raz do Ciebie napisać? Czy może się zdzwonimy? Pod listem zostawiam mój numer telefonu.

W takim razie, Helmerze, wszystkiego dobrego – od Rity.

PS Właściwie chciałam Cię o coś poprosić.

List, tak jak adres na kopercie, napisany został odręcznie. Żadnego adresu, tylko numer telefonu. Nie otwieram rachunku.

W południe – a jest weekend – przyjeżdża podnośnik z gminy. Jeden pracownik obsługuje maszynę z ziemi, a drugi odkręca klosz latarni. Zza żaluzji w salonie obserwuję prace; nie wydaje mi się, by mężczyźni mogli mnie widzieć. Dopiero gdy kończą, opuszczam swoje stanowisko przy oknie. Kładę się na nowym łóżku. Jestem niespokojny, moje ciało ogarnęło takie samo uczucie jak w dniu, gdy zobaczyłem stado różnorodnych ptaków, a owce gapły się na mnie jak pluton egzekucyjny. Nici ze spania; po głowie kołaczą mi się przeróżne myśli, żadna nie ostaje się na dłużej. Malowanie salonu i sypialni, ogławianie wierzb, Jamo Koper w Danii, pogrzeb starego kierowcy cysterny, wrona siwa na osice. Zakup nowego łóżka, na którym teraz leżę i które powinno mi przywrócić sen, jednak niepokój jest zbyt wielki.

List od Rity.

Dziewiętnastego kwietnia 1967 roku byłem w połowie trzeciego trymestru propedeutyki języka niderlandzkiego i lingwistyki. Wydaje mi się, że byłem najgorliwszym studentem na roku, nie z powodu zapału do nauki czy motywacji, ale dlatego, że chciałem zasłużyć na uznanie ojca. Ze względu na warunki materialne nie przyznano mi stypendium. „Warunki materialne” – napisano w odmownym liście z dyrekcji stypendiów Ministerstwa Edukacji i Nauki, a on i ja wiedzieliśmy, co zaliczało się do tych warunków: ziemia, zabudowania, krowy i maszyny.

– Mam sprzedać krowy, żebyś mógł studiować? – zapytał ojciec, kiedy pokazałem mu list. Nie poczekał na moją odpowiedź, nic więcej nie powiedział, zgniótł list i wyrzucił go do zlewu, bo w pobliżu nie było kosza na śmieci. Gdyby miał przy sobie zapalniczkę albo zapałki, spaliłby ten list. Henk też stał w kuchni i nie wiedział, jak ma na mnie patrzeć spod swych ciemnych brwi. Matka wyjęła list ze zlewu i próbowała go wygładzić, ale potem i tak go w końcu wyrzuciła do kosza.

Wciąż więc mieszkalem w domu, jeździłem na rowerze do Amsterdamu, chodziłem na wykłady i miałem się najróżniejszych zajęć, by móc opłacić studia. Kiedy rano z zapuchniętymi powiekami siedziałem przy kuchennym stole, bo poprzedniego wieczoru wróciłem do domu po rozładunku ciężarówek zaopatrujących wielki magazyn, matka czasem pytała, co porabiam w Amsterdamie. Amsterdam – miasto, do którego lepiej było nie jeździć. Właściwie nie miała pojęcia, o co ma mnie pytać, ale w każdym razie próbowała. Ojciec do 19 kwietnia może z trzy razy zapytał, ile to nowych słówek się nauczyłem, zanim (nie czekając na odpowiedź) podjął rozmowę z Henkiem. Rozmowę o krowach, które nie dawały mleka, o zmianie miejsca wypasu rocznych cieląt albo o gospodarzach w okolicy. O rzeczach, które miały znaczenie. Dla niego i Henka.

Henk był gospodarzem, Henk był synem ojca. Nie zastanawiał się nad tym, co ma począć ze mną lub co ja mam począć z sobą.

No i Henk miał Ritę. Do czasu, gdy spotkał ją w grudniu 1965 roku w pewnej knajpie w Monnickendam, Henk był mój, a ja – Henka. Też byłem wtedy w tej knajpie, co lekko dezorientowało Ritę. Był wieczór wigilijny, typowy wieczór spotkań dla tych, którzy nie chodzą na pasterkę. Henk wdał się z nią w rozmowę i w miarę upływu czasu coraz bardziej

odsuwali się od grupy, w której zaczęliśmy wieczór – grupki synów chłopskich, wśród których ja zostałem. Henk stał odwrócony do mnie plecami, patrzyłem na tył jego głowy i widziałem, że był mocno zagadany, Rita natomiast od czasu do czasu rzucała mi zza jego ramienia lekko zalęknione spojrzenia. Jeszcze nigdy nie widziałem tak ładnej dziewczyny. On mówił, ja milczałem; to był typowy Henko-Helmerowy wieczór (kolejność nieprzypadkowa). Mieliśmy po osiemnaście lat, wciąż byliśmy do siebie podobni jak dwa jagnięta, tyle że dwóch różnych owiec, a po tym wieczorze wigilijnym zostałem sam.

Z początkiem kwietnia Rita otrzymała prawo jazdy. Dziewiętnastego kwietnia chciała pokazać Henkowi, że nie dostała papierka na piękne oczy, jak sądził, jak tyłu mężczyzn sądzi. Tego popołudnia miałem gramatykę historyczną i wracałem rowerem do domu. Wiatr wiał z południowego zachodu, bił mnie w plecy; nie zasunąłem zamka kurtki.

Matka siedziała w kuchni, sama.

– Henk nie żyje – powiedziała.

Przy Morderczym Wyłomie, między Edamem a Warder, Rita wypadła z drogi, bo nadjeżdżający z naprzeciwka samochód nie zjechał na swój pas. Prowadzone przez nią auto stoczyło się z grobli, przekoziołkowało i wyładowało w jeziorze IJssel. Henk stracił przytomność, drzwiczki po jego stronie wygięto, a dach został wgnieciony. Dokładnie w tym miejscu woda była głębsza niż gdzie indziej, być może z powodu wyrwy w grobli od strony lądu, za sprawą której powstał Morderczy Wyłom. Nawet z pomocą kierowcy, który nie zjechał jej z drogi, Ricie nie udało się wydobyć Henka z samochodu. Samochodu, który przeleżał aż do następnego dnia w jeziorze IJssel – granatowej simki ojca.

Kiedy Henk stał w salonie, Rita była u nas codziennie. Zjawiała się wczesnie rano i późnym wieczorem wracała do domu. Ponieważ Henk utonął, trzeba było szybko zbić trumnę. W nocy z 19 na 20 kwietnia chwycił porządny przymrozek i oba przesuwane okna zostawiono uchylone na noc. Matka z Ritą całymi dniami siedziały beczynn timer w kuchni. Od czasu do czasu ktoś zachodził, głównie dziadkowie, z których w 1967 roku żyło jeszcze troje. Ojciec i ja unikaliśmy się nawzajem i staraliśmy się jak najczęściej przebywać na zewnątrz. Dwie kobiety siedziały przeważnie w kuchni, milcząc, Henk leżał w zimnym salonie, a ja w nocy nie mogłem spać, bo się bałem, że poczuję jego zapach. Dwa dni po wypadku

pojechałem na rowerze do Amsterdamu na wykłady. W drodze w tamtą stronę długo stałem w najwyższym punkcie mostu schellingwoudzkiego, wpatrując się w Śluzy Orańskie. Pamiętam dokładnie, że dziewiętnastego miałem wykład z gramatyki historycznej, bo kiedy wróciłem do domu, matka oznajmiła, że Henk nie żyje. Na śmierć zapomniałem, jakie wykłady miałem przed tą datą lub po niej. W drodze powrotnej znowu długo stałem w najwyższym punkcie mostu schellingwoudzkiego, tym razem wpatrując się w zewnętrzną część jeziora IJ, odwołując chwilę naciśnięcia na pedały. Most świętował tego roku dziesięciolecie. Czułem, że zostanę zapomniany; ojciec i matka byli rodzicami, Rita prawie żoną, a ja – zaledwie bratem.

Od tego dnia niemalże wszystkie moje wyprawy prowadzą na północ, bardziej na południe niż do naszej wioski się nie zapuszczam.

Po pogrzebie Rita nie przestawała się trząść, od wielu już dni skostniała od lodowatej wody jeziora IJssel i poczucia winy. Żałobnicy odjechali, siedzieliśmy w czwórce w kuchni, Rita na miejscu Henka, ze światłem wpadającym przez boczne okno za plecami. Ojciec uniósł pustą filiżankę po kawie i potrząsał w niej łyżeczką, surowo wpatrując się w blat stołu. Matka wstała i milcząc, dołała mu kawy. Henk też tak umiał – potrząsać łyżeczką w filiżance, aż podskakiwała – ale robił to, uśmiechając się do mnie, i dziękował matce, gdy mu dolewała. Zauważyłem, że Rita patrzy na ojca. Mieszał kożuch z mleka w kawie. Potem spojrziała na mnie. Dostrzegłem w jej oczach ślad tego popłochu, z jakim spoglądała na mnie tego wieczoru, kiedy spotkała Henka. Nie pamiętam, byśmy rozmawiali. Rozmowy prowadziła z matką. To był tydzień ciszy.

Musiła mieć jakiś zawód, nie pamiętam jaki. Trzy dni później wciąż u nas siedziała, jakby nie wiedziała, co ma z sobą zrobić. Zarażała matkę. Wymykały się i razem krążyły, często chodziły pod wiatrak Bosmana, jakby wiedziały, że to było ważne dla Henka miejsce. Jadła z nami posiłki i było to czymś oczywistym. W każdym razie dla matki i dla mnie. Nie dla ojca. Tamtego wieczoru, jeśli dobrze liczę, musiał to być 26 kwietnia, jadł, uparcie milcząc. Tuż zanim wsunął do ust widelec z ziemniakami, odezwał się do Rity; były to jedyne słowa, które w ciągu tygodnia ciszy do niej wypowiedział:

– Masz sobie pójść i nigdy więcej nie wracać.

Rita odłożyła starannie widelec i nóż – jako jedyna jadła nożem i widelcem – obok

swego w połowie opróżnionego talerza, odsunęła krzesło i wstała.

– Dobrze – powiedziała spokojnie, jakby się tego spodziewała, jakby na to czekała. Wyszła do sieni, włożyła płaszcz i opuściła dom drzwiami od frontu. Matka zaczęła płakać. Podniosłem się i podszedłem do frontowego okna. Zobaczyłem, jak na rowerze skręca na szosę. Taką Ritę zapamiętałem: z lekko pochylonymi plecami (jechała pod wiatr), z rozwianymi blond włosami, pedałowującą wąską, pustą drogą, która w miarę zbliżania się do grobli pustoszała coraz bardziej. Zniknęła tak, jak w listopadzie czerwone światełko pozycyjne nikt nie za framugą okna.

Ojciec miał jeszcze coś do powiedzenia:

– A ty kończysz w Amsterdamie.

Stałem się synem ojca. Matka nie przestawała płakać.

Jeżdżę na łyżwach. Po czterech nocach mrozu Wielkie Jezioro pokryło się lodem – z wyjątkiem słabo zamrożonego podłużnego fragmentu na środku. Jeśli będę obserwować kaczki, kurki wodne i łyski, nie wpadnę do wody. Amsterdamczyków jeszcze nie ma, nie wiedzą, że już można jeździć. Ostatnim razem, lata temu, kiedy naprawdę chwycił mróz, kupiłem sobie panczeny, bo chciałem jeździć po kole. We fryzyjskich łyżwach nie da się brać zakrętów. Teraz wykręcam kółka, coraz szybciej, coraz szersze. Jeszcze niżej uginam sztywne kolana. Im szybciej jadę, tym mniej szczelin pojawia się w miejscach, gdzie lód jest czarny. Jazda na łyżwach przed świętami – to się od wielu lat nie zdarzyło. Jakies dziesięć kuców szetlandzkich obserwuje mnie głupkowato – one nie widzą lodu, ale gładką wodę. Kiedy kolana i lędźwie zaczną odmawiać mi posłuszeństwa i tak będę musiał się zatrzymać, bo inaczej wleciałbym w wysuszone na wiór chaszczce przy wschodnim brzegu jeziora. Jeśli nadal będzie tak mroźno, to za parę dni uda mi się pojechać na łyżwach do Monnickendam, a może i okrążyć Watergang albo IJpendam.

Nauczyłem się jeździć na łyżwach bez Henka i bez ojca. Ojciec boi się zamrożonej wody, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Wszystko robiliśmy razem, Henk i ja, z wyjątkiem jazdy na łyżwach. Jeździć nauczył mnie parobek, marka mnie zachęcała. Ona jeździła na figurówkach, kręciła kółeczka, robiła ósemki i co jakiś czas wykrzykiwała „Dobrze!”. Parobek nie ciągnął mnie za sobą, co moim zdaniem zwykle się robi, gdy się chce kogoś nauczyć jeździć. On mnie popychał. Jego wielkie dłonie spoczywały na moim tyłku jak siedzisko krzesła, on sam opuszczał się bardzo nisko w kolanach. Kiedy wołałem „Stop!”, hamował i przytrzymywał mnie, chwytając mnie dłońmi za biodra. W moich wspomnieniach jeździł tak ze mną godzinami. Również kiedy matka już dawno skończyła swoje ósemki. Ale tak to nie mogło wyglądać. Ojciec musiał przemierzyć pole, by stanowczo mu przypomnieć, że ma inne rzeczy do roboty niż zabawianie się na lodzie. Mnie – sześciu- lub siedmioletniego chłopaczka – też pewnie zmierzył karcącym wzrokiem, ponieważ Henk zajmował się rocznymi cielakami. Albo zbierał jajka, może nawet obcinał krowom ogony. Matka musiała już się pewnie z powrotem krzątać przygaszona w kuchni, bo i ona dostała reprimendę. Jak mogło jej w ogóle przyjść do głowy, żeby jeździć na łyżwach z parobkiem?!

Bardzo możliwe, że ojciec właśnie tego dnia – najzwyczajniej dlatego, że ja zabawiałem się czymś innym – powziął milczącą decyzję, że to Henk zostanie gospodarzem, choć to ja byłem starszy, co prawda ledwie o parę minut. Henk pomagał ojcu, ja szedłem na łyżwy i zachowywałem się tak, jakby parobek był mi równy. Być może był to jeden jedyny incydent w całej serii incydentów, który sprawił, że ojciec uznał, iż nie nadaję się do tego, by iść jego śladem. Kiedy zmarł Henk, ojciec musiał się zadowolić mną, ale w jego oczach na zawsze pozostałem drugim wyborem.

Paroma długimi ślizgami przedostaję się do miejsca w sitowiu, gdzie zostawiłem chodaki. Zdejmuję łyżwy i obserwuję ptaki wodne. Ojciec nazywa kurki wodne wraz z łuskami „kurczakami z sitowia”, ponieważ nie odróżnia jednych od drugich. Zajrzę jeszcze dzisiaj na górę zobaczyć, jak się prezentują lodowe kwiaty na jego oknie. Kwiaty ze szronu kojarzą mi się z Henktem, z jego ciepłym łóżkiem.

Jeszcze przed dotarciem do drogi widzę, jak na podwórzu wjeżdża ciężarówka handlarza byłem. Nie spieszę się. Pójdzie mnie szukać, a zanim wszystko obejdzie, ja będę już w domu. Myśli zatrzymują mi się na słowie „wszystko” i natychmiast widzę, jak handlarz, gmerając w skarpetach palcami u nóg, stoi na granatowej wykładzinie przy łóżku ojca, z czapką w rękach, w poważnym milczeniu. Ojciec nie milczy – trajkocze i mamrocze, i nie milknie do chwili, kiedy wchodzi do pokoju. Teraz przyspieszam kroku, oszronione trawy skrzypią pod chodakami. Przełazę okrakiem przez ostatnią bramę od strony grobli i wbiegam na podwórze.

Handlarz byłem wychodzi z obory, w której stoją młode. Na mój widok chce zdjąć czapkę z głowy, ale zmienia zdanie.

– Masz tam parę świetnych cieląt – odzywa się. – Tak – odpowiadam zziębnięty.

– Zimno – mówi na to. – Tak.

– Jeździłeś na łyżwach?

– Tak. Wielkie Jezioro już zamarzło.

– Sprzedałem twoje owce.

– Szybko.

– Ach, takiemu jednemu hodowcy hobbyście. Dał sto trzydzieści za sztukę.

– Nieźle.

Sięga po portfel, ogromny okaz przytwierdzony łańcuszkiem do paska, Zwiłża kciuk i palec wskazujący i wyjmuje sześć banknotów po pięćdziesiąt. Bierze trzydzieści procent, niezależnie od wysokości utargu.

– To uczciwa stawka. Inaczej nic bym z tego nie miał.

– Dziękuję – mówię. – Zadeklarujesz to?

– Nie.

– To dobrze.

Rusza do swojej ciężarówki ustawionej pośrodku podwórza. Gramoląc się do szoferki, rzuca:

– Wesółych świąt.

Dzisiaj jest rozmowny. Rozmowny i hojny.

Parkuję u wylotu ulicy 't Prooyen, bo coś mi świta, że znajduje się przy niej butik z obrazami. Tak, sklep nosi nazwę U Simmie i stoi na rogu. Czuję, że się denerwuję, i otwieram drzwi, nie obejrzawszy nawet wystawy. Wychodzi do mnie zwałista kobieta w obszernych szatach, na pierwszy rzut oka artystka. Czy chciałbym o coś zapytać? Nie, chcę się tylko rozejrzeć. Długo mi nie trzeba; jeśli te kolorowe plamy to „sztuka”, to ja jestem panem na włościach w Groningen. Kiedy znowu wychodzę na ulicę, czuję zapach węgla drzewnego i wędzarni rybnej. Biorę z pół kilo węgorza, którego rybak owija w starą gazetę i wkłada do plastikowej siatki. Następnie posuwam się wzdłuż wody. Na wysokości tak zwanego Angielskiego Kąta mieści się galeria. Na półkach przytwierdzonych do ścian ustawiono saponitowe figurki, które bardzo mi się podobają, przede wszystkim ich faktura, ale po głowie wciąż chodzi mi jakiś obraz. Wracam do centrum ulicą Noordeinde. Wszędzie wiszą transparenty z napisem SZTUCZNE OGNIE. Pod zadaszonym tarasem restauracji De Waegh umieszczono szopkę z krowami i osłami naturalnej wielkości. Jakieś dziecko dotyka oślego nosa i o mało co nie spada z podestu ze strachu, gdy łeb osła zaczyna się bujać. W starym porcie, na łodzi płaskodennej, ustawiono potężną choinkę; palą się na niej światełka. Łódz unieruchomił łódź. W drodze powrotnej do samochodu mijam antykwariat. Wchodzę do środka, choć wcale nie szukam staroci – te właśnie wyrzuciłem na stos na podpałkę lub zmagazynowałem w pokoju Henka. Starszy mężczyzna siedzący w ciemnym kącie unosi głowę, ale nic nie mówi ani o nic nie pyta. Siatkę z węgorzem kładę na krześle przy wejściu i rozglądam się. Na dębowym stole leży stos starych map. Nie wiem, na co by mi była stara

mapa, mimo to zaczynam je przeglądać. Prowincja Holandia Północna, osuszanie łądu, coś, co nie od razu rozpoznaję, Merken, Beemster. Odkładam mapy jedna po drugiej, aż powracam do tej, której nie mogłem rozpoznać. Wyciągam ją ze stosu. To Dania, stara Dania – w większości w zieleni, z trzema zamieszczonymi w rogu mapkami Islandii, Bornholmu i wysp Faro. Islandia i Faro są brązowe. Mapa jest w dobrym stanie, jedynie trochę pośliznęła na brzegach. Kupuję ją i nawet dostaję resztę z banknotu pięćdziesięcioeuroowego, który podałem staremu mężczyźnie. Następnie przechodzę przez ulicę do warsztatu szklarskiego. Wybieram szeroką, pomalowaną jasnym lakierem ramę we właściwym rozmiarze. Poza mną nie ma innych klientów, szklarz ma czas, by przyciąć dla mnie kawałek szkła przeciwodblaskowego. Oddzielnie pakuje ramę i tafelę. Z banknotu pięćdziesięcioeuroowego, który mu podaję, nie otrzymuję reszty. Wychodzę do samochodu, ale jeszcze wracam do antykwariatu. Z tego wszystkiego zostawiłem w nim wędzonego węgorza. W drodze powrotnej do domu myślę o Jamo Koperze. Na Jutlandii.

Zjadam szybko parę kromek chleba i po raz drugi tego dnia przemierzam pola w drodze nad Wielkie Jezioro. Światło się zmieniło od rana, a wokół przerebli rozlokowało się stado gęsi. Nakładam łyżwy i wstępuję na lód. Przy drugim okrążeniu jadę już z taką prędkością, że na prostych nie muszę wcale poruszać nogami. Ślizgam się jednym wielkim zakrętem, zakrętem, którego końca nie widać. Jeżdżę w ten sposób, dopóki starcza mi sił.

Po dojeniu zjadam węgorza z chlebem, popijam szklanką mleka. Potem biorę jabłko i idę na górę. Zapalam w pokoju światło. Leży na wznak z szeroko otwartymi oczami, z kocem naciągniętym aż pod nos. Nie wydziela prawie w ogóle ciepła, dolne partie okien zasnuwają kwiaty szronu. Może zamarznie tej nocy na śmierć.

– Przyniosłem ci jabłko – mówię.

– Zimno – on na to.

– Tak, chwycił mróz.

Kładę jabłko na nocnej szafce i wychodzę z pokoju. Dopiero na schodach przypomina mi się o nożyku. Nie wracam na górę, ani by donieść mu nożyk, ani by zgasić światło.

Szklarz przykleił do tafli szyby papierową torebkę z gwóздkami. Teraz, gdy wszystko leży na stole kuchennym, zauważam, że czegoś brakuje. Tyłu. Mierzę ramę i wychodzę z

ołówkiem i miarką do szopy W stercie starego drewna znajduję kawał nie za grubej dykty, którą przepiłowuję przy warsztacie pod srebrnoszarą szafką z trupią czaszką. Praca mnie rozgrzewa. Wbijam dwa gwóźdki w płytę z dykty i przytwierdzam do nich kawałek cienkiego drucika, by móc zawiesić ramę.

Kładę ramę przodem na blacie kuchennego stołu, wkładam w nią szybę, następnie mapę (która idealnie pasuje, dzięki czemu większa część poźółkłej krawędzi zniknie pod ramą), a potem kawał dykty. Przyciąłem ją na tyle skąpo, że wystarczają cztery gwóźdki, by solidnie zagnieździła się w ramie. Z oprawioną mapą idę do salonu i przykładam ją do różnych ścian. Między oknami mapa ginie, po lewej lub prawej stronie kominka nie da się jej zawiesić, bo wtedy przeciwna strona wygląda strasznie pusto. Czyli wybór pada na sypialnię. Wbijam duży gwóźdź w ścianę przy drzwiach i zawieszam na nim mapę. W ten sposób mogę ją widzieć, leżąc w łóżku.

Osty czekają na mnie, choć nie zaglądam do nich co wieczór. Zostawiłem zapaloną lampę, a jej światło kładzie się szerokim pasmem na podwórzu. Moja własna stajenka. Gdy wchodzę do środka, zaczynają parskać. Daję im parę marchewek i łopatkę owsa. Ich oddech unosi się ze żłobu chmurką chłodu. Przysiadam na beli siana i czekam, aż skończą przeżuwać. Z kurnika obok boksu ostów dochodzi ciche gdakanie. Dziwne.

Od tego siedzenia zrobiło mi się zimno. Gdy zdejmuję ubranie w komorze, robię to powoli, by jeszcze bardziej zmarznąć. Drżąc, czekam w łazience, aż woda się zagrzeje. Myję głowę i splatam dłonie na karku w miseczkę, którą co rusz przechylam, by gorąca woda sptywała mi po plecach i barkach. Wycieram się i szybko przechodzę do salonu. Wyłączam światła i podkręcam piec. A potem prostuję się i przy świetle, które wpada z sypialni, spoglądam na swe odbicie w lustrze. To mój dom, mogę stać nagi przed lustrem, kiedy chcę. Z pieca bucha ciepło, kładzie się na moim członku, czuję zmęczenie i siłę mięśni nóg i pośladków. Jakbym czuł dłonie parobka na pupie. Wrażenie jest tak silne, że nie mogę się powstrzymać przed przyłożeniem własnych rąk do pośladków, by usunąć wyimaginowane dłonie. List od Rity leży na kominku. Biorę go ze sobą do sypialni i leżąc w łóżku (pod inną pościelą, którą uprzednio wyprałem), czytam go kolejny raz z rzędu. Przed zgaszeniem światła spoglądam jeszcze raz na mapę Danii. To wiszą trzy moje owce, myślę, gdy układam się w ciemności na lewym boku i podciągam kolana.

Przyszedł drugi list:

Kochany Helmerze,

Brabancja jest straszna. Nie wiem, czy kiedyś tu byłeś, ale wierz mi: tu jest strasznie. Gdziekolwiek się ruszyć, świnie i ubaw, z tym że zupełnie inny rodzaj ubawu niż dawniej u nas, w Holandii Północnej. Na przykład karnawał, wyobrażasz sobie? Możesz mnie sobie wyobrazić w pociesznym przebraniu, w stroju klauna i masce? A do tego wszyscy bez przerwy się śmieją, jakby było z czego.

Dwie nasze córki są na wskroś Brabantkami, ale ponieważ to nasze córki, z którymi się dobrze dogaduję, jakoś mniej mnie to razi. Są bardzo serdeczne i obie mają miłych mężów i małe dzieci (tak, jestem babcią!). Mieszkają o rzut kamieniem ode mnie, więc mogę do nich wpadać, kiedy tylko zechcę.

Nasz syn (dopiero teraz się spostrzegłam, że piszę „nasz”, choć Wien już prawie od roku nie żyje) jest mniej brabancki. Nie wiem, jak to się stało, może ma więcej ze mnie niż z Wiena. Po jego śmierci wszystko sprzedałam i teraz mieszkam we wsi, razem z synem. To dziwne: umiera mąż, wyprowadzasz się i nagle masz o wiele mniej do roboty.

Piszę ten list, bo mi nie odpisałeś ani nie zadzwoniłeś. Chciałabym wiedzieć, jak się z Tobą życie obeszło. Nawet nie wiem, czy się ożeniłeś, ale nie wydaje mi się, bo moja matka tuż przed śmiercią powiedziała mi, że nie. Tak, jak widzisz, o ile tylko mogłam, śledziłam, co porabiasz. I chcę Cię o coś prosić, ale wolę nie robić tego w liście. Nie mógłbyś do mnie napisać albo zadzwonić?

No to już zwyczajnie to napiszę: chciałabym Cię odwiedzić. Ciebie, ale też gospodarstwo, gdzie przecież często przyjeżdżałam (i gdzie teraz sama bym mieszkała, gdyby wszystko inaczej się potoczyło). Ale najpierw ta kwestia z Twoim ojcem (o której napisałam w poprzednim liście) musiałaby być rozwiązana.

Mam nadzieję, że się odezwiesz.

Serdeczne pozdrowienia

Rita

Tym razem na odwrocie koperty widnieje adres. Nazwa wioski nic mi nie mówi. Nie rozumiem, czego ona ode mnie chce. List, tak jak poprzedni, jest dość bezładny. Za pierwszym razem byłem „Drogim Helmerem”, a teraz jestem „Kochanym Helmerem”. Świta mi, że chce rozbudzić moją ciekawość. Czy to, o co chce mnie poprosić, o czym wspomniała już w poprzednim liście, to po prostu pozwolenie na przyjazd tutaj? Czy coś innego? Zdanie „i gdzie teraz sama bym mieszkała, gdyby wszystko inaczej się potoczyło” (notabene umieszczone w nawiasie, jakby rzucone mimochodem) drażni mnie. Z zakończenia jej listu wyciągam wniosek, że muszę jej oznajmić, iż ojciec umarł, bo inaczej nie przyjedzie.

Mróz i odwilż na przemian. Sporadycznie temperatura podnosi się na chwilę powyżej zera, robi się mgliście i od czasu do czasu popaduje, ale przez większą część dnia utrzymuje się mróz. Mimo to na lodzie unosi się warstwa wody, zaś białozółte krawędzie lodu wzdłuż rowów wciąż się poszerzają. Mgła jest dziwna, przy mgle człowiek spodziewa się ciepłego powietrza. Mogę zapomnieć o mojej rundce Monnickendam – Watergang, już schowałem łyżwy. Osły pozostają w stajni. Kury ledwie co znoszą jajka. Kwiaty szronu w pokoju ojca ześlizgnęły się z szyby, na parapecie stoi kałuża wody. Zjadł jabłko. Nie pojmuję, jak sobie poradził. Musiał być naprawdę głodny.

Dwadzieścia krów. Przedwojenne obory. Parę cieląt i garstka roczniaków. Dwadzieścia trzy owce. Nie, dwadzieścia. Nie jest ze mnie nawet chłop małorolny. Ale wszystko odmalowane na tip-top i ani jednej krzywo położonej dachówki.

Po południu zjawia się młody kierowca cysterny. Nie wchodzę do zlewni. Przypatruję mu się przez półokrągłe okienko obory, które przeszło ze ściany zewnętrznej na ścianę między oborą a komorą, kiedy ją dobudowywano. W komorze panuje mrok; kiedy drzwi w stajni, sieni i oborze są zamknięte, światło wpada do niej jedynie przez to okienko. Mgła zdaje się przenikać do budynku, mijając potężne boki cysterny. Kierowca nie przestaje się uśmiechać, chociaż z mojego zbiornika wycieka cienką strużką mleko. Znowu zapomniałem jego imienia i im bardziej próbuję je odgrzebać w pamięci, tym głębiej się zapada; pamiętam na pewno, że występuje w nim „o”. Wkłada sobie mały palec do nosa; w zasadzie mam ochotę się odwrócić. Nie wygląda na to, by na mnie czekał, wydaje się, że jest mu obojętne,

czy wyjdę pogadać, czy nie.

Czy wystarczy, że wszystko jest odmalowane na tip-top, a żadna dachówka się nie przekrzywia? Że wierzby zostały porządnie ogłowione, a osły mają ciepłą i dobrze zaopatrzoną stajnię?

Oczywiście, że Rita rozbudziła moją ciekawość. Oczywiście, że chcę, by coś się wydarzyło. Chcę się dowiedzieć, co stało się z ładną dziewczyną o długich blond włosach – kobietą, z którą miał się ożenić mój brat; usłyszeć, co ma do powiedzenia, chcę zobaczyć, jak jej z oczu patrzy. Przed wyjściem do zlewni, gdzie zamierzam opłukać wężem zbiornik mleka, czekam, aż miodny kierowca cysterny wskoczy jak zwykle energicznie do szoferki. Gorąca woda wypiera zimną mgłę na zewnątrz.

Po dojeniu wrywam z ziemi w warzywniku parę głąbów jarmużu. Wystarczająco już go mróz potraktował. Prostuję się i patrzę przez okno kuchenne do środka na odbicie samego siebie. W kuchni i salonie palą się lampy. Daleko, w głębi, widzę – bo wszystkie drzwi po drodze stoją otworem – nowe łóżko jak tron w sali tronowej. Jutro jest Boże Narodzenie, a za siedem dni zaczyna się nowy rok.

- Nie ma czegoś takiego jak rolnik od świń.
- O co ci chodzi?
- „Hodowca trzody chlewnej” to tak, ale rolnikiem kogoś takiego nie można nazwać.
- Czemu nie?
- A twój mąż miał ziemię?
- Tak.
- Ile hektarów?
- Skrawek między chlewami i po boku trochę.
- O to mi chodzi. Rolnik ma ziemię i ją uprawia. Hodowca trzody chlewnej hoduje świniaki w wielkich halach, z przeznaczeniem na ubój, i to nie ma nic wspólnego z uprawą...
- Na jednym skrawku wisiał sznur na bieliznę, a na drugim leżała przyzma kukurydzy.
- ...tylko z zarobkiem.

Stoję w sieni i wyglądam przez okno kuchenne na zewnątrz. Pada. Przymrozek na przemian z odwilżą wreszcie zmienił się w regularną odwilż i rowy, w których jeszcze ostał się lód, parują. O dziwo, wczoraj cały dzień świeciło słońce, a zeszłej nocy znowu chwycił mróz. Nie mam zielonego pojęcia, czego Rita się spodziewa. Ta rozmowa telefoniczna w ogóle nie za dobrze przebiega. Rita (która podniosła słuchawkę, przedstawiając się nazwiskiem swego zmarłego męża) rzuciła hasło „rolnik od świń” i nie mogłem tego tak zostawić. Mam ochotę odwiesić słuchawkę.

- Hej, Helmer, zmieńmy temat.
 - Dobrze – mówię.
 - Mogłabym przyjechać?
 - Dlatego dzwonię.
 - Jak... Czy twój ojciec...
 - Zmarł. – Później się zastanowię, jak to rozwiązę.
 - Ach – wyrывa się Ricie, jakby nagle zrobiło jej się przykro.
 - Nie szkodzi.
- Na chwilę, gdzieś w Brabancji, zapada cisza.
- Miło spędziłeś Boże Narodzenie?

– Pewnie.

– A zeszłej nocy co robiłeś?

– Rozpaliłem ognisko.

– Jak za dawnych lat!

– Tak. Dwóch chłopczyków z sąsiedztwa przyszło popatrzeć. I oczywiście pomóc.

– To miło.

– Tak. Tylko młodszy, Ronald, trochę oparzył sobie rękę.

– Ojej...

– Nic poważnego. Sam się z tego śmiał, zachował się dość *cool*. Na szczęście jego matka była w pobliżu.

– Kiedy mam przyjechać? Mogę w każdej chwili.

Mogę w każdej chwili. Połowę życia o niczym nie myślałem. Codziennie na nowo wsadzałem głowę pod krowy. W pewnym sensie przeklinałem je, te krowy, ale kiedy przy podwieszaniu dojarki opiera się czoło o ich bok, emanuje z nich ciepło i godność. Nie ma nic bardziej uspokajającego, kojącego niż obora pełna spokojnie oddychających krów w zimowy wieczór. Dzień w dzień; wiosną, latem, jesienią, zimą.

Rita mówi, że może w każdej chwili, i te słowa wywracają wszystko do góry nogami. Dostrzegam jej pustkę, a jej pustka wskazuje mi własną.

Przeklinanie dotyczy oczywiście ojca, krowy nie są niczemu winne, zwłaszcza krowy, które teraz mamy.

– Helmer?

– Tak – odzywam się. – Jestem tu.

– Kiedy mam przyjechać?

– Kiedy chcesz.

Tego popołudnia długo siedzę u osłów, które karmię pokrojonym burakiem pastewnym. Już nie pada, choć wciąż jest ponuro. W stajni osłów pali się światło. Poznałem jej głos.

Zanim wczoraj wieczorem oblałem stos drewna olejem napędowym, Ada, Teun, Ronald i ja postaliśmy chwilę u osłów. Nad stajnią błyszczały zimne gwiazdy. Męża Ady nie było z nami, musiał pilnować krowy, która miała się ocielić. Poza tym – jak powiedziała Ada – on

„nie lubi świąt”. Usmażyłem pączki, po śmierci matki przejąłem po niej to zadanie, Ojciec bardzo krótko siedział na jej starym miejscu przy kuchennym stole. Ronald z lekkim strachem obserwował ojca, który miał trudności z przetykaniem. Ojciec aż trzy razy powiedział do Ady, że chce do lekarza. Ściągnąłem znacząco brwi, gdy po trzecim razie popatrzyła na mnie pytająco.

– Szybkiego powrotu do zdrowia, panie Van Wonderen – powiedziała, gdy wynosiłem go z kuchni.

– Na górze macie ogrzewanie, co? – zapytała zatroskana, gdy zszedłem na dół.

– Nie – odpowiedziałem. – Ale z niego jest czerstwy gość. Szkoda tylko, że już nie całkiem wszystko kojarzy. Mocno się cofa.

– Umrze? – zapytał Ronald, teraz już swobodnie wcinając kolejnego pączka.

– Ronald! – upomniała go Ada.

– Kiedy wreszcie rozpalimy ognisko? – zapytał Teun.

A potem osły, a potem sylwestrowe ognisko, a potem tłąca się deska (z mojego starego łóżka) w dłoni Ronalda. Trochę zbyt entuzjastycznie wiercił grubym kijem w palącym się stosie.

–Już! – woła ojciec.

Spuszczona woda głucho bulgocze, jak spod zamkniętej kłapy.

Stoję już jakiś czas w sieni, przed drzwiami do toalety. Pączki nieźle rozruszały mu kiszki. Kurczę płatki nosowe, otwieram drzwi i unoszę go. Sam podciąga sobie spodnie od piżamy.

– Umyj ręce – mówię.

Bierze kawałek mydła z umywalki, a ja odkręcam kran. Niosąc go na górę, pytam:

– Wiesz w ogóle, jaki dziś mamy dzień?

– Boże Narodzenie? – pyta.

– Nowy Rok. Już nie do końca kumasz, co się dzieje.

– Nie?

– Nie.

– Sam nie kumasz. Ja nie zwariowałem.

– Niech ci będzie – odpowiadam, kładąc go do łóżka.

–Ada tu wczoraj była –mówi.

–Tak, była.

Siadam na krześle pod oknem. Może jednak powinienem kupić elektryczny grzejnik, wilgotno tu, zanim się obejrzę, złapie jakąś grzybicę. Kładę łokcie na oparciach i zaczynam rozcierać sobie dłonie. Ściana ze zdjęciami, metryczkami i obrazkami to nic innego jak jeden duży prostokąt pokryty małymi prostokącikami i kwadratami. Wstaję i zapalam lampę. Z dłońmi splecionymi na plecach, jak zwiedzający muzeum, najpierw przechodzę powoli wzdłuż ściany, a potem znowu siadam.

– Dlaczego właściwie twoja matka wyhaftowała dwie metryczki, a nie jedną?

– Musiałbyś ją o to spytać.

– Nie mogę.

– Nie, nie możesz – wypowiada z westchnieniem.

– Żeby jedną można było wyrzucić?

– Nie musisz iść dość?

– Za chwilę, krowy nie uciekną.

– No tak...

– Fakt, że ekonomicznie to obmyśliła – mówię. – Nie, nie ekonomicznie, praktycznie.

–Tak, praktycznie – przyznaje ojciec

– No tak, ale jak ktoś ma dziewiętnaście lat w chwili śmierci, to jego metryczki nie zdejmują się ze ściany.

– Nie.

Gadam, ale prawie nie słyszę, co mówię. W głowie siedzi mi rozmowa przez telefon z Ritą. To o tym chcę mówić, tym chcę mu dokuczyć, a w zamian dokuczam mu naszymi metryczkami urodzinowymi. Jeszcze pięć minut temu jakoś nie zastanawiałem się, czemu babcia Van Wonderen wyhaftowała dwie oddzielne metryczki. Już jedna musiała kosztować ją mnóstwo pracy. Czy matka w ogóle wiedziała, że urodzi bliźniaki? Wzdycham i zamykam oczy. Wcale nie mam ochoty dręczyć ojca. Jest Nowy Rok.

– Co ci jest? – pyta ojciec.

Otwieram oczy.

– Nic.

Wstaję i ruszam do drzwi. Podciągam ciężarki stojącego zegara. –Jarmuż na kolację?

– Pycha – mówi ojciec.

Wygląda na uradowanego. To nie do zniesienia.

– Zostawić światło?

– Tak.

– Zastonić zasłony?

– Tak.

Wracam do okna i zaciągam zasłony. Latarnia uliczna naprzeciw zagrody już się pali. Odkąd naprawili słup, nikt nie będzie niepostrzeżenie zaglądał do środka.

Przez klatkę schodową na podest schodów wpada z komory trochę światła. Drzwi nowego pokoiku są otwarte. Zapraszająco otwarte: wejdź i wypełnij mnie sobą. Patrę na klucz wystający z zamka pokoju ojca. Patrę, ale go nie obracam. Szybko schodzę po schodach.

Dzwonię do Ady, by zapytać, jak z ręką RONALDA.

– W porządku – odpowiada – to nic poważnego.

Cieszę się. To było moje ognisko.

Matka była nie tylko niebywale brzydka. Była też niebywale dobrotliwa. Jej oczy zawsze miały lekko wodnisty, odrobinę wilgotny połysk, co być może wynikało z nieznacznej wylupiałości. Coś było nie tak z jej tarczą, a te wilgotne oczy sprawiały, że spoglądała łagodniej na świat. Ojciec bił i kłął, ale matce wystarczyło spojrzeć na Henka i na mnie, a wszystko wracało do normy. Musiała bardzo często na nas patrzeć.

Henk był synem ojca, ja nie byłem synem matki. Nie robiła między nami różnicy, choć w okresie, kiedy Rita siedziała u nas przy stole, zauważyłem, że częściej niż Henkowi to mnie rzucała spojrzenia. Nie były to dobrodusze popatrywania, ale swego rodzaju zachęta – „No, naprzód!”, w sensie: „Ty też się odważ!”. Matka dobrze się dogadywała z Ritą, ale jej obecność stawiała matkę również przed dylematem: choć nie miała w tym żadnego udziału, jej chłopcy przestali być sobie równi. Ojciec nie miał takich zmartwień, już dawno dokonał wyboru.

Kiedy umarła (nie z powodu nadczynności tarczycy, ale na zawał serca), ojciec nie mógł już tak jak Henk potrząsać łyżeczką w filiżance od kawy, ponieważ nie było nikogo, kto by na to zareagował. To znaczy niby byłem ja, ale pilnował się z takimi wyzwaniem. Zwyczajnie nie piliśmy już kawy albo każdy z nas pił ją oddzielnie. Ada jeszcze się tu nie sprowadziła, nie poznała matki.

Dostała zawału serca pod prysznicem. A zatem wydarzyło się to w sobotę. Nie było mnie w domu, ojciec nie pomyślał, by do niej zajrzeć, choć przebywała w łazience o wiele dłużej niż zwykle. Niektórzy ludzie dostają zawału serca i wychodzą z niego, a są i tacy, którzy mu ulegają i już nigdy się z niego nie podnoszą. Matka już się nie podniosła.

Nie miałem jej za złe, że milczała w dniu, w którym ojciec odesłał Ritę, a do mnie powiedział, że kończę „z Amsterdamem”. Przypuśćmy, że zamiast się rozplakać, powiedziała by coś, by uchronić mnie przed spędzeniem życia na dojeniu krów – czybym to wtedy podchwycił? Czy wykorzystałbym jej sprzeciw, by ratować własną skórę? Nie sędzę. Miałem dziewiętnaście lat, byłem już mężczyzną, powinienem sam się wybronić. Nie

zrobiłem tego, tak jak matka siedziałem cicho. Długo po tym, jak Rita zniknęła za framugą okna (do tego czasu z pewnością dotarła już do grobli, a ja miałem go wystarczająco dużo, by przywołać w myślach miejsce, w którym kiedyś udało mi się znaleźć jajka czajki), odwróciłem się. Na lewo od grzbietu ojca zobaczyłem do połowy pełny talerz i równo ułożone przy nim sztuce. Na prawo od ojcowskiego grzbietu siedziała matka, która patrzyła na mnie jeszcze wilgotniej niż zwykle. W tej sekundzie zawiązany został sojusz. Na czym dokładnie polegał, nie potrafiłbym powiedzieć, w każdym razie zawierał on postanowienie, że „przejdziemy-przez-to-razem” Ponownie usiadłem przy stole i w milczeniu skończyliśmy jeść. Następnego ranka dołem z ojcem krowy. Po dojeniu włożyłem swoje podręczniki uniwersyteckie do kartonowego pudła i wstawiłem je do wbudowanej szafy w pokoju Henka. Wicie tygodni później przyszedł list od mojego opiekuna roku, w którym pytał, gdzie się podziewam i czy mam zamiar wrócić na studia. Nie odpisawszy, włożyłem go między książki. Od tamtej pory nie zwracam uwagi na to pudło.

Sojusz pozostał w mocy aż do jej śmierci. Był to sojusz wyrażany wzrokiem, nie słowami. Spoglądaliśmy po sobie z matką, kiedy on znikał w sypialni, po tym, jak zgromił ją jako romantyczną duszę, gdy burczał, wykrawając łykowate kawałki ze sztuki mięsa, gdy przy przeganianiu cielaków lub owiec z jednego pastwiska na drugie pruł po polu, wydzierając się, gdy w sylwestra szedł do łóżka o dziesiątej wieczorem, gdy wcześniej rano rzucał mi warczącym tonem listę zadań do wykonania na dany dzień (jakbym był piętnasto-, a nie czterdziestolatkiem), gdy w dyskusji na jakikolwiek temat wygłaszał „ani mnie to ziębi, ani grzeje”, a następnie zasiadał w fotelu w salonie jak głąz.

Bardzo rzadko unikała mojego wzroku, a najczęściej wtedy, gdy ojciec pytał mnie, czy nie uważam, że powinienem wreszcie poszukać sobie żony. Wnioskowałem z tego, że w tej kwestii podzielała zdanie ojca. Po jej śmierci nie miałem już na kogo patrzeć, z kim patrzeć – i to było dla mnie najgorsze. Sojusz został jednostronnie zerwany. Ojcu ledwo co umiałem – umiem – spojrzeć prosto w oczy. W oczach matki zawsze dostrzegałem cień Henka i wychodziłem z założenia, że ona to samo widzi w moich. (We mnie jako takim oczywiście też widziała Henka, w moich oczach widziała go podwójnie). W oczach ojca nie wyczytywałem nic, po śmierci matki zabrakło nawet jej cienia.

Dla Rity robię wyjątek – jadę na południe. Na południowy zachód, żeby być precyzyjnym. Na przystań w północnym Amsterdamie. Ustaliliśmy godzinę i na długo przed czasem stoję już przed budką z frytkami nad jeziorem IJ. Pływają po nim tam i z powrotem futurystyczne promy, smukłe niebiesko-białe maselniczki o opływowych kształtach, które w niczym nie przypominają jasnozielonych z 1967 roku. Wtedy przewoziły jeszcze samochody, promy były pływającymi autostradami. Staje mi przed oczami prom miejski numer 15 i wąskie, zadaszona miejsca dla rowerzystów i motorowerzystów. Jasnozielone były tylko w środku, na pokładzie, od zewnątrz, były brudnobiałe. Zapomniałem o tym.

Usiłuję wybiec myślami dalej, w miasto. Twarze i nazwiska kolegów, z którymi studiowałem, nie pojawiają się, nie mogę sobie przypomnieć nawet budynku, w którym miałem wykłady. Wszystko zniknęło, tam, po drugiej stronie wody. Opisałem jej opla kadetta, ale teraz, na widok strumienia pieszych i rowerzystów, ogarnia mnie niepokój. Kto pozna kogo? Mam zostać w aucie czy może stanąć przy nim?

Kiedy wcześniej tego ranka stałem pośrodku podwórza i trzymałem ojca w ramionach, a on z drzeniem warg i stukając zębami, zapytał, dokąd go zabieram, postanowiłem jednak odnieść go do pokoju na górę. Zamierzałem położyć go na stryszku nad jedno roczniakami. Jego pytanie i zaintrygowane spojrzenia osłów (jeden z nich zaczął głośno ryczeć, na co zbudziły się też kury z porannej drzemki) wystarczyły, bym zrezygnował z tego planu. A jak bym go wniósł po drabinie? Droga powrotna przebiegła łatwo, wszystkie drzwi stały jeszcze otworem. Położyłem go na łóżku (które wciąż było ciepłe) i zamierzałem bez słowa opuścić pokój. Przy drzwiach zmieniłem zdanie.

– Jadę po Ritę – oznajmiłem.

Spojrzał na mnie wzrokiem bez wyrazu.

– Na przystań w Amsterdamie. Przyjeżdża w odwiedzinach.

– Rita?

Imię wydobyło się chrapliwie, a on nieznacznie pokiwał głową.

– Tak, Rita. A ty nie żyjesz.

– Nie żyję?

– Powiedziałem jej, że nie żyjesz.

– Dlaczego?

Teraz ja próbuję patrzeć na niego bez wyrazu.

– Naprawdę musisz o to pytać? – mówię.

Zamyśla się.

– Na twoim miejscu siedziałbym cicho – ostrzegam go. – Bo inaczej jest szansa, że przyjdzie tu na górę.

– Po co?

– Policzyć się.

– Ech...

– Więc już cię tu nie ma, dobra?

– Ech...

– No to jadę.

Que sera, sera – powiedziała by Doris Day, pomyślałem na schodach. *Whatever will be, will be.*

Stary jestem, pomyślałem w komorze.

Co sześć minut do przystani przybija prom i odkąd tu stoję, przybyło ich już sześć. Na nabrzeże schodzi sporo kobiet około pięćdziesiątki, na szczęście mogę wykluczyć te z rowerami. Wszystkie są opatulone szalikami i ubrane w grube płaszcze. Takiej zimy jak ta dawno już nie przeżywałem, temperatura znowu spadła poniżej zera i nawet leży trochę śniegu. Szósty prom zbliża się do brzegu. Patrzę na zegarek; ten mi ją przywiezie? Dokąd ci wszyscy ludzie zmierzają w taki zwykły dzień w środku tygodnia? Rita jest jedną z ostatnich osób, które schodzą z pokładu. Zaczyna mi się lekko kręcić w głowie, spodziewałem się kogoś podobnego do Ady (nie mam pojęcia dlaczego), ale to Rita, która odjechała od nas trzydzieści lat temu. Bez długich blond włosów, nieco tęższa i inaczej stąpająca. Siedzę za kierownicą, którą odruchowo chwyciłem obiema rękami, jakbym kij połknął. Kieruje się prosto na samochód, mam ochotę opaść na siedzenie pasażera, schować się pod deskę rozdzielczą, wrzucić wsteczny bieg i cofając się, zniknąć w jeziorze IJ, choćby i rozjeżdżając budkę z frytkami, Może będzie próbowała mnie uratować. Zatrzymuje się przed autem i zagląda

przez przednią szybę do środka. Chwilę czeka, potem otwieram drzwi. Podchodzi do mnie z wyciągniętym ramieniem.

– Cześć, Helmer – mówi.

– Cześć, Rita – odpowiadam.

Budzi się we mnie bardzo stara wściekłość, wściekłość, o której nie pamiętałem, której istnienia nie podejrzewałem. Widzę, że Ricie ta wściekłość nie przeszkadza. Ona zмага się ze zmieszaniem i wzruszeniem. Im dłużej nie żyje Henk, tym bardziej go przypominam, po prostu dlatego, że nie ma już porównania.

Nie, wściekłość to za mocne słowo. To raczej gniew.

Jak to jest chodzić z bliźniakiem? Nie wiem, poza dziecinnymi wygłupami w podstawówce nigdy sam czegoś takiego nie doświadczyłem. Po tamtym wieczorze wigilijnym nastąpiło Boże Narodzenie, przez które Henk cały czas podśpiewywał w roztargnieniu, nucąc nawet przy stole. Nad pieczenia i kalafiozem pod beszamelem odpowiadał na wszystkie pytania dziadków z zapałem, który wprawił ojca w zdumienie, a matce kazał spojrzeć na mnie wzrokiem, który dopiero później, w czasie naszego sojuszu, miał stać się normalny. W sylwestra Henk był w domu, na dwie minuty przed północą zniknął, nie mówiąc mi, dokąd idzie. Ujrzałem ich razem głęboko w nocy, kiedy z grupą wiejskich chłopaków, do której jeszcze tydzień wcześniej należeliśmy obaj, przechodziłem przez most przy restauracji De Waegh. Siedzieli w mżawce na ławce i trzymali się za ręce. Próbowałem się schować za najbardziej przysadzistego z chłopaków i trochę dalej, dwa, trzy kroki, dostrzegłem volkswagena garbusa w kolorze niebieskich smarków, do którego może udałoby mi się dotrzeć, samemu nie będąc dostrzeżonym. Najbardziej przysadzisty z chłopskich synów był też tym, który najwięcej wypił, przepchał się między pozostałymi, by podejść do ławki i pogadać z Henkiem, w ten sposób mnie odsłaniając. Do tej pory wyraźnie widzę tego garbusa w niebieskawym odcieniu smarków, nie pamiętam, co zostało powiedziane. Jeszcze dwóch rzeczy nie zapomniałem. Pierwsza: Henk spostrzegł mnie stojącego za grupą, jednocześnie rozmawiając z pijanym i ani na moment nie wypuszczając dłoni Rity – nie wiedział, jak ma na mnie patrzeć. Druga: trochę później dostrzegłem Ritę i pojąłem, że w ogóle nie chciała mnie zauważyć; nie chciała wiedzieć, że istnieje ktoś, kto jest podobny do Henka jak kropla do kropli wody. Oderwałem się od grupy i minąwszy garbusa, zapuściłem się w zaułek; na szczęście w Monnickendam roi się od zaułków. Po

jakichś stu metrach przyłożyłem dłoń do wilgotnej ściany, pochyliłem się do przodu i zwróciłem wszystkie pączki i piwo. Potem ruszyłem na poszukiwanie roweru, który w końcu znalazłem w miejscu, od którego rozpoczęliśmy naszą wędrówkę z knajpy do knajpy. Ktoś zapalił racę między szprychami tylnego koła. Zarzuciłem sobie rower na ramię i poszedłem pieszo do domu, przekładając rower z prawego ramienia na lewe. Zlizywałem krople z dzwonka, by pozbyć się wstrętnego smaku w ustach. Środek nocy przeszedł we wczesny ranek. Mżawka to nie więcej niż mgła z mianą wielkości, zanim jednak wróciłem do domu, byłem przemoczony do suchej nitki.

Minął jeszcze miesiąc, nim Henk przyprowadził Ritę do domu. Za pierwszym razem, kiedy do nas przyszła, gospodarstwo prezentowało się najkorzystniej. Pora, kiedy owieczki łapczywie wskakują pod matki na kawałku łączki przy zagrodzie, czajki i rycyki wykrzykują swe imiona, broniąc swoich gniazd, ogłowione wierzby już wybujały, a krzywa osika od frontu za chwilę wypuści listki. Seledynowa wiosna, kiedy to nawet gnojowisko wygląda świeżo. Ojciec trzymał się na dystans, matka przywitała Ritę z szeroko rozpostartymi ramionami i wilgotnymi oczami.

Do tej pory spotkałem ją już parę razy i zachowywałem się w jej towarzystwie niezdarnie i niepewnie. Ona w moim była skrupowana i milcząca. Teraz, kiedy zjawiała się w naszym domu, zupełnie już nie wiedziałem, jak mam się zachowywać. Od razu, za pierwszym razem, Henk zaprowadził ją pod wiatraczek Bosmana, nasz wiatraczek. Wrócili z jajkiem czajki i potem już nigdy nie ułożyło się między mną a Ritą.

Gorzej, że nigdy już nie ułożyło się między mną a Henkiem.

Trochę później Rita spędziła u nas swoją pierwszą noc, musiało to być jakoś w sierpniu.

– Koziółki oddzielnie od kózek – zapowiedziała matka wieczorem przy kuchennym stole, w wieczór poprzedzający przyjście Rity.

– Co? – nie załapał Henk.

– Koziółki oddzielnie od kózek.

Henk musiał się chwilę zastanowić.

– Przecież wy też jesteście koziółek i kózka, co nie? – powiedział najbardziej niewinnie, jak potrafił, gestem wskazując ojca.

Ojciec się zachnął.

Rita spała w pokoju Henka, Henk spał u mnie. Na materacu rozłożonym na podłodze.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, z trudnością łąpałem oddech, za co winę przypisywałem męczącemu gorącu. Henk leżał częściowo przykryty, z górną połową ciała odkrytą i odbijającą niebieskawe światło. Był piękny, taki piękny. Po długiej ciszy, prawie równie męczącej co temperatura, wyszeptał coś, czego nie zrozumiałem.

– Co? – zapytałem.

– Cicho!

– Co mówisz? – wyszeptałem.

– Idę tam obok.

– Do Rity? – zapytałem słabo.

– A niby do kogo?

Usiadł i zrzucił z siebie pościel. Podciągnął kolana i wstał. Posuwał się w kierunku drzwi, jakby szedł po jajkach, i uchylał je centymetr po centymetrze. Bardzo długo trwało, nim jego odziane w wielkie białe slipy ciało opuściło mój pokój, a drzwi z powrotem się zamknęły.

Od tamtej nocy nie cierpię rozświetlonych księżycowych nocy. Niebieskawe światło, które nawet przez zasłony i żaluzje wpada do środka, którego w żaden sposób nie da się powstrzymać, jest zimne, również w lecie.

Z kolei łyski tak, chętnie je słyszę w nocy. Ich zawrozczenie przepędza pustkę, a nazajutrz krzyczą na nowo, choć oczywiście nie te same, a za dziesięć lat wciąż pewnie będą skomleć. Łyski będą zawsze.

Rita siedzi przy stole kuchennym, na dawnym miejscu Henka. Nie mogę wyczytać z jej twarzy, czy usiadła tam specjalnie. Wpatruje się w zdjęcia na pierwszej stronie gazety przedstawiające stadko koników na skrawku ziemi otoczonej wodami Waal. Tutaj jest mróz, za granicami pada, a tereny zalewowe i nabrzeża stoją pod wodą.

– Koniki polskie – odzywa się do gazety.

– Kawy? – pytam.

Dopiero teraz podnosi na mnie wzrok.

– Tak, poproszę.

Świeci słońce – niskie i zimne, ale ma ciepłą żółtą barwę. Nigdy nie byłem w Austrii ani Szwajcarii, tak właśnie jednak wyobrażam sobie słońce w czasie zimowego wyjazdu na narty. Ekspres do kawy stoi w pełnym słońcu i widzę, że przydałoby się od czasu do czasu przetrzeć go na mokro. Nie spieszę się – stojąc plecami do Rity, nie muszę się martwić, jaki mam wyraz twarzy. Kątem oka dostrzegam, że coś miga przed oknem od frontu.

–Wrona siwa! – wykrzykuje Rita.

Odwracam się. Wróciła i siedzi na swoim starym miejscu na osice, układając sobie pióra. Widzę, jak kłykcie dłoni, która trzyma rączkę dzbanka do kawy, bieleją. To jak nic chwila, by z góry doszedł jakiś dźwięk. Jest cicho.

– Widziałaś już kiedyś wronę siwą? – pytam i hałaśliwiej, niż to konieczne, wsuwam dzbanek pod filtr.

– Pewnie, wiele razy. W Danii. Tam prawie wyłącznie spotyka się wrony siwe.

– Byłaś w Danii?

– Ze trzy razy. – Milknie, by się zastanowić. – Nie, cztery.

– Jak tam jest?

– Nie wiem, jak tam jest. Wiem, jak było. Ostatni raz byliśmy tam jakieś osiem lat temu. Dziewczynki z nami nie pojechały, od lat jeździły już same na wakacje. Byliśmy w trójkę.

Siadam, krzyżuję ręce na piersiach i cierpliwie czekam, co będzie dalej.

Rita wygląda na zewnątrz.

– Pamiętasz, że mieliście tu drewniane słupy wysokiego napięcia?

– Pewnie, że tak. – Poirytowanie łaskocze mnie pod pachami.

– Ciągłe je macie, tylko że z betonu. Tam, trochę z boku.

Wciąż wygląda na zewnątrz, niczego nie widząc. Woda ciurka z ekspresu do kawy.

– Byliśmy tam w sierpniu, samochodem. Rolnicy zapalili stosy siana, a na drutach wysokiego napięcia siedziały jaskółki.

– Jaskółki.

– Tak. Wien nie mógł tego pojąć. „Kto to podpala siano!”, mówił. „Co za strata!”, powtarzał.

– Coś w tym jest.

– Nie wiem. Podobały mi się te jaskółki. Druty aż się pod nimi ucinały.

Zaczyna cicho płakać.

– Co się stało?

– Ach, tak tu siedzę i gadam, a właściwie to czuję się bardzo dziwnie.

Chowa twarz w dłoniach.

– Spokojnie. Najpierw kawa.

Wstaję i wyjmuję ładne filiżanki z kredensu. Nie kubki, ale ładne filiżanki. Matka też by tak zrobiła. Nalewam kawy do filiżanek i stawiam na spodeczkach ze srebrną łyżeczką. Na talerzu układam równo parę ciastek. Gdyby na dworze mróz tak nie trząsał, otworzyłbym okno. Drobiniki kurzu wirują po kuchni.

– Też czuję się dziwnie – mówię, gdy znowu siadam.

Rita się uśmiecha.

– Oboje czujemy się dziwnie.

Lekkość w głowie. Poczucie nierzeczywistości. Weźmy na przykład ojca: zawsze był taki, jaki jest teraz. Przez całe swoje życie widywałem go codziennie, z każdym dniem stawał się starszy, ale ponieważ starzeliśmy się razem, wszystko przebiegało stopniowo. Gdy widzę zdjęcie ojca jako młodego człowieka – choćby fotografię, która wisi na górze na ścianie – wiem, że to on, ale terazniejszy ojciec nie ma z nim związku. Nie znałem go, gdy był młody, bo sam wtedy byłem o wiele młodszy. Zestarzeliśmy się i tego nie zauważyliśmy. Rity nie widziałem przeszło trzydzieści lat. To szokujące; jakbym leżał w łóżku i miał straszny sen.

To myślę ja, a co ona myśli? Mam ochotę tak jak ona zasłonić twarz dłońmi.

– Kogo widzisz, gdy na mnie patrzysz? – pytam.

– Henka – odpowiada.

– Helmer jestem.

–Wiem. Ale widzę Henka.

Zanim weszliśmy do kuchni, pokazałem jej nowy salon. Nie spodobał jej się.

–Jak się tu pusto zrobiło – skomentowała. – Gdzie się podziały wszystkie zdjęcia?

Drzwi do sypialni były zamknięte i nie miałem zamiaru ich przed nią otwierać.

– A zasłony, a toaletka i szafka z książkami twojej matki?

Przegląda się w dużym lustrze nad kominkiem i obiema rękami poprawia włosy, popychając je nieznacznie do góry.

– Ach, krowy – mówi, gdy przechodzimy przez stajnię.

Ubrana jest w dżinsy. Włosy ma wciąż w kolorze blond i nawet w słonecznej kuchni nie zdołałem dostrzec, czy są farbowane. Chodzi jakoś sztywno. Absolutnie nie mogę jej sobie tutaj wyobrazić jako gospodyni – jak ugania się za owcami i cielakami, a w nocy przytula się do Henka w łóżku; jak przyjmuje w sobotę dzieci, które przyjechały w odwiedziny; z wnuczkami wspinającymi się na osikę od frontu; jak lepi klopsy.

– Dawno temu złamałam nogę – mówi, gdy zauważa, że przyglądam się jej chodowi. – Kiedy robi się zimno, zaczyna mnie ta noga rwać.

Na nartach? Wypadek na rowerze? Potknęła się na kratce ściekowej w chlewni?

– Myłam sufit w kuchni i nagle drabinka się spode mnie omsknęła.

Światło słoneczne wpada do środka przez prostokątne okienka obory, ryczy jedna krowa, przebiega jakiś parszywy kot. Nie mogę sobie przypomnieć, bym go już wcześniej widział. Czyżby jednemu udało się zbiec przed zmotoryzowaną kocią jatką ojca w zeszłym roku?

– Świnie, co to za stworzenia? – pytam.

– Z całą pewnością nie są to krowy. – Wkłada dłoń w wiązkę sznurków pakunkowych zawieszoną na potężnym gwoździu. – Prosiaczki są słodkie, ale w miarę jak dorastają, stają się coraz mniej przyjemne.

– A potem idą pod nóż.

–Tak, a potem idą pod nóż.

– A twój mąż?

– Co masz na myśli? – Jakim był człowiekiem?

Chwilę się namyśla.

– Przyzwoitym. Był przyzwoitym człowiekiem.

– Przyzwoitym?

– Tak.

Wchodzimy na podwórze. Rita otula szyję kołnierzem swego płaszcza.

– Moje córki to przyzwoite kobiety. Być może to brabancka cecha, przyzwoitość.

A syn?

– Co ty tam trzymasz?! – wykrzykuje Rita na widok osłej stajni. Wchodzi do środka. –
Dawniej ich nie było. Prawda?

– Nie – odpowiadam. – Te osły są nowe.

– Osły!

Usłyszały nas i zaciekawione unoszą łby ponad siatkę. Na nasz widok jeden zaczyna huścić łbem. Lampa świeciła się całą noc.

– Chcesz im dać jeść? – pytam.

– No pewnie.

Wyjmuję parę marchewek ze skrzynki, która stoi na beli siana, i podaję Ricie. Wtyka dwie marchewki naraz między szczelbelki. Z suchym chrzęstem znikają w pyskach osłów. Drapię je za uszami. Przez chwilę wszyscy są szczęśliwi. W pewnym sensie fajnie, że w kuchni stwierdziła, iż oboje czujemy się dziwnie.

Z osłej stajni Rita przechodzi do kurnika. Trochę niecierpliwie macha dłonią w kierunku ogłowionych wierzb, co być może ma wyrazić to, że widzi, iż niedawno je przycięto. Ze Henk też by je przyciął, gdyby wszystko inaczej się potoczyło.

– Dawniej siedziały tu brązowe kury – mówi, zerkając przez gęstą siatkę.

– Tak, rasy barneweldzkiej.

– A te?

– To są lakenfelderki.

– Ładne. Dobrze się niosą?

– Przyzwoicie, nie tak dobrze jak barneweldzkie.

Po kurniku nieuchronnie przychodzi czas na ogrodzenie nad groblą. Rita opiera przedramiona na płocie i kontempluje pola. Jest niesamowicie jasno z powodu cienkiej warstewki śniegu na trawie. Znad kanałów unosi się nieco pary.

– Wiatraczek – mówi cicho.

Zupełnie nie mam na to ochoty. Odwracam się i ruszam w kierunku zlewni. Chwile później nadchodzi za mną, słyszę jej nieregularne stąpanie po skutym mrozem podwórzu.

Teraz ja macham lewą ręką w kierunku wybiegu dla osłów.

– Tam sobie łożą, jak jest ładna pogoda – mówię.

Przez zlewnię przechodzimy do komory. Natychmiast przecinam się, kierując się do drzwi mieszkania. Rita kręci się przed drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową.

– Idziesz? – pytam.

Milczy.

– Myślałem, że za jakiś czas, po jedzeniu – odzywam się – poszlibyśmy na cmentarz.

Milczy.

Nie daję za wygraną.

– Tak to będę mógł cię na czas odwieźć na prom, przed dojeniem.

Milczy.

– O co chodzi? – pytam.

– Chcę iść na górę.

– Do pokoju Henka?

– Tak.

Otwieram drzwi i ruszam przed nią po schodach. Otwieram drzwi pokoju Henka. Zaciekawiona Rita wchodzi do środka. Ja zostaję na progu – jest rak zagracony, że nie da się w nim stanąć we dwójkę. Rozgląda się i na chwilę przysiada na łóżku.

Przestaję już ją widzieć, całkiem zniknęła pod Henkiem, a światło styczniowego słońca ustąpiło miejsca sierpniowej poświacie księżyca. Spuszczone białe slipy Henka zatrzymały się w okolicach kolan i jego ciało posuwa się w górę i w dół w ruchu, który jakoś nie pasuje do kogoś w jego wieku. Niemalże wyczuwam jego zapach. Powstrzymuje oddech, w dołeczku nad kością ogonową lśni wilgoć; wbijają coraz głębiej w stary materac, jego ścięgni Achillesa również poruszają się rytmicznie góra – dół, jakby ruch ten był jakąś falą wydobywającą się z jego stóp.

– ...jego łóżko?

– Słucham?

– Czy to jest łóżko, w którym spał Henk?

Mrugam parę razy, chwilę trwa, zanim gorąca sierpniowa noc ponownie stanie się styczniowym porankiem.

– Tak.

– Ja już nie pamiętam. Tyle gratów tu stoi.

Opiera swe dłonie po obu bokach na pościeli, jakby nie zamierzała już wstać, i wygląda na zewnątrz.

– Wrona siwa ciągle tu siedzi – mówi.

– Chodź – odzywam się.

Wstaje i wychodzi z pokoju.

– Mój stary pokój – rzucam beztrosko i dosyć głośno, gdy mijamy drugie drzwi. Na widok klucza zastanawiam się, czy są zaryglowane. – Tak samo zastawiony gratami. – Szybko przechodzę dalej, w kierunku nowego pokoiku, którego drzwi stoją otwarte na oścież. Rita idzie za mną.

Lekko uginając kolana, opiera się plecami o ściany nowego pokoiku, co marszczy jej sweter.

– Jego twarz – mówi. – Jego twarz w zimnej wodzie. Włosy falowały mu jak wodorosty.

– Wszystko wygląda tu jak dawniej – mówi.

– Nie wolno tutaj nic budować.

– Czemu nie?

– Obszar zachowania tradycyjnego wizerunku wsi. Przechodzimy przez wioskę na cmentarz. Dziesięć minut temu Ada zupełnie przypadkowo stała przy parapecie kuchennym, podlewając kwiatki. Słońce ledwie co stoi w zenicie, a mimo to nasze cienie są cztery razy dłuższe niż my sami.

– Musiałabyś jeszcze kiedyś przyjechać późnym latem – mówię. – Już od lat rozgrywane są tutaj swego rodzaju zawody.

– Jak to?

– Kto ma najwięcej hortensji w ogrodzie przed domem. Najlepiej o najszerzej pałecie barw. Gdziekolwiek się ruszyć, półkilometrowe żywopłoty z hortensji. Jak nie masz hortensji, odstajesz od reszty.

– Nie lubię hortensji.

W oddali, na zachodnim skraju wioski, stoi biały kościół. Nie mam już ochoty więcej gadać. W milczeniu wędrujemy dalej. Kiedy jesteśmy na miejscu, Rita obchodzi kościół z lewej strony i przechodzi między topolami nad brzeg Aa.

– Przychodziliśmy tu jeździć na łyżwach w zimie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego – mówi.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym – uściślam. – W styczniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego.

– No tak, tamtej zimy. Zima zawsze przechodzi na drugi rok.

Tu ma rację. Zima to pora roku, która nie przywiązuje się do dwunastomiesięcznego roku kalendarzowego; bardziej niż „pora roku” to „pora lat”. Teraz, poza cienką powłoką pomiędzy tatarakiem, w ogóle nie ma lodu. Parka kaczek – krzyżówek – zmyka na nasz widok. Zeskakują z walu jak pingwiny. Rita przygląda się kaczkom nieporuszona i odwraca się. Przecina ulicę i pociąga za cmentarną furtkę. Siłuje się z nią, aż stoję przy niej i pochyliwszy się nad furtką, podważam kłódkę po drugiej stronie bramki i otwieram ją przed nią. Bez słowa wchodzi na cmentarz.

Gdy stoimy nad grobem, odzywam się:

– Teraz, wydaje mi się, musisz być zadowolona z ojca.

– Matko, a niby czemu?

– To on co dziesięć lat przedłużał prawa do grobu.

– Hm – mówi.

Rita wydaje mi się jedną z tych osób, które powiodłyby palcami po wrytych literach. Nie robi tego, tylko siada na zielonej ławce, która stoi na wysypanej muszlami ścieżce pod ścianą kościoła. Cofam się o parę kroków i opieram o zimną ścianę. Wkładam ręce do kieszeni.

– Nie byłam zła na twojego ojca – odzywa się. – Czułam się poniżona. Później, tak. Później się zezłościłam i pozostałam zła.

Siedzimy w cieniu kościoła. Dopiero teraz czuję, że słońce daje ciepło.

– Wiesz, Helmer, on był miły – mówi.

– Wiem – odpowiadam.

– I przystojny. Przystojny był z niego chłopak.

Potwierdzenie świadczyłoby o moim zarozumialstwie.

Rita patrzy na mnie, a widzi Henka.

– Jesteś przystojnym mężczyzną – stwierdza.

– A tam.

– To prawda. Mówię ci.

– Okej – odpowiadam.

Matkę chowano przy Henku. Byłem bardzo ciekaw, jaki widok ukaże się moim oczom. Nic specjalnego nie zobaczyłem. To znaczy, białą płytę – wyglądała jak wiórowa – na dnie dołu, który był jednak głębszy. W czasie pogrzebu lało jak z cebra, letnie oberwanie chmury; woda odbijała się od trumny na kilkanaście centymetrów, kwiaty ugięły się pod ciężarem wody.

Na tym cmentarzu groby mają trzy kondygnacje, jest więc jeszcze miejsce na jedną osobę. Zastanawiam się, czy Rita uważa za przystojnego mnie, czy też chłopca, którego we mnie widzi. Zastanawiam się też, czy nie dostrzega niczego dziwnego w płycie nagrobnej.

– O czym rozmawialiście w samochodzie?

– „Zwolnij”, powiedział Henk, gdy zobaczył samochód z naprzeciwka. Zwolniłam, ale

niedostatecznie. Mój instruktor był dosyć zadziorny i mówił, że kierowców nadjeżdżających z naprzeciwka trzeba zmusić do powrotu na swój pas. „Należy to wymusić – mówił – zachowaniem i spojrzeniem”. – Wierci się na ławce. – Ale tamten mocniej wymusił.

– Jakie były jego ostatnie słowa?

– „Ło, o, o”.

– „Ło, o, o”?

– Tak, wypowiedział to takim tonem, jakby chciał powiedzieć: „Ty głupia gąsko, od razu widać, że dopiero dostałaś prawo jazdy”.

Słyszę, jak to mówi; pasuje to dobrze do wzoru Henka i Helmera.

– Ten instruktor też próbował na mnie wymusić pewne rzeczy tym, jak na mnie patrzył. Nosił tupecik. Oczywiście nigdy na to nie przystałam.

– Oczywiście, że nie – mówię.

– Nabijasz się ze mnie?

– Coś ty.

– Twój ojciec pewnie dostał odszkodowanie za tę simkę, co?

– Tak.

– Na szczęście.

Choć opieram się o zimną ścianę kościoła, widzę siebie stojącego przed mostem schellingwoudzkim. To dlatego, że czuję się zapomniany. Wtedy też się tak czułem. Rita była prawie żoną, ja – ledwie bratem. Teraz to ona wyciąga wspomnienia i snuje swoją opowieść. Mnie o nic nie pyta.

Kaczki, które wyskoczyły z wody, stoją po drugiej stronie kościoła, być może nawet przed zamkniętym ogrodzeniem, i kwaczą. W lecie pod topolami siedzi tyle ludzi – rowerzyści z Amsterdamu, kajakarze, klubiki dzieci ze szkółki żeglarskiej w Broek – że niczego się nie boją. Za kawałek chleba zrobiłyby wszystko. Od czasu do czasu mijają samochody. Jeden chyba chce zahamować, ale jednak przejeżdża.

– Często tu przychodzisz? – pyta Rita.

– W urodziny i rocznice śmierci. Cztery razy do roku.

– Ja też oczywiście mogłam być przyjeżdżać. Najpierw nie przyjechałam, bo zostałam wyrzucona i cały czas myślałam: nie macie co liczyć na to, że jeszcze kiedyś mnie zobaczycie. Dziecinne. Później nie przyjeżdżałam, bo miałam Wiena, a potem dzieci i nie chciałam, by mi przypominano o tych czasach. Chciałam stać się kimś innym.

– Nie można stać się kimś innym.

– Ależ tak.

Poirytowanie odbywa się swędzeniem w ramionach, tak że prawie zaczynam ocierać się o mur kościelny jak latem stara mechata owca.

Czy ona czegoś chce? Czego? Chce, żebym ją pocałował? Mam się zachowywać tak, jakbym był Henkiem? Czy chce, żebym powiedział, że wciąż jest piękną kobietą? Mam ją zapytać, czy chce za mnie wyjść? Chce, bym jej przebaczył?

Bo wciąż jest piękną kobietą. Nie jedną ze stu tysięcy starszych kobiet ubranych w tego samego rodzaju bluzki i rybaczki, z fryzurami utrzymywanymi za pomocą chemikaliów, już z lekko przygarbionymi plecami, łypiącymi spod oka. W lecie przejeżdżają obok gospodarstwa u boku swoich mężów, zawsze lekkim zygakiem, na rowerach o solidnych, porządnym, jednak nie za drogich kołach. Niezależnie od tego, jak bardzo te ich bluzki i żakiety się od siebie różnią, są to dokładnie te same bluzki i żakiety.

Rita jest prawie tego samego wzrostu co ja, a jej twarz to nieco bledsza, bardziej obwisła wersja dziewczęcej twarzy, w której bardzo wyraźnie rozpoznaję kobietę, którą dawno temu, w Monnickendam, do połowy skrywała głowa Henka. W której już wtedy dostrzegałem myśli: Boże, on ma brata bliźniaka, istnieje ktoś, kto wygląda dokładnie jak on; na co mi to? Przez półtora roku aż do śmierci Henka nie zdołała sobie z tym poradzić. W swej niezręczności utrzymywała cichy dystans; jeśli tylko mogła, unikała patrzenia na mnie, dokładała starań, byśmy w miarę możliwości jak najrzadziej byli razem. Piątego grudnia 1966 roku dostałem od niej prezent z dołączonym wierszem – tak banalnym, że z trudem udało mi się powstrzymać łzy litości nad samym sobą. Jak rozemocjonowany chłopczyk, z paczuszką na kolanach, przeczytałem wiersz na głos. Ojciec to zauważył – ponieważ uważa mikołajki za miłe – i dorzucił swoje trzy grosze. Puścił porozumiewawczo oczko do Rity i powiedział, że przywykłem do czego innego, że „tam, w Amsterdamie”, uczę się pisać wiersze złożone wyłącznie z ładnych, trudnych słów. Nigdy nic nie rozumiał. Rita patrzyła na swoje buty.

– Zaczyna mi się robić zimno – powiedziała.

– Wracajmy do domu.

Jeszcze raz spojrzała na nagrobek. Z jej twarzy wyczytuję pytanie, które padnie, a którego spodziewałem się już dużo wcześniej.

– Gdzie właściwie leży twój ojciec?

– Został skremowany. – Przenikliwie zimno chłodzi mi gorącą twarz. – I rozsypany.

Pod płotem ostała się jedna kaczka. Druga została przejechana, jej ciepłe ciało wciąż paruje. Tak już jest, w jednej chwili wyglądasz kawałka chleba, w następnej jesteś trupem. Ritą wstrząsa dreszcz, gdy przechodzi nad martwą kaczką. Odsuwam ją butem na pobocze drogi. Kaczka, która się ostała, drepcze, głośno kwacząc, do wody. Kiedy w drodze powrotnej mijamy szkołę, w jednej z klas odbywa się lekcja śpiewu. Piętnaście dziecięcych buzi wpatruje się w skupieniu w twarz nauczycielki. Nie znam piosenki, którą śpiewają, i zatrzymuję się na chwilę, by posłuchać. Rita maszeruje, nie odwracając się. Muszę prawie biec, by ją dogonić, zanim dotrze do zakrętu.

Kiedy Rita z nami jadła, trzeba było przynosić krzesło z sypialni ojca i matki. Stawiało się je obok krzesła matki, przy dłuższej krawędzi kuchennego stołu. Świadomie czy nieświadomie, kiedy teraz siada, nieznacznie przesuwa krzesło tak, że łąduje prawie na rogu stołu. Zegar kuchenny szemrze.

– Jak tu cicho – odzywa się.

Pijemy herbatę. Już prawie pora, by ją odwieźć. Wyobraża sobie krzątanicę? Dzieci i wnuki, krzeselka dziecięce, inną tapetę, nowoczesne szafki kuchenne?

– Ty byłeś przecież starszy, prawda? – pyta.

– Tak.

– Dopiero potem, kiedy nie żył, a ja odeszłam, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego...

– Tak?

– Dlaczego wybrałam Henka. Chodzi o to, dlaczego zdarza się coś takiego, co się zdarza?

– To Henk cię wybrał.

Znowu mnie irytuje. Nie będzie mi tu przecież prawie czterdzieści lat później wmawiać, że wszystko miała wtedy pod kontrolą.

Mierzy mnie wzrokiem i sięga po filiżankę. Porządną, porcelanową.

– A trochę później myślałam: dlaczego Henk został gospodarzem? Skoro ty byłeś starszy.

– Ja wolałem chodzić na łyżwy z matką i parobkiem, kiedy Henk oporządzał młode.

– Co proszę...?

– Jakoś tak się działo, że to Henk zawsze wiódł prym. Był szybszy i chyba lepiej radził

sobie ze zwierzakami, chociaż razem wykonywaliśmy robotę. Ojciec to widział i Henk był jego synem, już bardzo wcześnie.

–Ale nie chciałeś zostać gospodarzem?

– Nie wiem. Zawsze pozwalałem, by rzeczy toczyły się własnym torem.

Teraz, gdy wreszcie to ona o coś mnie pyta, zauważam, że niechętnie udzielam jej odpowiedzi. Mimo to mówię coś jeszcze.

–W każdym razie nigdy nic na ten temat nie powiedziałem. Nigdy nie wyraziłem sprzeciwu.

–A kiedy umarł, musiałeś.

–Tak, wtedy musiałem.

– Parobka już wtedy nie było?

– Od pół roku.

– I?

– Co?

–Jak ci się to podoba?

Na litość boską, jakby mnie pytała, jak mi się w życiu ułożyło. Jakbym miał zdać sprawozdanie z życia, które powinna była spędzić z Henkiem. Za chwilę jeszcze mnie może zapyta, czy pozwolę jej zajrzeć do księgowości. Nic jej to nie powinno obchodzić, a już na pewno nie to, co sobie myślę. Po co tu przyjechała? Co ma nadzieję odnaleźć?

– Super – odpowiadam krótko.

Ostrożnie odstawia filiżankę na spodek.

–To dobrze – mówi.

Oczy znowu powoli nabiegają jej łzami i odwraca głowę. Długo patrzy przez boczne okienko na zagrodę Ady i Wima. Następnie wydaje głębokie westchnienie. I wstaje. Wygląda na to, że wszystko już tu załatwiła.

Mamy właśnie wsiąść do opla kadetta, gdy na podwórzu wbiega Ronald z ręką wyciągniętą w górę jak puchar piłkarski.

– Czeka!– woła.

Czekam.

– Chcę ci pokazać moją rękę – mówi, nie patrząc na Ritę.

– Pokaż – proszę.

–Widzisz przecież.

– Z bliska.

Ronald podkłada mi dłoń prawie pod nos. Opuszka małego palca jest jasnoróżowa i gładka.

– Boli jeszcze?

– Nieeee – odpowiada dzielnie. – Już nie noszę opatrunku, bo tak łatwiej mi będzie chłodzić rękę.

– Mama tak powiedziała?

– Tak. – Na moment zagląda za mnie, na drugą stronę samochodu, gdzie stoi Rita. – Kto to? – pyta.

– Rita.

– Skąd przyjechała?

– Z Brabancji.

– Barboncji?

– Brabancji. Z daleka.

–A po co przyjechała?

– Zapytaj ją, nie gryzie.

Patrzy na mnie wzrokiem psa.

– Dawniej często tu przyjeżdżałam – mówi Rita. – I teraz przyjechałam jeszcze raz.

–Aa – mówi Ronald, gapiąc się w mój brzuch.

– Miałam wyjść za brata pana Van Wonderena.

– Ee?

– To ja –mówię.

– Masz brata? – pyta zaskoczony.

– Nie, już nie.

– Aa.

– Ale teraz wracam do domu. Pociągiem.

– Odwozisz ją?

– Tak – przytakuję. – Na prom w Amsterdamie.

–A przyjedzie tu jeszcze?

– Nie wiem. Przyjedziesz jeszcze?

– Może – odpowiada Rita.

Wsiada do samochodu i zamyka za sobą drzwi.

– Jedziemy – mówię do Ronalda.

– Dobra – odpowiada.

Odwraca się i rusza przed siebie. Kiedy jest już prawie przy grobli, odwraca się. Widzę, że zrobi tak jak Teun.

– Gdzie jest twój ojciec? – wrzeszczy.

– Na górze – odpowiadam i wskazuję palcem niebo.

– Na górze – mówi Rita, gdy stoimy przed frytkarnią.

– Tak – potwierdzam.

– Cudownie być dzieckiem.

– Tak.

– Pewnie zmarł niedawno, co?

– Tak, niedawno.

Jeszcze sporo czasu stoimy przed frytkarnią. Słońce wciąż nie zaszło, ale to bez znaczenia. I tak go nie widzę, wisi za budynkiem stacji. Panuje o wiele większy ruch niż tego ranka. Ludzie wracają do domów, spieszą w obu kierunkach. Gdyby nie jeździły promy ani barki, ani statki wycieczkowe, wody II byłyby zupełnie gładkie. W oddali widzę wysokie budynki w miejscu, które w moich wspomnieniach było puste. Drugi brzeg wzbudza we mnie przerażenie. Ten brzeg w mniejszym stopniu, ponieważ dokładnie wiem, którędy mam jechać i jak najszybciej go opuścić. Rita chyba nie chce wysiadać. Nawet torebka, która spoczywa na jej kolanach, nie jest torebką kobiety w jej wieku. Ale sposób, w jaki ją obejmuje dwiema rękami, tak.

– Henk przysparza trochę problemów – mówi Rita.

Przysparza?

– Nic nie robi. Już pół roku siedzi w domu. Nie ma przyjaciół.

Robi? Siedzi? Nie ma?

– Czasami leży już w łóżku i nagle potrafi znowu wyjść. Nie mam pojęcia, gdzie się wtedy podziewa.

– Rita, o czym ty mówisz?

– O Henku.

– Jakim Henku?

– Moim synu.

– Twój syn ma na imię Henk?

– Tak. Nie wiedziałaś?

– Skąd miałem wiedzieć?

– Zwłaszcza to leżenie w łóżku mnie przeraża.

– Henk? Dałaś swojemu synowi na imię Henk?

– Dlaczego nie?

– Co powiedział na to twój mąż?

– Nic. Wienowi się ono podobało. U niego w rodzinie był jeden Henk. Krótkie i stanowcze, powiedział.

Jakiś rowerzysta zawadza o moje lusterko boczne. Wyciąga. w górę dłoń w przepaszającym geście.

– No i pomyślałam sobie, czyby może nie przyjechał do ciebie na jakiś czas. To znaczy do pracy.

Czy o to chciała mnie poprosić?

– Do mnie?

– Tak. Masz zwierzęta. Krowy, owce, kury. Myślę, że zwierzęta dobrze by mu zrobiły. I jesteś zupełnie sam, może przyda ci się ktoś do pomocy. Ktoś w rodzaju parobka.

Ktoś w rodzaju parobka. Zapomniała wymienić osły.

– To mu dobrze zrobi. Praca. Wczesne wstawanie, wczesne kładzenie się, ten sam rytm. Świeże powietrze, choć oczywiście w domu też je ma.

– Hm – odzywam się. – Przy wszystkich tych chlewniach?

– To prawda – zgadza się Rita. – Tutaj ładniej pachnie.

– Co on sam o tym myśli?

– O niczym nie wie.

– Kiedy to wymyśliłaś?

– Och, jakiś miesiąc temu.

Nigdzie – ani na wodzie, ani w szybach wyższych budynków – nie odbija się ani odrobina słońca. Ponad budynkiem stacji niebo zrobiło się pomarańczowe, a teraz szybko ciemnieje. Rita wypuszcza z rąk torebkę, by otworzyć drzwiczki samochodu.

– Zastanowisz się nad tym? – pyta.

– Oczywiście – odpowiadam.

Patrzy ponad ramieniem, czy nie przechodzi jakiś pieszy, i otwiera drzwi. Waha się.

– Wymyka mi się – mówi nagle. – Jak już czasem na mnie popatrzy, to tak, jakby widział przed sobą kogoś obcego.

Pochyla się w prawo, w stronę wyjścia. Do wnętrza samochodu wdziera się zimne powietrze. Nagle odwraca się w lewo i całuje mnie w policzek.

– Dziękuję – mówi.

Odprowadzam ją wzrokiem. Podczas przesłuchania, jakie za moim pośrednictwem zrobił jej Ronald, odniosłem wrażenie, że będę ją częściej widywał. Teraz mam poczucie, że już nigdy jej nie zobaczę. Nieznacznie powłóczę nogą, znika w dymie przechodniów i rowerzystów, nie oglądając się za siebie. Przepłyń w wodę, za jakiś czas dotrze na drugi brzeg, będzie szła między setkami ludzi, z których każdy zmierza w innym kierunku. Tysiące ludzi jednocześnie w różnych pociągach, które przecinają cały kraj. Na zewnątrz nic nie widać, jest za ciemno. Co będzie robić? Czytać? Siedzieć cicho i myśleć? Rozmawiać z ludźmi siedzącymi naprzeciwko? Nie wiem. Przed zapuszczeniem silnika gładzę dłonią policzek, a następnie przyglądam się swoim palcom.

Podczas dojenia częściej niż zwykle opieram głowę o ciepłe krowy, również wtedy, gdy dojarka już wisi, a mleko w uspokajającym rytmie jest zasysane przez rurkę. Nigdy nie będę stał w plastikowym fartuchu w wykafelkowanym na biało stanowisku udojowym, w którym doi się jednocześnie dziesięć lub dwanaście krów; tutaj nigdy nie stanie wielka stalowa obora, w której zamiast słomy rozściela się trociny; tutaj zawsze będzie się powoli przesuwac szufla usuwająca obornik, tam i z powrotem, zaś kupa gnoju z każdym dniem będzie coraz wyższa, aż gnój zostanie wywieziony rozklekotanym beczkowozem; tutaj nigdy w kuchni nie będzie się krzątała kobieta ani parę razy w tygodniu rozwieszać prania na linie rozciągniętej nad pasem trawy wzdłuż warzywnika. Tutaj jest bezpiecznie i przytulnie, moja głowa porusza się w rytmie oddechu krów. Ale jest też pusto.

Myślę o przewodach elektrycznych, które uginają się pod ciężarem setek jaskółek. Oknówek, nie jerzyków. Myślę o Danii, ale po raz pierwszy nie o Jarno Koperze. Myślę o parobku, który widział jaskółki w Danii.

– Stare graty – mówi ojciec z oburzeniem, kiedy po dojeniu przynoszę mu coś do jedzenia.

– Kłamałem może? – pytam, wskazując na stojący zegar, zdjęcia na ścianie i na niego.

– Ta wrona znowu siedzi na osice.

– Widziałem.

– Jak było?

- Jeszcze nie wiem.
- Jeszcze nie wiesz?
- Nie.
- Co robiliście w nowym pokoiku?
- Rozmawialiśmy.
- O czym?
- Nie słyszałeś?
- Nie.

Dawno już nie zadał tylu pytań. Rita go frapuje. Być może przez cały dzień leżał, myśląc o przeszłości. Wyobrażam go sobie leżącego cicho jak mysz pod miotłą, wydychającego powietrze w chwilach, gdy przed jego drzwiami toczy się rozmowa, nadstawiającego uszu, kiedy coś zostaje dorzucone w odpowiedzi. Jest samotny? Kręcę głową, nie chcę o tym myśleć. Miniony dzień wydaje mi się pojedynkiem z jednym zawodnikiem – cieniem: dwaj Van Wonderenowie przeciwko Ricie.

Zasuвам zasłony.

–A, tak – rzucam przy okazji jak najbardziej mimochodem. – Zostałeś skremowany. I rozsypany.

Aż wybucha śmiechem.

- Byliście na cmentarzu – stwierdza rozbawiony.
- Tak. A tam brakuje twojego imienia.

Czy kiedyś wcześniej tak sobie z niego zażartowałem? Wpatruję się we wzór na zasłonach i nie mogę sobie nic takiego przypomnieć.

Jego śmiech ustępuje miejsca powadze.

- Jestem brudny.
- Zobaczymy.
- Gdzie zostałem rozsypany?

– Byle gdzie. Na polu, za kurnikiem, pod osiką.

Puszczani zakładki zasłon i odwracam się. Jego oczy są wilgotne od śmiechu. Chyba. Koniecznie musi zostać ogolony. Biała poszewka poduszki jest szarawa.

- Po co tu przyjechała?
- Tak sobie.

Ruszam do drzwi. Kiedy gaszę światło, przychodzi mi do głowy lepsza odpowiedź.

– Nie – poprawiam się. – Nie tak sobie. Przyjechała przeprowadzić rozmowę kwalifikacyjną.

Uśmiechając się, schodzę na dół.

Jestem ostatnim Van Wonderenem. Oczywiście jest ich więcej, ale nie w naszej gałęzi. W rubryce sportowej gazety znalazłem kiedyś nazwisko Keesa van Wonderena, piłkarza, chyba w Feyenoord. Raz wydrukowali w gazecie jego zdjęcie. Wydało mi się, że jestem do niego podobny, choć pewnie był ze trzydzieści lat młodszy. Dziadek Van Wonderen miał trzy siostry. Wszystkie wyszły za mąż i wszystkie miały dzieci. Ojciec ma lub miał sporo ciotek. Ja mam lub miałem tyle samo praciotek i jeszcze więcej prakuzynów i prakuzynek. Nikt z nich nie nosi nazwiska Van Wonderen. Nie znam ich. Ojciec jest jedynakiem. Henk – imiennik dziadka Van Wonderena – nie żyje. Ja się nie ożeniłem. Wraz ze mną wymrzemy. Pada. Drugi okres mrozu nie trwał za długo i czytam w gazecie, że utonęło co najmniej trzech łyżwiarzy. Byłem nad Wielkim Jeziorem z łyżwami w ręce i odkryłem, że jest tylko do połowy zamrożone. Nie próbowałem lodu – jeszcze za wcześnie, by umierać. Dwa dni temu młody kierowca cysterny przyjechał z dużym okrągłym plastrem na lewym oku. Malował w domu i przy skrobaniu framugi okiennej drzazga wpadła mu do oka. Nie usunęło to uśmiechu z jego ust, choć był on odrobinę krzywy. Opuściłem zlewnię szybciej, niż zamierzałem, na widok tego opatrunku w gardle stanęła mi gęła i bałem się, że będzie można to usłyszeć w moim głosie. Wczoraj na podwórze wjechał handlarz bydłem. Parę minut postął w kuchni, pocierając stopę o stopę, i wyjechał, nie zrobiwszy interesu. Weterynarz przyjechał do chorej jałówki. Wlepił jej w zadek dwie potężne strzykawki i powiedział, że wszystko będzie dobrze. Jałówkę oddzieliłem od reszty.

Od paru dni rozglądam się po kuchni. Zastanawiam się, czyby też tutaj czegoś nie pomalować. Każdy taki obchód kończę na wronie siwej i przypomina mi się parobek. Zacząłem go w myślach nazywać Mały Henk. Rita zadzwoniła i zapytała, czy już to przemyślałem. Odpowiedziałem, że tak, ale nie do końca. Jeszcze nigdy nie miałem parobka. Sam byłem parobkiem, ojca. Od czasu do czasu widzę, jak wrona zrywa się do lotu, za każdym razem, gdy się wzbija, zatacza łuk w dół (jakby po to, by wypróbować skrzydła), zanim na dobre odleci.

Ada dopiero dzisiaj znowu siedzi w kuchni, pięć dni po wizycie Rity. Sobota. Teun i Ronald są na piłce nożnej – zimowa przerwa jedenastki orlików dobiegła już końca.

– Helmer! Niesamowite! Kto to był?

– Nieznajomy – odpowiadam.

– Co to za odpowiedź! Twoja bratowa!

– Nie, moja niedoszła bratowa.

– No tak. – Ada udaje, że Ronald nic nie opowiedział o Ricie. –Widziałam, jak szliście, i pomyślałam sobie: co za przystojna kobieta.

– Tak, jest nadal przystojna.

–A twój ojciec też był tym podekscytowany?

– Bardzo.

– Co powiedział?

– Niewiele.

– Och, czemu tak cedzisz? Widać po tobie, że ci było miło!

– Śmiał się – mówię.

Patrzę Adzie w oczy i po paru sekundach odwraca twarz. Jest bardziej podniecona niż zwykle, nakręcona.

– O czym rozmawialiście?

– Zwyczajnie, o przeszłości, o jej mężu, który zmarł w zeszłym roku, o córkach, o tym, jaki to Henk był miły, o osłach i kurach.

– Przyjedzie jeszcze? – Nawet jej głos brzmi inaczej; słychać w nim napięcie. Niemalże widzę wykrzykniki.

–Zanim wsiadła do samochodu, powiedziała Ronaldowi, że może.

Policzki Ady czerwienieją. Nie jest to czerwień wywołana krzątaniną przy wiosennych porządkach.

– To miło – mówi.

Między bocznym oknem a szalkami kuchennymi wisi stary zegar na baterie. Tarcza jest brązowa, szeroka krawędź – pomarańczowa, a wskazówki są białe. Zegar szumi cichutko, prawie bezgłośnie. Niedawno, z Ritą, też słyszałem ten poszum. Nie pamiętam, bym wcześniej kiedyś go słyszał. Teraz chodzi głośniejsz niż kiedykolwiek, Może mechanizm się psuje.

– Nie przyjechała tutaj ze względu na siebie.

– Nie?

– Kiedy czekaliśmy na prom, nie od razu wysiadła z samochodu, zaczęła opowiadać

o swoim synu.

– O swoim synu.

– Tak, synu, Henku. Czy nie mógłby przyjechać, aby u mnie pracować.

– Po co? – Jej twarz odzyskała normalny kolor.

Ada się rozchmurza.

– Nic nie robi w domu. Nie pracuje, wyleguje się w łóżku, czasami znika na jakiś czas.

– Czemu?

– Nie mam pojęcia. Czy nie mógłby zostać moim parobkiem, powiedziała Rita.

– Wspaniale – woła Ada.

– Wspaniale?

– Tak! Odkąd twój ojciec zachorował, wszystko jest na twojej głowie.

– Ze wszystkim mogę sobie poradzić bez problemu, tu w ogóle nie ma dla niego roboty.

– Razem jest przecież różnie, prawda? I oczywiście, że znajdzie się dla niego robotą!

Oborę dla cielaków na przykład trzeba by przecież znowu zaimpregnować kreozotem. Dojenie we dwójkę. Za parę miesięcy zaczniesz się robotą przy owcach...

– Mam dwadzieścia owiec.

– Wystarczy. Skoro możesz pomóc temu chłopcu. I Ricie? – wymawia to imię, jakby znała tę kobietę od lat.

– Hm – odzywam się.

– Zrobisz to?

– Muszę się jeszcze nad tym zastanowić.

– Ona też chce się tu przenieść? – Bardzo się stara, by zabrzmiało to beztrąsko.

– Chyba nie, po co? – odpowiadam.

– To ja ciebie pytam.

– Nie, nie wydaję mi się, nic o tym nie mówiła.

Ada się odwraca i patrzy na zegar. Podnosi się.

– Muszę odebrać chłopców z piłki.

– Stracili już swojego wielkiego idola? Patrzy na mnie, nie rozumiejąc.

– Jarno Kopera. Wyjechał?

– O, Jarno Kopera! Tak, wyjechał.

Idę z nią do komory.

– Musiała bardzo kochać twojego brata – mówi Ada, otwierając drzwi do zlewni.

– By nazwać jego imieniem swojego syna.

– Tak.

– Jest więcej Henków.

– Pa, Helmer. Pozdrów ojca ode mnie, dobrze?

– Pozdrowię, dziękuję.

Patrzę za nią, jak wychodzi ze zlewni, mijając zbiornik chłodzący. Jest coś starego w jej plecach, coś, czego wcześniej nie zauważyłem.

Pierwsze, co robię, gdy wchodzę do pokoju ojca, to przekazuję pozdrowienia od Ady. Potem funduję mu gruntowne mycie. Siedzam go na sedesie i pytam, czy chce się ogolić przed wzięciem prysznic, czy po. Przed, i chce to zrobić sam. Zdejmuję matę lusterko ze ściany w sieni i ustawiam je na umywalce, by mógł się widzieć, siedząc na plastikowym stołeczku. Długo to trwa, ręce lekko mu drżą i ma trudności z wygładzeniem zmarszczek na szyi i jednoczesnym prowadzeniem żyłki. Nie tylko go myję, lecz także wyciskam sporo szamponu na włosy. Kiedy jest czysty, pytam go, czy może chwilę posiedzieć na stołku. Tak, może, jeśli tylko silnie wesprze się rękami o kolana, opierając się plecami o wyłożoną kafelkami ścianę. Wchodzę po schodach, rozścielam łóżko i zaścielam je czystymi prześcieradłami i poszewkami. Zauważam, że gwizdę w czasie zmiany pościeli. Przed zejściem z powrotem podchodzę do okna i przyglądam się wronie siwej.

–A gap się, gap – mówię, kiedy widzę, że mnie obserwuje.

Jakiś czas potem świeżo pachnący i uczesany ojciec leży znowu w łóżku.

– Zjadłbym chleb z jajkiem – mówi.

– Przekręcisz się z boku na bok, co?

– Mam się przekręcić? A po co?

– Jeśli będziesz cały czas leżeć na plecach, zrobią ci się odleżyny, a wtedy zabiorą cię do szpitala, a jak tam trafisz, to już tu nie wrócisz.

– Hm...

– Tak.

– Do Purmerend?

– Co do Purmerend?

– Do szpitala.

– Niech ci będzie.

– Akurat – mówi i zamyka oczy.

Ale ledwie zatrzaskuję za sobą drzwi, słyszę szelest pościeli.

Dziwne, że przywiązuję taką wagę do tego, że jestem ostatnim z Van Wonderenów. Bez żony, dzieci i ze zniedołężniałym ojcem, który nie splamił się choćby jednym słowem o rodzinie, nie spodziewałem się po sobie jakichś sentymentów związanych z tematem potomków z krwi i kości. Czy chodzi mi o gospodarstwo? Naszą zagrodę? Zabudowania, zwierzęta i ziemię, z którymi nie chciałem mieć nic wspólnego, które zostały mi narzucone, a z którymi wraz z upływem czasu jednak jakoś się żyłem?

Obok oślej stajni stał domek, który miał stać się domem Henka i Rity po ich ślubie. Najpierw parobek miał się z niego wynieść, potem Henk i Rita mieli mieć dzieci, następnie rodzina miała wyrosnąć z domku, by w końcu przenieść się na gospodarstwo. Wszystko zostało skrzętnie zaplanowane, matka w myślach już urządzała domek parobka. Kiedy miałem trzydzieści lat, ojciec chciał sprzedać domek, który – po odejściu parobka – był wynajmowany amsterdamskiemu przyjeżdżającemu tu tylko w weekendy i w wakacje. Matka się z nim nie zgadzała.

– Nigdy nic nie wiadomo – mówiła, spoglądając krzywo w moją stronę.

Jesienią 1987 roku, jakieś osiem miesięcy przed śmiercią matki, domek spłonął w niedzielną noc po weekendzie, który spędzili w nim amsterdamszczy. Dziwnie było widzieć, jak każdej wiosny ponownie rozkwitają krępe magnolie w poza tym zupełnie zdziczałym ogrodzie. Wciąż stoi połowa bocznej ściany, ale nie potrwa to długo.

Lasy państwowe chcą kupić ten kawałek ziemi.

Żałuję, że wyrzuciłem swoje łóżko na stos noworocznego ogniska.

– Znowu łóżko? – zapytał mnie wczoraj pogodny sprzedawca, gdy stałem przed tanim sosnowym łóżkiem.

– Tak – potwierdziłem. – Znowu łóżko.

Czy nie chcę do niego materaca? Nie, materaca nie potrzebuję. W innym sklepie nie obsługiwała mnie młoda sprzedawczyni z czarnymi warkoczami, ale starsza, przemęczona kobieta. Kupiłem jednoosobowe łóżko, dwie poszwy i dwie białe poszewki na poduszki, z których wszystkie były na wyprzedaży. Nie zwracałem uwagi na kolor ani wzór. Ponieważ

byłem zadowolony z zakupów, kupiłem w wędzarni funt węgorka. Długie strony łóżka wystawały przez opuszczone okienka przednich prawych i lewych tylnych drzwiczek. Próbowałem wracać do domu równym tempem, bez gwałtownego przyspieszania ani hamowania.

Przed zabraniem się do pracy uchylam okno i rozścielam gazety na granatowej wykładzinie. Zabrałem z kuchni radio tranzystorowe na górę. Przyjemnie się maluje z włączonym radiem. Kiedy w lecie maluję na dworze, zawsze mam nastawione Radio Tour de France. Nie interesuje mnie, kto wygrywa czy przegrywa, chodzi o relację. Zaczynam od sufitu, był już biały, więc wystarczy jedna warstwa. Tapeta na ścianach ma rzucik, wzorek z lat sześćdziesiątych. Pod Reeuwijk przewróciła się ciężarówka z cysterną, czterech pracowników w żółtych kombinezonach usuwa wodorotlenek wapnia. Mieszkańcom w bezpośrednim otoczeniu nie wolno otwierać drzwi ani okien. Lateks szybko schnie, a w miarę wysychania wzorek tapety blaknie. Zamierzałem pomalować tylko ściany i sufit, ale skoro już pracuję, framuga weluksu z jasnego drewna zaczyna mnie denerwować. Thom de Graaf z partii D66 wyjaśnia, jakie korzyści wynikają z bezpośredniego wyboru premiera. Spiker zastanawia się, czy będziemy mieć wtedy premiera o ładnym tyłku. To pytanie nie zbija de Graafa z pantafelów. Odpowiada, że nie słyszał, by ktokolwiek inny, poza dziennikarzami, rozprawił o ładnych tyłkach. Spoglądam na radio, nie wierzę, że słyszę to, co słyszę. Drzwi są perłście białe. Po położeniu pierwszej warstwy lateksu idę do szopy. Z szafki na truciznę wydaję szarą farbę do gruntowania. Unoszę puszkę szaroniebieskiej farby i czuję, że wystarczy jej na pomalowanie drzwi i okien. Z farbą do gruntowania, papierem ściernym i pędzlem znowu wchodzę na schody. Bardzo ostrożnie ścieram stolarkę, lateks jeszcze nie wysechł. W słownictwie indonezyjskim nie ma słowa „łyżwy”, a mimo to w centrum handlowym w Dżakarcie ludzie jeżdżą na łyżwach po sztucznym lodowisku. Wydaje się, że kryzys gospodarczy nie dotknął Indonezji, mimo to społeczeństwo ma dość prezydent Megawati. Po zagruntowaniu białą farbą ściany po raz kolejny. Spod wałka znowu wychodzi rzucik. Wieczorem zobaczę jeszcze raz, czy druga warstwa go pokryła. Miejscowe opady, później będzie padać wszędzie – deszcz nadejdzie z zachodu. Jutro duże zachmurzenie, w ciągu dnia nieznacznie się rozjaśni.

Zapalam światło w pokoju Henka. Muszę odsunąć trochę starych gratów, dopiero wtedy udaje mi się dostać do nocnej szafki. Przenoszę ją do nowego pokoiku i również

zagruntowuję. Potem zaglądam do ojca.

Pociąga nosem.

– Malujesz?

– Tak.

–A co tym razem?

– Nowy pokoik.

– Po co?

– Dla parobka.

– Parobka?

–Tak. Nie mówiłem ci?

– Ja tu tylko leżę, o niczym nie wiem.

– Mówiłem ci na pewno, zapomniałeś.

– Ja nic nie zapominam.

– Niech ci będzie. Kupiłem węgorza, zjesz później trochę?

– Pycha – cieszy się.

Wciąż jest nie do zniesienia, ale i tak mniej mi przeszkadza niż kiedy indziej.

Wieczorem długo stoję pod prysznicem. Chcę być mokry, ciepły i mokry. W czasie kąpieli nie chce mi się nawet myśleć o wycieraniu. Ściany w nowym pokoiku są gotowe, rzucik z lat sześćdziesiątych prawie znikł. Jutro rano weluks, drzwi i nocna szalka. Wieczorem złożę łóżko, na to mój stary materac i szafka obok. Kiedy widzę, że opuszki palców zaczynają mi się marszczyć, zakręcam kran. Pospiesznie się wycieram i przebiegam przez komorę. Czeszę się przed dużym lustrem nad kominkiem. Ciepło pieca ogrzewa mi nogi i podbrzusze. Skręcam pokrętko z pozycji 4 na 1 i idę w stronę drzwi sypialni.

– Kraa – dobiega z zewnątrz.

A potem jeszcze cztery razy. Zostawiam drzwi do sypialni otwarte i przy wchodzeniu do łóżka czuję, jak lekko drży mi noga wciąż stojąca na podłodze. Kładę się i nasłuchuję w napięciu, wrona siwa milknie po piątym okrzyku.

Jest pół do jedenastej rano. Pada z nisko zawieszanej czapy chmur. Wczoraj, jak zwykle, meteorolodzy mocno się pomylili. Lampa w kuchni się pali. Krzywa osika lśni, wrona siwa siedzi ukryta na swej gałęzi. Od czasu do czasu otrząsa pióra, nie rozkładając skrzydeł. Przypomina wtedy mysz, która bierze kąpiel w kałuży na podwórzu. Gigantyczną mysz. Czekam. Gazeta leży przede mną na stole, ale nie mogę czytać. Siedzę i gapię się na zewnątrz. Zegar szumi, u góry jest zupełnie cicho, w moim kubku parę łyków zimnej kawy. Nie tylko u góry jest cicho, wszędzie jest cicho, deszcz uderza miękko o parapet, droga jest mokra i pusta. Jestem sam, nie mam nikogo, do kogo mógłbym się przytulić.

W lutym 1963 roku ojciec jeździł po zamrożonym morzu Gouw z Henkiem i mną na tylnym siedzeniu.

– Czegoś takiego nigdy już nie przeżyjemy – chichotał.

Henk i ja trzymaliśmy się od siebie daleko, każdy przyklejony do szyby po swojej stronie. Matka została w Monnickendam, nie odważyła się pojechać z nami. Kiedy wróciliśmy do portu, czekała na nas dokładnie w tym samym miejscu z lustreczkami lodu na rzęsach. Podczas trzeciej lub czwartej rundki ojciec wykręcił przed wierzchołkiem falochronu w prawo zamiast w lewo. Po jakichś pięćdziesięciu metrach wyhamował. Falochron przypomina groblę, która po drodze z Marken do Voldendam wygląda tak, jakby budowniczy zapomnieli ją ukończyć, przez co wieś i wyspa na wieki zostały rozdzielone. Ojciec siedział pochylony nad kierownicą, wpatrując się w punkt na falochronie, ujście do jeziora IJssel. Wzdychał. Świeciło słońce; takie słońce świeciło już całą długą zimę. Śnieg przesuwiał się po lodzie jak piasek po mokrej plaży. Nie patrząc po sobie, zrozumieliśmy z Henkiem, co ojciec chce zrobić. Oderwaliśmy się od naszych okienek i przysunęliśmy do siebie na tylnym siedzeniu. Mieliśmy piętnaście lat. We wstecznym lusterku zobaczyliśmy, jak mija nas inny samochód, nie usłyszeliśmy go. Ojciec jeszcze raz westchnął. Silnik był wyłączony, panowała cisza. „Lód ma z osiemdziesiąt centymetrów grubości”, powiedział ojcu ktoś w porcie. Był niewyobrażalnie gruby. Ojciec rozłożył szeroko ramiona, by uzmysłwić sobie tę grubość, i zebrał się na odwagę. Osiemdziesiąt centymetrów lodu – nawet pod ciężarówką się nie ugnie. Nie było zwyczajnie cicho – panowała mrożąca krew w żyłach cisza. Ojciec nie wiedział, jak gruby był lód za falochronem. Kiedy siedział, wzdychając, my przysunęliśmy się do siebie jeszcze bliżej,

aż wylądowaliśmy przyklejeni od boków stóp aż do ramion niczym bliźnięta syjamskie. Gdyby ojciec ośmielił się podjąć tę wielką przygodę, zapuścił silnik i ruszył na płaszczyznę śniegu pozbawioną śladów opon, my mieliśmy jej sprostać jak jeden mąż, bez strachu, w wielkiej ciszy. Ojciec zapalił, silnik zdołał zaskoczyć chyba dopiero za czwartym razem. Przystałem czuć własną skórę, własne mięśnie, własne kości. Mógł skierować samochód do przodu. Ale pojechał wstecz, bardzo wolno, jakby zwlekając, by wciąż móc zmienić zdanie. Henk i ja ujrzelśmy, jak cztery wzniesienia śniegu zawianego pod opony powolutku maleją. Następnie ojciec przejechał z wielką prędkością jeszcze czwarte lub piąte kółeczko, przy którym samochód od czasu do czasu znosiło na zakręcie, a nas, na chwilę, wytrącało z naszego syjamskiego stanu. Dopiero kiedy zobaczyliśmy, że widzi nas matka, krótko zanim ojciec skierował samochód na pomost w porcie, oderwaliśmy się od siebie, staliśmy się na nowo Henkiem i Helmerem. Matka nie zdołała wydusić ani słowa, jej broda nie chciała się opuścić, wargi stały się dwoma skrawkami zeszywniałego mięsa.

Przed wyjazdem robię to, co mógłbym też zrobić później. Wstawiam chorą jałówkę, która już wydobrzała, z powrotem pomiędzy resztę jałówek. Zdejmuję pokrywę z koryta w kurniku i wsypuję do niego worek karmy. Osły dostają parę garści siana, rano dałem im buraka pastewnego w kawałkach. Wciąż jest ciemno, ale już nie pada. Kiedy jestem już za Zuidendorp, moim oczom ukazuje się miasto jak szara płaszczyzna klocków.

Przed frytkarnią. Oboje z Ritą znamy to miejsce. Ale gdy nadjeżdżam, widzę, że stoisko z frytkami wyparowało, a na miejscu wyparowanej frytkami stoi już jakiś samochód. Parkuję opła kadetta za nim – błyszczącym, drogim samochodem z dwoma mężczyznami na przedzie.

Głos Rity w telefonie brzmiał bardzo rzeczowo, jakby moje „tak” zupełnie jej nie zaskoczyło. Henk tymczasem już wiedział o wszystkim i też się zgodził. Nie, sama się nie wybierała, on „by to źle przyjął, gdyby matka odwoziła go do domu, w którym ma zamieszkać”. Na pytanie, jak go poznam, powiedziała, że mam zwracać uwagę na jego uszy i że mu mnie opisze. Tuż zanim odłożyliśmy słuchawki, uściśliła zgodę Henka – dosłownie powiedział: „Co za różnica”.

Wysiadam z samochodu. Kawatek dalej przybija prom dla pieszych, a wraz z łodzią wyłania się również z lat sześćdziesiątych nazwa połączenia: prom Orzeł. Obaj mężczyźni w drogim samochodzie palą. Ubrani są w garnitury. Samochód i mężczyźni, jakich się widzi tylko w mieście. Znowu zaczyna padać i zastanawiam się, jakie zachowanie idzie w parze z powiedzeniem „Co za różnica”.

– Moja matka powiedziała, że będzie pan ubrany w ten sweter.

Chłopak o włosach ściętych na jeża i o dużych uszach podaje mi rękę. To on mnie znalazł, ja patrzyłem na chłopca, który zszedł z promu tuż za nim. Mam na sobie mój porządny sweter. Niebieski w czarne paski, w który ubrany byłem również podczas wizyty Rity, w sylwestra i podczas pogrzebu starego kierowcy cysterny na mleko. To idący za nim chłopak był podobny do Rity. Miał taki sam kolor włosów i się rozglądał. Tak byłem pewien, że to Henk, że – aby móc go obserwować – aż cofnąłem się o krok przed osobą, która podeszła do mnie trochę zbyt blisko.

– Pan Van Wonderen? – zapytała ta osoba.

– Tak? – odpowiedziałem, nie patrząc na nią.

– To ja.

Wyciągnął swą dłoń, a ja ją ująłem.

– Moja matka powiedziała, że będzie pan ubrany w ten sweter.

– Wsiadaj – mówię.

– Co mam...

– Połóż na tylnym siedzeniu.

Gdy zdejmuję swój plecak, ja przyglądam się chłopcu, który tak przypominał mi Ritę. Wskoczył na bagażnik roweru i objął w talii jakąś dziewczynę. Teraz opiera nawet głowę na jej plecach.

– Wsiadaj – powtarzam.

Jednocześnie otwieramy drzwiczki, ale nim on zdąży wygodnie się usadowić, ja już zapalam. Po chwili doganiam rowerzystkę. Chłopak mówi do jej pleców i przez moment na mnie spogląda. Rzuca mi spojrzenie, jakim obdarzają się mijający się ludzie: krótkie, obojętne, myślami gdzie indziej. A ja jeszcze myślę: Henk, dlaczego nie wsiadłeś do mojego samochodu?

Na wysokości Zunderdorp nie skręcam w prawo, ale jadę prosto. W Volgermeerpolder ciężkie maszyny wrywają z ziemi krępe, niskie drzewa. Wreszcie zaczęli usuwać te syfiaste chemikalia. Na prostej jak drut drodze przez Belmermeer chłopak nic do mnie nie mówi.

– Co za parszywa pogoda.

Krótko spoglądam w bok, droga jest wąska, a z przeciwka jedzie samochód. Musi być podobny do Wiena, myślę, kierując samochód na pobocze. Jego ospały głos nie pasuje do krótkich rudych włosów. Może Rita wczoraj wysłała go do fryzjera, a on zobaczył, jak fryzjer ujmuje grzebień i nożyczki, i powiedział: „Nie, weź pan maszynką”, by po powrocie do domu nieźle ją wystraszyć. Wciąż męczy mnie dziwne przeświadczenie, że coś tu nie gra.

Tak naprawdę nie pomaga na nie przyjazd do domu, bo gdy przebywało się w zupełnie innym miejscu, taki powrót zawsze odbiera się dziwnie. Czy to dlatego, że w domu nic się nie zmieniło i wszystko wygląda tak samo jak wcześniej? Podczas gdy człowiek doświadczył rzeczy nawet nie wiadomo jak nieistotnych: postarzał się, choćby tylko o parę godzin? Widzę gospodarstwo jego oczami: mokre zabudowania w mokrej scenerii, ociekające nagie drzewa, trawę nadgryzioną mrozem, żałosne knypki jarmużu, puste pola i zapaloną lampę w pokoju na piętrze. Ja ją zaświeciłem czy to ojcu udało się tego jakoś dokonać?

– Jesteśmy na miejscu – mówię.

– Tak – odpowiada Henk.

Ponieważ pada, wstawiam samochód do szopy. Nie oglądając się za siebie, bierze

plecak z tylnego siedzenia.

– Ubranie? – pytam.

– Tak – potwierdza Henk.

– Mam dla ciebie gumki i kombinezon.

Wciąż stoi przy aucie, z plecakiem przewieszonym przez ramię.

Jeszcze nigdy nikogo nie wysyłałem do pracy – z wyjątkiem siebie. Ojciec wysyłał mnie. Jak się to robi? Najpierw jednak do domu. Kiedy ruszam przed siebie, posuwa się za mną. Tak jak na gospodarstwo, tak teraz spoglądam na szopę jego oczami. Worki paszy i granulatów, na zacienionej górze – bele siana i słomy, brona, zawieszane narzędzia: łopaty, widły, szufle, zbiornik oleju napędowego na nóżkach, zabałaganiony warsztat (śrubokręty, obcęgi i młotki leżą na blacie, podczas gdy drewniana plansza z gwoździkami i wyrysowanymi ołówkiem konturami narzędzi jest pusta), srebrzystoszara szafka na truciznę. Na ścianie obok warsztatu wisi rower ojca. Ma nienapompowane opony, tylny błotnik jest poluzowany, a łańcuch – zardzewiały. Pajęczyny są stare i poszarzałe. Przez fugę stalowego okienka nad rowerem do środka cieknie deszczówka.

– Masz prawo jazdy? – pytam.

– Nie – odpowiada Henk.

Rower. To będzie jego pierwsze zadanie do wykonania.

W lampie sufitowej tkwi przynajmniej siedemdziesięciopięciowatowa żarówka. Plecak Henka leży pod weluksem na granatowej wykładzinie. Deszcz bije o szybę. Henk siedzi na łóżku. Gdyby było na co patrzeć, to wydaje mi się, że pewnie by się obejrzał za siebie. Teraz dopiero widzę, że poszwa kołdry ma dość dziecinny wzór w zwierzęta. Afrykańskie zwierzęta: lwy, nosorożce, żyrafa i jakieś zwierzę, którego nie rozpoznaję. Ściany wokół nas są oślepiająco białe, marmurowy blat stalowoniebieskiej szafki nocnej jest pusty. Chcę coś powiedzieć, ale nie wiem co. W nowym pokoiku jest zimno. Dlaczego akurat dzisiaj musiała nastać taka obrzydliwa pogoda? Ponad lewym uchem ma bliznę, długą na palec szramę nieporośniętą włosami.

– Czytasz? – pytam. – Chcesz lampkę do czytania na szafkę nocną?

– Przywiozłem sobie książkę – mówi.

– No to pójde poszukać lampki.

– Dobrze – odpowiada Henk.

– Ale najpierw coś zjemy.

Wychodzę na podest schodów. Podąża za mną i głośno zamyka za sobą drzwi do swego pokoju. Z sypialni ojca dochodzi powolne tykanie stojącego zegara.

Ze zbiornika chłodniczego czerpię mleko kubkiem z miarką. Henk chce pić mleko do chleba. Ja sam rzadko je piję, źródło mojego zarobku wykorzystuję głównie do gotowania owsianki. Drzwi zlewni są otwarte na oścież, na zewnątrz pachnie wiosną. Świadomość, że drzewa znowu się zazielenia, a narcyzy zakwitną wokół ich pni, nagle sprawia, że czuję łaskotanie w żołądku. Wyobrażenie jagniąt pod bladym wiosennym słońcem działa obezwładniająco na moje ramiona, przez chwilę mam trudności z utrzymaniem w górze przykrywy zbiornika. Znowu wiosna, która będzie podobna do wszystkich minionych wiosen. Nie myślę tego, czuję to. Zanim wracam do kuchni, nie mogę się powstrzymać, by nie rzucić okiem przez otwarte drzwi na drzewa obrastające podwórze. Są nagie i mokre. Wciąż pada deszcz, jest koniec stycznia, a w lutym może jeszcze chwycić porządny mróz.

Kiedy wracam do kuchni, Henk siedzi dokładnie tak samo jak przed chwilą, na moim starym miejscu, odwrócony plecami do drzwi. Na jego talerzu leży kromka chleba, bez masła, bez niczego. Wyjmuję z kredensu kubek i nalewam do niego mleka. Stawiam obok talerza.

– Dziękuję – mówi Henk.

– Proszę – odpowiadam.

Siadam. Uzmysławiam sobie, że w jego pokoju nie ma żadnej szafy. Gdzie ma położyć ubranie po tym, jak wyjmie je z plecaka?

– Nie jesteś głodny? – pytam.

– Spoko.

Wkłada nóż w masło i smaruje nim cienko kromkę. Następnie odkłada nóż i taksuje jedzenie: ser, masło orzechowe, dżem, wędlinę. Wybiera dżem.

– Zrobiła go moja sąsiadka – mówię.

– Aha.

– Jeżynowy.

Przed zabraniem się do jedzenia upija łyk mleka.

– No i?

– Euh?

– Świeże mleko od krowy. Jak smakuje?

Upija jeszcze jeden łyk.

– Metalem – odpowiada.

Jak się bliżej przyjrzeć, jego uszy nie są takie wielkie. Odstają i dlatego wydają się takie duże. Poruszają się w górę i w dół, kiedy żuje.

– Doję dwadzieścia krów. To bardzo mało.

– Ładnie tu pachnie – odzywa się Henk.

– Naprawdę?

– Tak.

– Zdecydowanie inaczej niż świnie, co?

Na to nie odpowiada. Patrzy na mnie, a to wystarczy. Drzwi obory są otwarte. Przepuszczam go przodem. Nie jest dużo wyższy ode mnie, ale jednak odrobinę. Solidniej zbudowany. Ja stanę na wozie i będę układał na stosie bele siana, a on je będzie wrzucał na górę. Teun i Ronald potoczą je w stronę wozu. Myśl o wczesnym lecie nie wzrusza mnie; żadnego łaskotania w żołądku, żadnych uginających się nóg.

– Tu stoją młode.

Jednoroczniaki pociągają nosami i podnoszą łby, gdy do nich wchodzimy.

– Jedyne, co robią, to żrą, śpią i srają – mówię.

– Nie ma tu żadnej automatycznej instalacji do usuwania obornika?– pyta.

Zadaje pytanie, to coś nowego.

– Nie – odpowiadam.

– No to jak to wygląda?

– Zwyczajnie. Łopatą i na taczki.

– A.

Wychodzę z obory i skręcam za róg budynku. Przed otwarciem bocznych drzwi wskazuję na kupę gnoju.

– Popatrz, tam leży deska, to po niej musisz wjechać taczkami.

–Trochę wąska – zauważa Henk.

Wchodzimy do owczarni. Elementy drewniane i cegły przesiąknięty suchym zapachem owiec i nawozu. Chociaż drzwi i wszystkie okna zostawiam miesiącami otwarte, zapach ten nigdy nie znika. Przez większą część roku pomieszczenie stoi puste. Owce są odporne na wszystko: suszę, deszcz, śnieg, choć w bardzo wilgotną jesień i zimę zdarza się, że chodzą dość pokurczone.

– Za miesiąc czy dwa zagnamy owce do środka.

„Zagnamy”, mówię, czyli my; wygląda na to, że obchód gospodarstwa, wizyta Henka w oborze, cielętniku i w owczarni czynią z nas gospodarza i parobka.

– Po co? – pyta.

– Bo wtedy się okocą.

– Co?

– Okocą. Ojagnią.

– Aa, ojagnią.

– Jak się mówi, gdy świnia wydaje na świat prosięta?

– Prosi się.

Patrzy na mnie, jakbym zwariował.

Osty nie robią na nim wrażenia. Dla zachowania formy pyta, jak się nazywają. Odpowiadam, że nie mają imion. Wytknęły swe łby z zapałem ponad ogrodzenie, ale Henk je ignoruje, patrzy prosto na półkę, gdzie leżą narzędzia do pielęgnacji kopyt. Kiedy mówię, że mam nadzieję, iż zrobi się sucho, bym mógł wypuścić osty na zewnątrz, wychodzi ze stajni. Spośród wszystkich ludzi, którzy przewinęli się przez podwórze, jest pierwszą osobą, która nie dotknęła zwierzaków. Nawet milczący handlarz byłem zachodzi czasem na wybieg dla ostów, by je podrapać po łbach, nawet gdy nie mamy żadnego interesu do ubicia.

Doganiam go pośrodku mokrego podwórza.

– No i? – pytam.

– Co ma pan na myśli?

– Co o tym myślisz? Rozgląda się dość ponuro.

– Trochę tu łyso.

– Masz ochotę już się czymś zająć? – pytam w stodole.

– Pewnie – odpowiada.

Wskazuję na rower.

– To rower mojego ojca, ale on już nie może na nim jeździć. Jak go trochę doprowadzisz do porządku, będzie twój.

Podchodzi do roweru i ściąga pajęczyny z ramy.

– A ile ten trup ma lat?

– O, ze dwadzieścia.

–Jezu – wrywa mu się.

– Na warsztacie znajdziesz narzędzia i klajster do opon.

Ogląda się za siebie.

– Pompka do roweru?

Wyjmuję spod warsztatu pompkę, która też pewnie ma ze dwadzieścia lat, i wkładam kabel jarzeniówki do kontaktu.

– Chodź – mówię. – Dam ci kombinezon.

– Co mam robić? – szepcze ojciec.

– Nic specjalnego – odpowiadam.

– Tak, ale...

– Co?

– Przecież nie żyję, prawda?

– Nie, teraz już nie.

– Matka tego chłopaka... – Nie jest w stanie wymówić jej imienia.

– Tak?

– Myśli, że nie żyję.

– Ma swoje powody.

Szkoda mi go. Bronię się przed tym uczuciem – przed jakimkolwiek uczuciem, gdy przebywam w jego pokoju – ale mimo wszystko to czuję.

– Gdzie jest?

– Naprawia w stodole twój rower.

Ojciec je kromkę chleba z serem z talerzyka, który usiłuje drżącą ręką trzymać pod brodą. Zapaliłem światło. Jest po trzeciej, ale chmury ani trochę się nie rozstępują. O co mi chodziło, gdy wynosiłem go na górę? Że to będzie pierwszy krok „w górę”, jak to rozumiała Rita, gdy odpowiedziałem Ronaldowi na pytanie, gdzie jest ojciec? Że tutaj, otoczony zdjęciami, metryczkami i grzybami, tykaniem zegara, będzie spokojnie leżeć na wznak? Podchodzę do stojącego zegara, otwieram drzwiczki i podciągam ciężarki.

Wyobrażam sobie, że Rita gotuje w kuchni, pali się już lampa. Wszędzie coś się dzieje. Ojciec leży tutaj, na chwilę zapominam, gdzie jestem, Henk jest w stodole, również w świetle, zajęty, w oborze stoją spokojnie i statecznie krowy, w oślej stajni zjadane są marchewki podawane rękami Teuna i Ronalda, przy wiatraczku Bosmana leży dwadzieścia owiec, zachodzi Ada, pije kawę z Ritą, pyta ją, czy przyjdzie jutro obejrzeć jej świeżo ukończony

faszynowy wał, elektryczny zegar w kuchni szmerze mniej donośnie, nie widać końca zimy. I oczywiście wiem, gdzie jestem: razem z Henkiem podrasowuję rower, a Rita jest bardziej matką niż żoną.

– Ten stary gruchot – mówi ojciec.

– Tak, ale jeszcze nieużyty.

– Jaki on jest?

– Jeszcze nie wiem.

– Ostatnio też to mówiłeś.

– Niech ci będzie – odpowiadam.

Zabieram mu z rąk talerzyk i kieruję się do drzwi.

– Zostawić światło?

– Zostawić – odpowiada ojciec.

– Wieczorem przyślę go do ciebie na chwilę.

– Ech...

– Nie możemy przecież udawać, że nie istniejesz.

– No nie.

Rower stoi do góry nogami na warsztacie. Henk kuca przed nim. Ubrany jest w stary zielony kombinezon ojca, wyblakły, z wielkimi łatami na kolanach, z postawionym kołnierzem. W wanience obok roweru odmaka łańcuch, na pierwszy rzut oka zanurzony w odrobinie oleju napędowego. Opony zostały napompowane. Podnosi na mnie wzrok, gdy podchodzę. Brodę ma ubrudzoną czarną mazią. Teraz, gdy siedzi tak nisko, widzę, że ma usta swojej matki.

– Trzeba by wymienić tylny błotnik – mówi.

– Mogę go dokupić.

– A opony to pewnie za chwilę się pokruszą.

– Jak już się zetrą, mogę kupić nowe.

– Zamoczyłem łańcuch w dieslu.

– Odląłeś z kanistra?

– Tak.

Ani razu nie przyszedł mnie o nic poprosić. O czym to świadczy? Nie wiem.

Jemy jarmuż. Jak raz zacznę jarmuż, za nic nie mogę się od niego odzepić, jem go co najmniej dwa razy na tydzień. Zapas z warzywniaka starcza przynajmniej do połowy zimy. Macka dodawała zawsze do ziemniaków kostkę rosółową, ja wrzucam kostkę warzywną. Kiełbaski kupuję u rzeźnika. Zamrażalnik jest pełen, ale nie wieprzowiny.

– Nie ma pan wina? – pyta Henk.

– Wina?

– Czerwonego. Dobrze smakuje z jarmużem.

– Nie, nie mam wina. Same mocne alkohole.

Nakłada sobie ze słoika dużą ilość musztardy. Kiedy łąduje na widelec jarmuż, rozsmarowuje na nim nożem smużkę musztardy. Kiełbasę wsuwa bez musztardy.

– Powiedz mi, Henk... – zjadam kęs, zanim podejmuję.

Wymówienie jego imienia zbiło mnie z tropu.

– Tak?

– Nie możesz mówić do mnie na ty?

– Pewnie, że mogę.

– Jestem Helmer, okej?

– Helmer – powtarza. Upija łyk wody. – Ciężka, sprawa – nagle się odzywa.

– Na czym polega ta ciężka sprawa?

– To dziwne imię. Brzmi bardzo młodo.

– Mnie jest ciężko z Henkiem.

– Dlaczego?

– Mój brat miał na imię Henk.

– Aa, tak.

– Nazwano cię po nim.

– Wcale nie.

– Nie?

– Dali mi imię po wujku mojego ojca, tylko że z pokolenia wstecz.

– Prawujku.

– Mówi się prawujek?

– Tak. Kto ci to powiedział?

– Ojciec.

– Wiedziałaś, że mój brat miał na imię Henk?

– Tak, matka o nim kiedyś opowiadała. Ale nigdy, gdy byłem mały, dopiero dużo później. – Zamyśla się na chwilę. – Według mnie dopiero w zeszłym roku.

– Jeszcze kiełbasy?

– Tak, pewnie.

Odkrawam kawałek kiełbasy i kładę na jego talerzu. Przejeżdża samochód.

– Dlaczego zasłony nie są zasunięte?

– A kto by tu zaglądał do środka?

Henk patrzy prosto przed siebie, w stronę bocznego okna. Widzę, że wpatruje się we własne odbicie.

– Przez lornetkę da się spokojnie zajrzeć tamtym ludziom do środka.

– Tam mieszka sąsiadka od dzemu.

– Ma lornetkę?

– Na pewno.

Przez jakiś czas jemy w milczeniu.

– W Rosji jedzą osły – mówi.

– Co?

– Osły. Jedzą je w Rosji.

– Skąd wiesz?

– Och, gdzieś o tym przeczytałem.

– Rosjanie to barbarzyńcy.

– Ach. – Odkłada sztucce na talerz i odsuwa go od siebie. Splata ramiona na piersi i patrzy na siebie w oknie. Biorę talerze i odstawiam do zlewu. Z szafki pod zlewem wydaję miskę do zmywania i napełniam gorącą wodą.

– Zostało jeszcze trochę jedzenia – zauważa Henk.

– To dla mojego ojca.

Stoję do niego tyłem. Nic nie mówi. Wkładam talerze i sztucce do miski. Za mną wciąż trwa cisza. Odwracam się. Nie obejmuje się już ramionami i siedzi nieco prościej na krześle. Wpatruje się we mnie. Gdyby go tutaj nie było, nie napuściłbym teraz gorącej wody do miski do zmywania.

- Mojego ojca – powtarzam.
- W tym domu jeszcze ktoś jest?
- Tak.
- Pański ojciec. Myślałem...
- Co?
- Kiedy pan powiedział „już nie może jeździć na rowerze” ...
- No?
- A ten rower jest taki stary, że myślałem...
- Co myślałeś?
- Że już dawno umarł.
- Nie, coś ty.
- Jezu. To gdzie on jest?
- Na górze.
- Tam, gdzie się paliło światło, kiedy przyjechaliśmy?
- Tak.
- Coś mu dolega?
- Jest stary. Nogi odmawiają mu posłuszeństwa.
- Ile ma lat?
- Przeszło osiemdziesiąt. Umysłowo też zaczyna się cofać.
- Jezu.

Wyobrażam sobie Ritę z Henkiem w ich domu na brabanckiej wsi. Mieszkają w nim razem, ale nie potrafię wyobrazić sobie ich dwojga w jednym pomieszczeniu. Z tego, do którego wchodzi jedno, wychodzi drugie, a drzwi jednocześnie są otwierane i zatraskiwane. Ledwie wymieniają jakieś słowo. To działa na moją korzyść – mam mniej do wyjaśniania, niż przewidywałem.

- Zanieśmy mu jedzenie, zanim wystygnie – proponuję.
- Razem?
- Tak, razem.

Patrzy na mnie tak, jakbym prosił go o przygotowanie zmarłego do trumny.

- Pokaż no swoje ręce.

Henk musi teraz podejść do łóżka. Od chwili, w której wszedł do pokoju, nie przestał się rozglądać, przyglądając się wszystkim rzeczom na ścianie, póki jego wzrok nie padł na

strzelbę opartą o bok stojącego zegara. Od jakiegoś czasu się na nią gapi. Wyciąga swoje ramiona, dłonie grzbietami do góry, jakby miał zanurkować.

– Nie, wnętrza.

Henk obraca dłonie.

– Hm – mówi ojciec.

– Twój rower znowu jeździ – odzywam się.

– Mój rower, tak. Uważaj na niego – zwraca się do Henka.

– Tak, proszę pana – odpowiada tamten.

Ojciec postawił talerz z jarmużem na szafce nocnej.

– Zajmowałeś się krowami?

– Nie – odpowiada Henk.

– Jego ojciec chował świnie – wyjaśniam.

– Świnie!

– Tak – potwierdza Henk.

Prawie niepostrzeżenie odsuwa się znowu od łóżka.

– To inna para kaloszy! – kwituje ojciec. Kręci głową. – Świnie – powtarza cicho.

– Henk pochodzi z Brabancji – mówię.

– Tak, to już słyszałem.

Muszę przyznać, że mi to imponuje. Ojciec nie leży w łóżku jak stary, sterany życiem mężczyzna, ale jak pan na włościach dotknięty grypą. Na wiosnę 1966 roku zwolnił parobka. Henk i ja mieliśmy po osiemnaście lat, a z Ritą wiązaliśmy nadzieje na przyszłość. Parobek dostał pół roku na znalezienie sobie nowego domu. Było to bardzo wielkoduszne ze strony ojca, biorąc pod uwagę, jak się z nim obchodził.

– To ja tu, do jasnej cholery, rządzę! Masz robić, co ci rozkazuję!

Ojciec i parobek stali naprzeciw siebie w stajni. Ja sterczałem tuż za ojcem, z przykurczonymi palcami u nóg, a kiedy na krótko ośmieliłem się podnieść oczy na parobka, zobaczyłem, że, tak jak ja, spuścił głowę. Pamiętam, że zastanawiałem się nad słowem „rozkazuję”. Nigdy wcześniej nie słyszałem, by ojciec coś takiego powiedział. Nie wiedziałem, czym parobek mu się naraził.

– Kto tu rządzi?

– Pan – odpowiedział parobek, nie podnosząc oczu, lecz gotując się w środku. – Pan tu rządzi.

Byłem młody, na tyle młody, by oczy nabiegły mi łzami. Nie cierpiałem swojego ojca, chciałem wstawić się za człowiekiem, który nauczył mnie jeździć na łyżwach. Byłem jednak młody i nie wiedziałem nawet, co było powodem sporu. Ale nie za młody, by nie dostrzec drżenia mięśni w jego szyi. Drżenia uporczywe; była w nim jakaś zawziętość. Po tym akcie poddania wyprostował kark, ale nie patrzył na ojca. Popatrzył na mnie. „W jego oczach wciąż tlił się ogień.

Teraz ojciec próbował wejść w swoją starą rolę. Być może dzieje się to samoistnie, relacja gospodarz – parobek to coś, co się ma we krwi. Co o n ma we krwi.

– Wyjdźcie stąd – mówi. – Chcę spokojnie zjeść.

Henk jest szybciej przy drzwiach niż ja. Nurkuje przede mną w klatkę schodową.

–Jezu – wyrzuca z siebie, gdy wchodzi do komory.

Henk chce oglądać telewizję.

–Tu nie ma telewizora – mówię.

– No to co porabiasz wieczorami?

– Czytam gazetę, załatwiam administrację, zaglądam do zwierzaków.

– Administrację?

–Tak. Dokumentacja minerałów, dokumentacja zdrowotna, dla weterynarza, próbki udoju dla zakładów mleczarskich...

– Jarzę. A co ja mam robić?

Nie mam na to odpowiedzi.

– Masę rzeczy się traci, jak się nie ma telewizora.

– Ach.

Siedzimy w kuchni. Henk nie ma nic więcej do powiedzenia. Wstaję i otwieram drzwi bieliźniarki.

–Tutaj leżą ręczniki. Chodź no ze mną.

Ruszam przed nim do komory.

–Tu stoi pralka, jak masz coś brudnego, wrzuc po prostu do kosza na brudną bieliznę.

Otwieram drzwi do łazienki.

– Łazienka – oznajmiam. – Ciepła woda jest z bojlera. Dużego, ale kiedyś się kończy.

Wracamy do kuchni.

– Umiesz gotować? – pytam.

– Umiem upichcić jakiś makaron.

– Dobrze.

Natychmiast kieruje się do bieliźniarki, wyciąga ręcznik ze stosu i znika w sieni. Jakbym mu dał zadanie do wykonania. Słyszę go na schodach. Potem chwilę jest cicho. Znowu schodzi po schodach. Jakiś czas potem słyszę, jak w łazience leje się woda. Dziesięć minut później zakręca kran. Od momentu, gdy wyszedł z kuchni, nic nie zrobiłem. Siedziałem przy stole, z przedramionami założonymi na siebie. Drzwi do bocznej kuchni się otwierają.

– Idę do łóżka – woła.

– Dobranoc – odkrzykuję.

– No.

Wchodzi na schody. Na górze robi się cicho.

Zajął połowę półeczki pod lustrem. Przybory do golenia, szczoteczka do zębów, pasta do zębów i wykałaczki, płyn pod prysznic, szampon, dezodorant, który wygląda na drogi. Jego mokry ręcznik wisi przewieszony przez poprzeczkę od zasłonki prysznicowej. Zmazuję parę i patrzę na siebie. „Gęsta czupryna”, mruczę. Wciąż jeszcze czarna.

Jestem wykończony, ale nie w głowie mi spanie. Niedaleko stąd pływa po kanale stado łysek. Wrona siwa wciąż tu jest, a o parapet już nie bębni deszcz. Jestem teraz kimś na kształt ojca? Czym jestem? Czy on może spać tam, w tym pokoiku? Brakuje w nim nie tylko szafy, lecz także krzesła. Umie upichcić jakiś makaron. Nie wydaje mi się, by ojcu coś takiego smakowało. O czym myśli ojciec? Który nieoczekiwanie nabiera życia i oddycha, na córce. Po raz pierwszy, odkąd przejąłem sypialnię ojca, odczuwam coś w rodzaju żalu z powodu przeprowadzki. Tuż przed zaśnięciem, gdy wymykają mi się wszystkie myśli, widzę chłopca, który był tak podobny do Rity, znów siedzącego na bagażniku roweru. Z rękami silnie opasującymi dziewczynę.

Wychodzę przez drzwi obory na podwórze i zimny północny wiatr uderza mnie w twarz. Chyba nie zacznie padać śnieg? Po drugiej stronie gospodarstwa niebo pochmurnieje. Zawsze oporządzam cielęta po dojeniu. Gdyby Henk wstał z łóżka, mógłby to zrobić. W stajni osłów pali się świarfo; stoją odwrócone zadkami do wejścia. Wiedzą, że później przyjdę. Osły nie są głupie. Najpierw cielęta dostają paszę. Kiedy są nią zajęte, uprzętam spod nich gnój i podścielam świeżą słomę. Potem dostają siano. Cielaki są o wiele bardziej niecierpliwe niż krowy; prychają i pociągają za łańcuchy, póki nie dostaną żarcia. Bywają ranki, że trzy albo cztery jednocześnie zaczynają muczeć i wtedy nie ma zmiłuj się, dopóki każde z nich nie dostanie siana. Wywożę gnojówkę z kanału ściekowego, a na koniec zamiatam podłogę obory. Henk nie wstał z łóżka, ponieważ pozwoliłem mu leżeć. Dwie godziny temu szedłem na górę i cztery stopnie przed podestem zmieniłem zdanie. Ojciec musiał mnie usłyszeć, wołał mnie. Szybko zszedłem z powrotem.

Miotła jest dość nowa, szczotka z czerwonego nylonu wciąż jest sztywna, wyraźnie szura po betonowej podłodze. Choćbym nie wiem jak wolno pracował, zamiatanie idzie mi za szybko.

Kiedy wracam do domu, panuje w nim cisza. Pół do ósmej. Przed włączeniem radia skręcam pokrętło głośności. Zaparzam herbatę i nakrywam do stołu. Znad ziemi unosi się nikła mlecznożółta poświata. Śnieżnojasna. Bębnię palcami o blat stołu. Za długo to trwa, ruszam na górę. Podchodzę na palcach po podeście do drzwi nowego pokoiku. Gdy już przed nimi stoję, nie wiem, co mam zrobić. Jeszcze nigdy w życiu nie wyciągnąłem nikogo z łóżka. Pukam luźnymi palcami w drzwi, chwilę czekam.

– Henk – mówię. Pukam kłykciami w drzwi. – Henk!

Zupełnie nic się nie dzieje.

Za długo nie mam nic do roboty, bez ruchu stojąc przed drzwiami. Nie śmiem wejść do pokoju, w moim własnym domu, kurczę pieczone. Ruszam w stronę klatki schodowej, czując zadrę w sercu.

– Helmer – rozlega się z pokoju ojca.

– Tak, tak, tak – mruczę. – Ciebie nie wołałem.

W kuchni siadam przy stole i zaczynam jeść. Dopiero po jakimś czasie uświadamiam

sobie, że radio jest włączone.

Jadę do Monnickendam. Tam po kolei odwiedzam warsztat rowerowy, sklep z lampami i sklep ze sprzętem elektronicznym. Płacę gotówką za tylny błotnik, lampkę do czytania i telewizor. Sprzedawca telewizorów chce wiedzieć, czy życzę też sobie talerz anteny satelitarnej i dekodery.

– „De” co? – pytam.

Czy mam połączenie kablowe?

Zamyślam się i przed moimi oczami stają pracownicy gminy kopiący rowy przed latarniami ulicznymi, widzę kolorowe kable i widzę też, jak jakiś grubcio na kolanach w kącie salonu, z połową tyłka na wierzchu, przytwierdza do ściany małą skrzyneczkę, właściwie bardziej pudełko od zapalek, po wyborowaniu w zewnętrznej ścianie otworu. Widzę wąski pasek pożółkłej trawy w ogródku od frontu. Sprzedawca telewizorów chce wiedzieć, przy jakiej ulicy mieszkam. Wymieniam nazwę. Jego zdaniem na pewno parę lat temu położono przy niej próbne połączenie kablowe. Nie przypominam sobie ojca, tamtego dnia musiał demonstracyjnie stronić od mieszkania. Mam więc szczęście, dodaje sprzedawca. Chcę się dowiedzieć, czy mogę zwyczajnie podłączyć właśnie zakupiony telewizor. Tak, mogę, przynosi jeszcze tylko przewód z magazynu. Później mówi, że automatycznie zaczną dostawać rachunki z kablówki.

Kiedy idę do samochodu, zaczyna padać śnieg. Kartonowe pudło z telewizorem jest niezbyt ciężkie, ale nieporęczne. Przechodzę obok sklepu monopolowego. Zanoszę telewizor do samochodu, kładę na tylnym siedzeniu i wracam do monopolowego. Śnieg nie klei mi się do butów, ale i nie topnieje. Na pytanie sprzedawcy, czego sobie życzę, mówię, że proszę o parę butelek czerwonego wina. A jakiego gatunku?

– Smacznego – odpowiadam krótko.

Sprzedaje mi sześć butelek południowoafrykańskiego wina za cenę pięciu.

Kiedy przyjeżdżam do domu, podwórze pokrywa biel, ale skażona ludzką stopą. Ze zlewni ciągnie się ślad prowadzący do ogrodzenia nad groblą, obok kurnika. Na ogrodzeniu siedzi Henk. Pali. Wstawiam samochód do szopy i znaczę swój własny ślad do grobli. Śnieg wiruje wokół jego zaczerwienionych oczu.

– Jak długo mam tu właściwie zostać? – pyta.

– Co proszę?

–Jak długo mam tu zostać!

–To nie więzienie – odpowiadam.

Zaciąga się papierosem i wypuszcza chwilę później wielką chmurę dymu.

– Palisz? – pytam.

– Przedwczoraj rzuciłem.

– A teraz zacząłeś od nowa.

– Tak.

– Kupiłem telewizor – mówię. – I lampkę do czytania, tylny błotnik i wino.

– Będę dostawał też pieniądze?

– Za co?

– Za wykonywaną pracę.

– A jakąś już wykonałeś?

Wpatruje się w papieros między kciukiem a palcem wskazującym, przez co lekko zezuje. Ma szare oczy. Po czym prztyka papierosa.

– Wikt i opierunek – mówię. – I oczywiście kieszonkowe.

– Ile?

– Nie wiem.

Zaczyna mi się robić zimno.

Jeśli dalej tak będzie padać, wkrótce będziemy musieli przepędzić owce. Z pastwiska przy wiatraczku do obejścia. A potem rzucić im siana przez ogrodzenie.

Henk zeskakuje na ziemię i rusza śladem moich stóp.

– Dokąd idziesz?

– Do łóżka. Nie lubię śniegu.

– Do łóżka?

– Gdzie jest ta lampka nocna? Do szafu mnie doprowadza to ostre światło.

– Mam małe żarówki czterdziestowatowe.

– Dwudziestopięć- .

–Też są.

Wchodzimy do szopy. Pod maską silnika opla kadetta coś stuka. Otwieram bagażnik i wyjmuję lampę i tylny błotnik. Henk bierze tylko lampę i natychmiast odchodzi. Znika w zlewni. Zostaję w tyle i z niedowierzaniem wpatruję się w tylny błotnik w mojej lewej ręce.

Leży na boku, twarzą do ściany; kołdra w afrykańskie zwierzęta naciągnięta wysoko. Lampka nocna stoi na szafce nocnej, wtyczka tkwi w gniazdku. Dopiero wtedy się zorientował, że nie było w niej żarówki? Nie rusza się, gdy wchodzi do pokoju. Nie wiem, co mam powiedzieć, więc nic nie mówię. Pod lampą sufitową stawiam krzesło, które przyniosłem z pokoju Henka. Z trudem odkręcam kulę z matowego szkła. Wykręcam z oprawy siedemdziesięciopięciowatową żarówkę i na jej miejsce wkręcam dwudziestopięciowatową. Obok lampki nocnej leży książka. Nazwisko pisarza nic mi nie mówi. Już dawno nie przeczytałem żadnej książki. Między stronami tkwi wydarty kawałek gazety. W lampkę nocną wkręcam żarówkę o mocy czterdziestu watów. Henk leży, jak leżał, nie słyszę po oddechu, czy śpi. Dzisiaj rano siedział na ogrodzeniu grobli, paląc jak mężczyzna, teraz leży w łóżku jak dziecko. Po kształcie pod przykryciem poznaję, że ma podkulone nogi. Stawiam krzesło pod ścianą obok drzwi i kładę na nim jego ubranie. Po krótkim wahaniu podnoszę z podłogi białe slipki, które opadają na resztę ubrań jak kleks śmietany. Plecak wciąż leży pod weluksem, który prawie w połowie pokrywa warstewka śniegu. Przed wyjściem na podest zapalam lampę. Łagodne światło pada na łóżko, żółte żyrafy się rozjaśniają.

Przesuwam kanapę, która stoi przed piecem, o czterdzieści pięć stopni i kawałek do tyłu. Teraz stoi tyłem do sypialni. Podczas przesuwania kanapa zarysowuje farbę. Salon był długi, teraz jest szeroki. Przed ustawieniem telewizora w kącie przynoszę z szopy skrzynkę po ziemniakach, którą wymiatam do czysta szorstką szczotką. Stawiam telewizor na skrzynce, wkładam kabel do odpowiedniego otworka, a drugi koniec w ścianę, w gniazdko, na którym widnieje „TV”. Jest też gniazdko z „R”. Włączam telewizor. Momentalnie pojawia się obraz i rozlega piekielny hałas. Ponieważ nie wiem, jak mam zmniejszyć głośność, natychmiast wyłączam telewizor. Wyjmuję instrukcję obsługi, siadam na drewnianej podłodze i czytam broszurkę od początku do końca. Godzinę później mam już nastawionych około dwudziestu kanałów, wiem, jak działa pilot, i boli mnie pupa. Potem zamalowuję zarysowaną podłogę.

Wieczorem siedzę sam przy stole kuchennym. Od kiedy po południu byłem u Henka w pokoju, więcej go już nie widziałem ani nie słyszałem. Za chwilę zaniosę ojcu jedzenie. Henkowi nie, jak zgłodnieje, to się zjawi, Podczas jedzenia przeglądam gazetę pod kątem wiadomości z Danii. Nic. Tak jak i o Szwecji, Norwegii czy Finlandii. Dla tej gazety nie istnieje

cała Skandynawia, jakby to był jakiś nieodkryty północny ląd. Teraz gazeta leży otwarta na programie telewizyjnym, chociaż wiem, że sam nie będę oglądał. Telewizor jest dla Henka. Jak on będzie oglądał, mogę czasami się do niego przyłączyć.

Ośły wyglądają pięknie. Przestał padać śnieg, rozjaśniło się i księżyc jest prawie w pełni. Na dachu obory leży mniej więcej ośmiocentymetrowa warstwa śniegu, ślicznie zaokrąglona na brzegach. Jest lekki przymrozek, ale nie wydaje mi się, by mróz dotrwał do rana. Wsadzam trochę siana w drabinki i siadam na belach siana. W poświacie lampy widzę ślad własnych stóp biegnący od drzwi obory do stajni. Spomiędzy szczelbeków żłobu wypływa w kłębach para. To oddech osłów. Przeżuwają głośno, a wokół panuje cisza. Zimowa cisza. Wzbiera we mnie prawie zapomniane pragnienie, by sobie zapalić. Ile trwa wypalenie papierosa? Pięć minut? Dziesięć? Dziesięć minut wdychania i wypuszczania dymu, zamyślenia się w rytmie palenia, podczas gdy dym miesza się z parą oddechu osłów. Jeśli Henk jutro nie pozostanie w łóżku, pozwolę mu wywieźć obornik z osłej stajni.

- Przedwczoraj przeleżał cały dzień w łóżku.
- No widzisz.
- Co widzę?
- Że właśnie tak robi, cały dzień leży w łóżku. I pewnie nic nie powiedział, prawda?
- Zależy, czasem nawet dużo gada. Ale kiedy leżał w łóżku, nic nie mówił.
- Nie, wtedy jest w takim jakimś letargu.
- No, do jasnej cholery.
- Jakby sam siebie wyłączał.
- Wczoraj oporządził cielaki i zamontował w starym rowerze ojca tylny błotnik.
- Świetnie.
- Ale odmówił wywiezienia gnoju z oślej stajni.
- Naprawdę?
- Tak. Mówi, że nie chce mieć nic wspólnego z osłami.
- No, to rozumiem.
- Ja nie. Wszyscy szaleją za moimi osłami.
- On się boi.
- Czego, do cholery? Jak chłopcy z sąsiedztwa przychodzą do stajni, normalnie się pod nimi kładą.
- Jak Henk był mały, kopnął go osioł.
- Nie.
- Tak. Wien kupił osiołka miniaturkę, dziewczynki go chciały. Paść się na łączce między dwiema chlewniami. Nie wiem dlaczego, ale Henk łaził dookoła niego na czworakach, a wtedy osioł go kopnął. W skroń. Tydzień przeleżał w szpitalu.
- Stąd ta blizna.
- Tak. Miał cztery albo pięć lat.
- A co z osiołkiem?
- Natychmiast go sprzedaliśmy. „Przerób go pan od razu na wielki słój kleju”, powiedział Wien do handlarza bydłem. – Rita na chwilę milknie. – Co robi teraz?
- Nie wiem, jest z tyłu obejścia. – Przez moment nic nie mówię. – Chce pieniędzy.

– Za co?
– Za wykonywaną pracę.
– Wiesz, że w ogóle się nad tym nie zastanawiałam?
– Ja też nie.
– Nie płać mu.
– Dlaczego nie? Przecież pracuje, prawda?
– Tak, ale śpi i je u ciebie. Przecież tobie się też nie przelewa.
– Rita, niemal przez całe życie nie wydałem prawie centa. Ani mój ojciec.
– I masz mu też kazać gotować, dobra?
– Mam?
– On dość dobrze gotuje. A tak w ogóle to co o nim myślisz?
– Wydaje mi się, że jest miłym dzieciakiem. Jeśli się ma do niego instrukcję obsługi.
– Z instrukcją obsługi to tak. Czy bywa... agresywny?
– Agresywny? Wcale. Czemu pytasz?
– Tak sobie. Jak już się trochę oswoi, to może bym przyjechała? Mogłabym wtedy porobić jakieś babskie prace. Ugotować, poprać...

Najwyższy czas, by zakończyć rozmowę. Próbuję jak najbardziej podsumowująco powiedzieć: „Nie, dajemy sobie radę”. Już od pewnego czasu gapię się nerwowo na tapetę.

– Zadzwoń znowu w przyszłym tygodniu.
– Dobra.
– Pa, Helmer.
– Pa, Rita.

Odkładam słuchawkę na widełki.

Byłem kiedyś raz w Heiloo, w kaplicy Najświętszej Marii Panny. Matka chciała ją zobaczyć, choć wcale nie była katoliczką. Zawiozłem ją tam pewnego dnia w maju, w środku tygodnia, jakieś dwadzieścia lat temu. „PRZEZ MARYJĘ DO JEZUSA” – głosił napis (chyba z mozaiki) na fasadzie. Dlaczego teraz mi to przychodzi do głowy? Rita wprawia mnie w zakłopotanie. Przestaję się gapić na tapetę i wchodzę do kuchni. Na zewnątrz rządzi luty. Grad, mokry śnieg i raz na jakiś czas trochę słońca.

Kiedy Henk kazał mi być cicho, a sam wymknął się z pokoju w swych wielkich białych slipach, jakby stąpał po jajkach, ukląkłem w wezłowie łóżka. Wsparłem się przedramionami o ramę okna, oparłem brodę na ramieniu i zacząłem się wpatrywać w to, co na zewnątrz. Pachniało ciepłą wodą rowów i starymi, spieczonymi w słońcu dachówkami. Księżyc świecił tak jasno, że po drugiej stronie kanału zobaczyłem umykającego zająca. Zając był sam, wyglądał, jakby czegoś szukał, kluczył i od czasu do czasu robił słupka, nasłuchując. Za zajcem, aż do grobli, rozciągała się pusta łąka. Żadnych krów, żadnych owiec. Teraz to koziołki zostały oddzielone, pomyślałem.

Okno w pokoju Henka też było otwarte. Szeptali, ale tak cicho, że nie rozumiałem ani słowa. Wyobraziłem sobie, jak przykucam boso w rynnie, moje ręce zaciśnięte na otwartym oknie, moja głowa jak najbliżej parapetu. Nie mogłem tak po prostu się położyć i nakryć się pościelą. Wylazłem z łóżka, podszedłem do drzwi, ostrożnie je uchylilem i wślizgnąłem się na podest. Odczekałem chwilę, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Zrobiłem parę kroków i ukląkłem przed drzwiami sypialni Henka. To stare drzwi z paneli, z przesadnie wielkimi dziurkami od klucza. Najpierw ujrzałem jedynie ruch, potem powoli zaczęły wyłaniać się jakieś kształty. Ricie było widać tylko łydki. Henk wypełniał niemalże całą dziurkę od klucza. Klęczałem na jednym kolanie, drugie miałem podciągnięte. Wsunąłem jedną rękę pod brzeg slipek. W tamtych czasach nosiliśmy wielkie białe majtki na grubej gumce. Zawsze czyste, bo jak mówiła matka, w każdej chwili można trafić do szpitala. Tak bardzo koncentrowałem się na podglądaniu, że zaskoczyło mnie ciepłe pulsowanie przyrodzenia o mój własny brzuch. Zacząłem naśladować ruchy Henka, oczami i dłonią. Aż chwycił mnie skurcz w nodze o podciągniętym kolanie. Musiałem wstać. Podnosząc się, popatrzyłem na okienko w dachu na końcu podestu. Zobaczyłem osrebrzone poświatą księżycy topole i to, jak wstaję przed zamkniętymi drzwiami, wciąż z dłonią w majtkach. Podkurczając palce u nóg, pozbyłem się skurczu w łydce.

Z takiego czy innego powodu nie mogłem wrócić do własnego pokój u. Być może dlatego, że ich w nim słyszałem, a przez to stawali mi przed oczami. Ruszyłem na palcach w stronę wiecznie otwartych drzwi małego pokoiku. Wszedłem do środka i wyciągnąłem się jak długi na niebieskiej wykładzinie, pod uchylnym oknem. Zasnąłem i następnego ranka

obudziłem się bardzo wcześnie rano. Dopiero wtedy wśliznąłem się do swojego łóżka. Henka ciągle nie było.

Sierpień 1966 roku, prawie czterdzieści lat temu. Czasem nie pojmuję, jak mogłem tak bardzo się zestarzeć. Kiedy patrzę w lustro, za własnym ogorzałym łbem ciągle widzę chłopca w wieku osiemnastu, dziewiętnastu lat. I jeszcze ciągle się zastanawiam, na kogo patrzyłem tamtej nocy.

– Skąd jesteś? – pyta Ronald.

– Z Brabancji – mówi Henk.

– A – odpowiada Ronald i patrzy na mnie. – Tamta pani też stamtąd była!

– Tak – potwierdzam. – Tamta pani to była mama Henka.

– Pracujesz tu? – pyta Teun.

– Tak.

– A gdzie śpiesz?

– Na górze.

– Twoja mama też tu jest?

– Nie, Ronald – odpowiadam. – Henk sam tu przyjechał.

– Możemy pójść na górę zobaczyć?

– Pewnie.

Teun i Ronald natychmiast się podrywają. Nie pamiętam, by kiedykolwiek byli na piętrze. Oto szansa, której nie mogą przepuścić. Ronald zostawia nawet połowę niedojedzonej drożdżówki.

– Chodźcie – mówi Henk.

Nagle wydaje się bardzo wysoki. Czy to Teun i Ronald sprawiają wrażenie niższych? Wychodzą z kuchni.

– Ale strome schody! – słyszę chwilę później wołanie Ronalda.

Staję pod bocznym oknem i usiłuję zajrzeć Adzie do domu. Jej okno kuchenne znajduje się trochę za daleko. Podchodzę do biurka i wydaję lornetkę. Z góry dochodzą głosy Henka, Teuna i Ronalda, nie rozróżniam ich słów. Znowu staję przed bocznym oknem, ale teraz z lornetką. Za oknem kuchennym gospodarstwa, które leży przeszło pięćset metrów dalej, stoi ze swoją lornetką Ada, gapiąc się na mnie.

Jedynie, co działa na naszą korzyść, to fakt, że oboje trzymamy przy oczach lornetki, nie możemy więc bezpośrednio na siebie spojrzeć. Poza tym są same niekorzyści. Nie wiem, co mam zrobić. Ada też nie. Jesteśmy do siebie przytwierdzeni dwoma kawałkami tworzywa sztucznego wyposażonego w parę soczewek. Kto jako pierwszy opuści lornetkę, przegra i będzie wiedział, że druga strona zaobserwuje jego rejteradę. Nagle Ada unosi dłoń i zaczyna

nią ostrożnie machać. Odmachuję, ale nie od serca.

– Puśćcie mnie przodem – słyszę Henka na podeście schodów.

Już nie myślę o zwycięstwie, przegranej czy wycofaniu, ale opuszczam lornetkę, szybko podchodzę do biurka i odkładam ją na swoje miejsce.

– Henk mi pozwolił założyć swojego walkmana! – woła Ronald.

– I? – pytam, udając, że czegoś właśnie szukam przy biurku.

– Henk musi sobie zawiesić plakaty na ścianie swojego pokoju – wyrokuje Teun.

– Stwierdzili, że trochę w nim za łyso – mówi Henk.

– I pójdziemy razem na ryby – mówi Ronald.

– Na wiosnę – uściśla Henk.

– Tak – przyznaję. – Teraz wszystkie ryby śpią w mule.

– Chłopcy byli przed chwilą na górze – mówi ojciec.

– Tak, Henk pokazywał im swój pokój.

– Nie przyszli do mnie.

– Ronald się ciebie boi, nie zauważyłeś w sylwestra?

– Boi? Czemu?

– Bo jesteś starym człowiekiem.

– Dawniej się mnie nie bał.

– Dawniej jeszcze chodziłeś.

Umykam do pokoju ojca jak do kryjówki. Henk, Teun i Ronald ciągle siedzą w kuchni. Piją herbatę i jedzą ciastka. Ja nie mogę przełknąć ani kęsa, ani łyka, niepokój w moim ciele narasta. Ada ze swoją lornetką, Henk razem z chłopcami, rozmowa przez telefon z Ritą sprzed paru dni. Musiałem wyjść z kuchni, a z drugiej strony jeszcze za wcześnie na dojenie. Tutaj otacza mnie przeszłość, ślimacze tykanie zegara, zdjęcia, rodzicielskie łóżko. Ojciec we własnej osobie. Siedzę na krześle ustawionym pod oknem. Na wciąż tej samej gałęzi osiki siedzi wrona siwa, myjąc sobie pióra. Nawet ptak z czasem stał się mi znajomy.

– Jak tam z tym twoim Henkiem?

– Dobrze.

– Nigdy go tutaj nie widzę.

– Uważasz, że to dziwne?

– Cóż...

– Niedługo będę z nim wymieniać ogrodzenie wzdłuż wybiegu dla osłów.

Ojciec siedzi oparty o podgłówek, z dwiema poduszkami podłożonymi pod plecy. Dzisiaj patrzy przytomniej. Podnosi z szafki nocnej szklanę i upija łyk wody. Dopiero gdy przykłada wargi do szkła, przestaje się trząść. Wpatruje się we mnie od chwili, w której usiadłem na krześle.

– Żeby tylko przyszła wiosna – mówi.

– Nie pij za dużo, bo będziesz sikać.

– Sam dobrze wiem, że już po mnie.

– Ale?

– Chcę jeszcze jednej wiosny.

Dokładnie pod nim Teun i Ronald się śmieją.

– Czemu masz do mnie taki wstręt? – pyta. – Czemu nie wezwiesz lekarza? Czemu powiedziałeś Adzie, że mam demencję?

Teraz i kryjówka przestała udzielać schronienia. Powolne tykanie stojącego zegara, które do tej chwili przywoływało skojarzenia z ponadczasowością, teraz przemienia się w posępne odbębnianie czasu. Gapię się na sześć akwarelowych grzybów i zastanawiam się, kto je przyniósł do domu i kiedy.

– Co ja takiego zrobiłem, Helmer?

Pyta mnie, co zrobił, i wymawia moje imię. Grzyby stają się zamglone, muszę się wziąć w garść. A wtedy na dole rozlega się nowy głos.

– Ada przyszła – mówi ojciec.

Patrzę na niego. Wciąż ma w dłoni szklanę, dłoń spoczywa na kocu. Odchrząkuję.

– Tego tylko brakowało – rzucam.

– Chcę to wiedzieć, Helmer.

– Telewizor! – wykrzykuje Ada tak głośno, że słyhać to tu, na górze.

– Telewizor? – pyta ojciec.

– Tak. Henk chce oglądać telewizję, bo się wieczorami nudzi.

– Dużo dla ciebie znaczy.

– Ach.

– Chcę wiedzieć.

– Dowiesz się – mówię. – A teraz idę na dół.

– Twój brat też dużo dla ciebie znaczył. Bardzo dużo.

– Dla ciebie też – mówię. – Twój syn.

– Tak – przyznaje. – Dla mnie też.

W końcu odstawia szklankę na nocną szafkę. Stuka o marmurowy blat.

Henk jest sam w kuchni. Stoi przed oknem frontowym. Jego długie ramiona zwisają wzdłuż ciała.

– Jak ci się tutaj podoba, Henk?

– W porządku.

– Oporządzisz za chwilę cielaki?

– Pewnie.

– Gdzie się wszyscy podziali?

– Kobieta z zajęczą wargą poszła po dywanik.

– Dywanik?

– Stwierdziła, że pokój wygląda tyso.

– Ma na imię Ada. – Wiem.

– Chodź, do roboty.

– Dobra.

W komorze obaj naciągamy kombinezony. Po tym, jak kombinezon leży na Henku, widzę, jak bardzo ojciec się skurczył. W pachwinach materiał się opina, rękawy są za krótkie, brakuje jednego guzika. W kieszonce na piersi tkwi coś prostokątnego, pewnie paczka papierosów. Widzę, że kosz na brudną bieliznę jest pełen, wieczorem muszę nastawić pranie. Wchodzimy razem do zlewni. Zostaję w tyle, Henk przechodzi przez stodołę do obory cielaków.

Pół godziny później do stajni wchodzi Ada ze zwiniętym dywanikiem pod pachą. Siedzę między krowami i dostrzegam ją, dopiero gdy wymawia moje imię. Czerwieni się.

– Mam dla ciebie dywanik – mówi.

Wkładam wąż do przewodu odprowadzającego mleko i wyłażę spomiędzy krów.

– Połóż w komorze – mówię.

– Dobrze. – Nie rusza się.

– Przyłapana – mówię.

– Tak, przyłapana.

Poza tym nie mamy na ten temat nic więcej do powiedzenia, ona mogłaby powiedzieć, że nigdy wcześniej tego nie robiła (co według mnie nie jest prawdą), a ja mógłbym powiedzieć to samo (i to jest prawda). Albo moglibyśmy obiecać, że już nigdy więcej tego nie zrobimy. Ale co to za różnica?

– Miły chłopak.

– Henk.

– Teun i Ronald już teraz się bawią w parobka.

– Pokazał im swój pokój.

– Teun przekazał plakat. Włożyłam w dywanik.

– Zanieś do komory.

Ada przechodzi obok mnie. Odwraca się, kiedy jest już prawie przy drzwiach.

– Helmer?

– Tak?

– Ja...

– Tak?

– Nieważne.

Znika z obory. Już nie wraca. Kiedy trochę później znowu stoję między krowami i wyglądam przez okienko obory na drogę, widzę, jak idzie. Droga jest mokra, objęła się ramionami, a gest ten nadaje jej marszowi pewną chwiejność. To, że do siebie pomachaliśmy, odbiera nieco powagi całej sytuacji, ale jej nie eliminuje. Dwie krowy obok mnie jednocześnie unoszą łby, pobrzękują ogniwa łańcuchów. Idź sobie, mówią.

Kieruję się do otwartych drzwi obory. Henk jest przy kupie gnoju. Taczki leżą na boku przy desce służącej za kładkę, ich zawartość wyptynęła. Widłami ładuje gnój z ziemi i szerokimi zamachami ramion przerzuca zawartość na kupę. Kiedy kończy, drapie się po głowie, stawia taczki i wjeżdża nimi do obory cieląt. Nie dostrzegł mnie. Co ten chłopak tu na miłość boską robi? – zastanawiam się. Wkładam ręce do swoich ciepłych kieszeni i patrzę w niebo. Jest zachmurzone, jakby zbierało się na deszcz, ale dni wyraźnie zaczynają się wydłużać.

Jakiś czas potem znowu idę w stronę drzwi obory. Henk opiera się o ścianę obory cieląt, od strony zagrody dla owiec; uniósł jedną nogę i oparł stopę o ścianę. Pali papierosa i ponad kupą gnoju gapi się na stajnię osłów. Przypomina osiłka w starodawnej reklamie papierosów.

Przed pójściem na kolację rozkładam dywanik przed kanapą. Jest żółto-ochrowy ze wzorem jasnoniebieskich figur geometrycznych wzdłuż krawędzi. Kółeczka, kwadraty i krzyżyki. Henk rozwija swój plakat. Widnieje na nim dziewczyna z długimi blond włosami i wydętymi ustami. Jest skąpo ubrana.

– Kto to? – pytam. Henk się uśmiecha.

– Britney Spears – odpowiada.

– Kto?

– Taka jedna piosenkareczka.

– Czyli Teun uważa, że to coś odpowiedniego do twojego pokoju.

– Na to wygląda.

– Ładna dziewczyna.

– Hm. Dziecinna.

– Zawieszysz go?

– Wezmę go na górę. Ile Teun ma lat?

– Dziewięć, dziesięć?

– W każdym razie nie jest fenem Britney Spears.

– Dlaczego nie?

– Bo sam by sobie zawiesił ten plakat.

Przecinamy sień, idąc do kuchni.

Zastanawiam się, czy powinienem zaciągnąć zasłonę na bocznym oknie, ale robi to Henk.

– Dlaczego zasłaniasz? – pytam.

– To okno działa jak lustro, gdy jest ciemno.

– No i?

– Nie mam ochoty przez cały czas się na siebie gapić, jak jem.

– Za miesiąc będzie już jasno w porze kolacji.

– Miesiąc?

– Tak.

– To jeszcze trochę potrwa.

Oglądamy telewizję. Siedzę na kanapie, Henk leży na plecach na swoim dywaniku

wsparty na łokciach. Ma pilota w ręku i w zawrotnym tempie zmienia kanały. Co chwila mam ochotę wołać: „Ejże! Skąd możesz wiedzieć, co oglądasz, skoro coś ci ledwie mignęło na ekranie?”. Daję sobie spokój i patrzę, jak ogląda telewizję. Po jakimś czasie zaczyna mu się nudzić. Wzdycha głęboko parę razy i się podnosi. Oddaje mi bez słowa pilota i wychodzi z pokoju. Wyłączam telewizor i stoję przed cicho szemrzącym piecem. Matka przygląda mi się z ramki dziwnie zmieszanym spojrzeniem, ponętym i wielkodusznym jednocześnie. Po raz pierwszy dostrzegam w nim też coś czujnego. Z kominka ma na wszystko oko. Widziałem, jak Henk już parę razy zerkał na zdjęcie, ale nie zapytał, kto to.

Właśnie mam napełnić pralkę, gdy Henk wchodzi do łazienki. Opasał się ręcznikiem, tors ma jeszcze wilgotny.

– Prawie mi się skończyły papierosy – mówi.

– No to musisz pojechać do Monnickendam – radzę.

– To daleko?

– Ze cztery kilometry. Jutro mógłbym cię zabrać, samochodem.

– Może pojedę na rowerze – mówi.

Idzie do drzwi prowadzących na klatkę schodową i zostawia za sobą mokre ślady na zimnej posadzce.

– Nie musisz wrzucić ręcznika do prania?

Odwraca się.

– Teraz?

– Tak, czemu nie?

Pociąga za ręcznik i pochyla się, by wytrzeć sobie stopy. Następnie się prostuje i rzuca mi go. Łapię ręcznik – wilgotny, ciepły materiał uderza mnie w przedramię. Stoi jeszcze przez chwilę, dumny i zarazem zawstydzony. Blizna nad lewym uchem jest wyraźniejsza niż kiedy indziej, może przez ciepłą wodę. Po czym otwiera drzwi i znika, idąc na górę. Pierwsze kroki na schodach kojarzą mi się ze zwinnym wskakiwaniem do szoferki młodego kierowcy cysterny.

Henk i Helmer. W szkole podstawowej, tu, w naszej wsi, chodziły z nami do klasy bliźniaczki. Henk i ja zajmowaliśmy ławę pod oknem, obok potężnego grubosza o zakurzonych mięsistych liściach.

Bliźniaczki siedziały za nami. Oczywiście chodziliśmy z nimi, tego od nas oczekiwano. Było to chodzenie w zmiennej konfiguracji i zamienialiśmy się przy tym miejscami. Bliźniaczki były do siebie mniej podobne niż my.

Henk był szybszy ode mnie, ja zawsze reagowałem za wolno. Kiedy wracam myślami do tamtych czasów, przypominam sobie Henka stale czymś zajętego – odpowiadającego na pytanie wychowawcy w brudnożółtym płaszczu ochronnym, o czubkach palców brązowych od cameli bez filtra, wstającego z ławki, biorącego zakręt na hulajnodze, kiedy ja dopiero miałem wystękać „euh?”, aby następnie pojechać za nim. Zawsze byłem myślami gdzie indziej. Ja dumałem, on działał. Po jakimś czasie bliźniaczki orientowały się za każdym razem, gdy zamienialiśmy się miejscami. Nie miały nic przeciwko temu, my też nie; odgrywaliśmy w klasie rolę, która dawała nam poczucie stabilizacji.

Ubierano nas z Henkiem jednakowo, wioskowy fryzjer strzygł nas jednego po drugim („wygodnie, na króciutko”, mówił za każdym razem do matki lub do nas) i obaj mieliśmy czerwoną hulajnogę. A mimo to różniliśmy się nawet w tych sprawach. Kiedy mieliśmy na sobie koszule, Henkowi zawsze jedna jej pola wyłaziła ze spodni albo połowa kołnierzyka sterczała na baczność. Jego włosy były bardziej potargane niż moje (już w czasie strzyżenia przestawał potykać ślinę. Nie wyszliśmy jeszcze za próg, a już splotał w garść i wcierał we włosy. Miał w nosie, że fryzjer to widział) i zawsze szedł jakiś metr przede mną.

Jakby – z perspektywy czasu patrząc, wiecznie z perspektywy – zawsze wiedział, czego chce, podczas gdy ja nie miałem bladego pojęcia. Wciąż jeszcze pamiętam widok wody brzozonej stojącej przy lustrze fryzjerskim, butelkę z gumową końcówką rozpylacza. Henk uważał wodę za obrzydliwą, ja nie miałem na jej temat sprecyzowanego zdania. Coś w niej było, w tym zapachu.

Dopiero gdy mieliśmy po osiem lat, przeprowadziłem się do własnego pokoju (tego,

w którym teraz ojciec dopełnia swoich dni). Trzy noce wytrzymałem sam. Czwartej wymknąłem się do mojego prawdziwego pokoju i wślizgnąłem do Henka pod kołdrę.

– Co robisz? – zapytał szeptem tylko po to, żeby coś powiedzieć.

Nie odpowiedziałem. Leżał na boku, a ja przytuliłem się do niego i wcisnąłem stopy między jego. Chociaż minęło przeszło siedem lat, odkąd zostaliśmy odstawieni od piersi, a nasze stopki już dawno utraciły warstewkę tłuszczu, być może to tej nocy powstało wspomnienie, którego nie mogę mieć: lato, moje stopy czują inne stopy, twarz matki widziana od dołu poprzez rozświetloną, miękką wypukłość, jej podbródek, a przede wszystkim jej lekko wytrzeszczone oczy skierowane nie na mnie, ale na jakiś punkt w oddali, w nicość, pole, może groblę.

On nigdy nie przychodził do mojego pokoju. Mój pokój był samotny, opuszczony; o wiele wcześniej powinienem był przenieść się na dół na czas spania. Ojciec nie zna samotności tego pokoju. Pod koniec szkoły podstawowej, kiedy bliźniaczki się wyprowadziły, a my nie musieliśmy już z nimi chodzić, przestałem przyłazić co noc do pokoju Henka. Robiłem to raz na tydzień, czasem dwa razy.

Gdy na oknach pojawiały się kwiaty ze szronu, leżeliśmy w naszych piżamach pod grubymi warstwami koców. Kiedy było gorąco, leżeliśmy nadzy pod jednym prześcieradłem. Nasze ciała dopasowywały się do siebie kształtem. Razem jeździliśmy na rowerach do Monnickendam – on do szkoły rolniczej, ja do liceum. Przez cały dzień byliśmy rozdzieleni, ale po południu zjeżdżaliśmy się z różnych kierunków i jednocześnie kładliśmy łokcie na kierownicach rowerów, by ramię w ramię stawić opór deszczowi i wiatrowi. Razem obchodziliśmy urodziny, mieliśmy wspólnych kolegów, do czternastego roku życia braliśmy razem prysznic. Aż pewnego niedzielnego wieczoru ojciec nas rozdzielił.

– Najpierw jeden, potem drugi – powiedział.

– Tak ma być – powiedziała później matka, kiedy się jej poskarżyliśmy. – Nie jesteście już dziećmi.

„I co z tego?” – pomyśleliśmy, lecz nie wypowiedzieliśmy tego.

Dziadkowie nawet po głosie nie potrafili rozróżnić, który z nas jest który. Wciąż nosiliśmy takie same ubrania, nie czuliśmy potrzeby odróżniania się. Razem chodziliśmy do dentysty (u którego swoją drogą zawsze okazywało się, że mam więcej dziur niż Henk), razem popływać w jeziorze IJssel, obaj dostawaliśmy w łeb, gdy dławiąc się z obrzydzenia, usiłowaliśmy odsunąć od siebie talerze z gotowaną cykorią. Tamtego lodowatego dnia

w lutym, kiedy ojciec o mało co nie ośmielił się zjechać z wału, nie musieliśmy się wysilać, by zlać się w całość jak bliźnięta syjamskie. Dokonało się to zupełnie samoistnie. Gdyby jednak podjął ryzyko, a lód, pomimo grubości, nie utrzymał auta, utonęlibyśmy jako jedna osoba.

W lecie chodziliśmy pod wiatraczek Bosmana. Ocieraliśmy się naprzeciwko siebie o żelazne pręty, obserwowani przez owce. Tłustawy smar, opalona skóra, sucha trawa i słony pot. Wysokie chmury i skowronki, których nie mogliśmy dojrzeć, choćbyśmy się nie wiem jak bardzo starali. Należeliśmy do siebie, byliśmy dwoma chłopcami o jednym ciele.

Aż pojawiła się Rita. Kiedy w styczniu 1966 roku wszedłem do jego pokoju i chciałem położyć się przy nim w łóżku, odprawił mnie.

– Spadaj – powiedział.

Zapytałem dlaczego.

– Debil – odpowiedział.

Wyszedłem z jego pokoju i słyszałem, jak wzdycha pogardliwie. Trzęsąc się, wracałem do własnego łóżka. Chwylił mróz, zaczął się właśnie nowy rok, a następnego dnia rano okno pokrywały z góry do dołu kwiaty szronu. Staliśmy się bliźniakami o dwóch ciałach.

Parobek przypominał swoje imię: Jaap. Wielkie ręce, kanciasta twarz, krótkie blond włosy, krzepkie ciało. Miał krzywy nos, wyszczerbioną krawędź jednego siekacza. W moich oczach był zawsze stary; przyszedł pracować u ojca, gdy Henk i ja mieliśmy pięć lat, jesienią 1966 roku musiał mieć około trzydziestki. Wtedy więc był stary. Teraz – bardzo młody.

Henk i Rita to zrobili (co ja podejrziałem), już od przeszło pół roku nie miałem wstępu do pokoju Henka, nie byłem synem ojca (a już na pewno nie teraz, gdyostałem się sam i wkrótce miałem „zacząć się uczyć słówek” w Amsterdamie), matka się snuła, jakby sama już też nie wiedziała, co począć (nasz sojusz jeszcze się nie zawiązał, unikała mojego wzroku), a sierpień trwał – gorący, ciemnożółto gorący. Panowała pogoda na krótkie spodnie, ale połowa mojego ciała była zimna. Nie wiedziałem, dokąd mam wpełznąć.

Jaap był zawsze na miejscu, stanowił część zagrody jak krowa, jak owca, brona albo kurnik.

– E, chłopaki – odzywał się, gdy nas spotykał.

Z wyjątkiem wypraw na łązwy, prawie zawsze, gdy nas spotykał, trzymaliśmy się razem. Utrzymywał serdeczny dystans, może dlatego, że byliśmy synkami gospodarza, może dlatego, że właściwie nie miał nam nic do powiedzenia. Prawie nigdy nie wchodził do nas do domu. Pił kawę i jadł w domku parobka. Przybył sam i pozostał sam. Na początku przyjeżdżała jeszcze czasem do niego rodzina w odwiedziny, później – już nie.

W nocy, kiedy położyłem się na podłodze w nowym pokoiku i nie od razu zasnąłem, ponieważ przed oczami nie przestawały poruszać mi się obrazy, przypomniał mi się incydent między ojcem a parobkiem. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że Henka przy tym nie było. Był ojciec, parobek i ja. I leżąc pod weluksem, z dziurką od klucza jak niepokojącą, czarną, kobiecą plamą pod powiekami, zrozumiałem, że parobek popatrzył na mnie właśnie dlatego, że to ja stałem za ojcem.

Przyszedłem do domku parobka pierwszy raz, odkąd w nim zamieszkał. Nie wiedziałem, co mam powiedzieć, nie wymyśliłem żadnego powodu, by tak po prostu wejść do środka.

Poszedłem, bo musiałem. Był najzwyczajniejszy wieczór w środku tygodnia.

Otworzył mi drzwi.

– E, Helmer – powitał mnie, jakbym przychodził co dzień.

Miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami, z odpiętym górnym guzikiem. Jego ramiona były opalone na brązowo. Już od przeszło czterech miesięcy był bezrobotny. Nie zdziwiło mnie, że natychmiast wiedział, kim jestem. To mi się spodobało. Henk nigdy by tu nie zapukał. Jaap przeszedł przez niewielką sień do małego salonu, ja zamknąłem drzwi wejściowe. Jedno z okien pokoju było uchylone, podstawione deszczułką. Na niskim stole pośrodku pokoju leżał stos książek, w popielniczce tlił się skręt, obok popielniczki leżała prawie pusta paczka tytoniu do skrętów. Van Nelle, przeczytałem, średnio mocny. Obok znajdowała się paczuszka bibulek marki Mascotte. Z dużego radia sączyła się cicho muzyka. Usiadł na kanapie i wskazał mi krzesło. Zająłem miejsce i otarłem czoło.

– Gorąco – odezwał się.

– Tak – przyznałem.

Przejechał jakiś wakacyjny rowerzysta, a po pewnym czasie drugi.

– Chcesz się czegoś napić?

– Chętnie.

– Piwa? Ja się napiję piwa.

– Dobrze.

Podniósł się i przyniósł dwie małe buteleczki piwa z kredensu w kuchni. Lodówki nie było. Podał mi butelkę, która była zimniejsza, niż się spodziewałem, i znowu usiadł, trochę się zapadając. Jedno ramię spoczywało na oparciu kanapy, druga dłoń z butelką piwa – na kolanie. Dłoń była czysta; po wielu tygodniach – żadnego gnoju, żadnych tłustych krowich skór, zero oleju napędowego czy ziemi. Skręt tlił się powoli dalej.

– Gdzie pływacie? – zapytał.

– Niedaleko Uitdam – odpowiedziałem.

– Ja pływam przy porcie schronienia.

– Porcie schronienia?

– Zaczyna się przy grobli prowadzącej do Marken.

– A, tam.

Upiłem swego piwa i jeszcze raz wytarłem czoło. Pływać mnie nie nauczył. Wpatrywałem się w stos książek i udałem, że czytam tytuły na grzbietach, usiłując sobie

wyobrazić, jak by się do tego zabrał – do lekcji pływania.

Zmienił pozycję ciała. Ramię, które leżało na oparciu, położył na kolanach, palce obu dłoni luźno obejmowały teraz butelkę.

– O co chodzi? – zapytał. Poruszał górną wargą, odsłaniając nierówne siekacze. Nic nie powiedziałem, nie przestawałem się gapić na książki.

– Chodzi o twojego brata?

Kiwnąłem głową i przełknąłem ślinę.

– Z tą dziewczuchą?

– Tak.

Było jeszcze wczesnie, ale lato dobiegało końca. Najwięcej światła wpadało przez otwarte drzwi kuchenne. Z rowu, który leżał na przedłużeniu domku parobka, zaczęły podnosić się opary, a ponad polami formowała się cienka warstwa mgły. Skręt zupełnie się zetlił, dym wisiał jeszcze w małym salonie w postaci równej poziomej warstwy. Spojrzałem na parobka, jego krótkie włosy sięgały dolnej granicy warstwy dymu. Zobaczyłem to, co spodziewałem się zobaczyć: odpowiedział mi spojrzeniem, jakie rzucił mi wtedy – to musiało być pewnie z dziesięć lat wcześniej – w którym kipiała odwaga, sprzeciw wobec ojca, które to spojrzenie poszukiwało we mnie sprzymierzeńca. Wstał, dym rozstąpił się wokół jego głowy.

– Chodź – powiedział. Serdecznie, tak jak w tamtych latach się do nas zwracał.

Jednocześnie odstawiliśmy butelki na niski stolik.

W tamtym okresie nie miał samochodu, być może był dla niego za drogi. Pojechaliśmy na rowerze do portu schronienia, nie na groblę przy Uitdam. Siedziałem na bagażniku i chwyciłem się parobka, kiedy rower się chybotął. Rogi zarzuconego na szyję ręcznika zwiślały mu pod pachami, sięgając mi do piersi.

– Widziałem ich – powiedziałem do pleców.

– Twojego brata z tą dziewczuchą?

– Tak.

Skręcił na groblę i pedałowal niewzruszony dalej.

– Tak jest chyba lepiej – powiedział.

– Co masz na myśli?

– Nie jesteś* taki jak twój brat.

– Nie. Oczywiście, że nie.

W przystani było zacumowanych kilka łódek. Położył rower w trawie i wszedł na krótkie usypane molo. Nikogo nie było. Zdjął ubranie i ostrożnie wszedł po bazaltowych blokach do wody. Wyglądał jak kolarz, jego ramiona i nogi były brązowe, barki, plecy i pupa – oślepiąco białe. Znałem jedynie nagie dąło Henka. To było o wiele większe, obce ciało, nie takie, któremu można było się tak po prostu podporządkować. Kiedy woda sięgała mu nieco powyżej kolan, rzucił się do przodu.

– Wskakuj – zawołał.

Też zdjąłem ubranie. Nie bardzo rozumiałem, co miał na myśli, mówiąc: „Nie jesteś taki jak twój brat”. Obserwował, jak niezgrabnie wchodzę do wody po bazaltowych płytach. Potem pływaliśmy bez przerwy wokół końca molo. Jakiś mężczyzna na jednej z łódek pozdrowił nas uniesieniem dłoni. Po raz pierwszy zastanowiłem się, czy Jaap zwykle pływa sam. Czy może zna innych parobków w okolicy, z którymi robi różne rzeczy. Czułem się niezręcznie, po raz pierwszy coś z nim robiłem, stał się kimś innym niż parobkiem. Trochę też mi się kręciło w głowie od tej jednej buteleczki piwa. On pływał pięknie, długimi zamachami ramion, w krótkim czasie pokonując prawie dwadzieścia metrów.

– Musisz złączyć palce – tłumaczył. Złączyłem palce. – Nie zapominaj używać nóg. – Zacząłem bić nogami w wodzie. – Spróbuj no raz zanurzyć głowę, a z boku zaczerpnąć powietrza. – Spróbowałem i zakrztusiłem się. Myślałem, że umiem pływać, on miał inne zdanie na ten temat. W trakcie lekcji pływania nie posługiwał się rękami, być może dlatego, że nie było to wygodne, może dlatego, że nie byłem już dzieciakiem, którego uczył jeździć na łyżwach.

Stał i wycierał się, gdy wychodząc z wody, poślizgnąłem się na bazaltowej płycie porośniętej algami. Przewróciłem się do przodu i zdążyłem tylko wyciągnąć przed siebie rękę. Mimo to uderzyłem mocno kolanami o kamienie. Jaapa to rozśmieszyło. W końcu się pozbierałem i podszedłem do niego po trawie.

– Krew ci leci – zauważył. Patrzył na moje prawe kolano, które ciepło pulsowało i teraz już wiedziałem dlaczego. Rozejrzał się, pochylił i z kupki ubrań podniósł swoje slipki. Zawiązał je wokół mojego kolana. Podał mi swój ręcznik. – Wytrzymaj się – powiedział. – Potem, w domu, zrobię ci opatrunek.

Posadził mnie w fotelu i poszedł na górę. Słyszałem, jak chwilę się tam tłucze. Zszedł na dół z ogromnym pojemnikiem na opatrunki takim z zaokrąglonym wieczkiem z rączką. Ukłął

obok mojego fotela i zanim wyjął z pudełka buteleczkę jodyny, bardzo ostrożnie rozluźnił opatrunek ze slipek. W domu, pomyślałem, zaciskając zęby. Następnie zaczął mi bandażować kolano szeroką gazą, którą umocował plastrem. Radio wciąż cicho grało, jakiś jazz. No już, pomyślałem. Zza domku parobka przez otwarte okno kuchenne dobiegło nas suche beczenie owcy. Wstał i przejechał palcami po moich wilgotnych włosach, jak wioskowy lekarz pogłaskałby dziecko, które trzeba uspokoić.

– Jeszcze po jednym piwie? – zapytał. – Żeby dojść do siebie?

– Dobrze – odpowiedziałem.

Chwilę później siedzieliśmy naprzeciw siebie jak wcześniej tego popołudnia, każdy z buteleczką piwa w ręce. Jaap zrobił skręta i palił go niespiesznie. Tym razem w pokoju nie zawisła niska zasłona dymu. Przejechał jakiś samochód. Było tak cicho, że usłyszeliśmy go, jak trochę dalej wjeżdża na niższym biegu na groblę. Kiedy skończyłem piwo, podniosłem się.

– Pójdę już – powiedziałem.

Jaap też wstał.

– Nie wiem, jak to dokładnie jest z bliźniakami – powiedział – ale mogę sobie wyobrazić, że jednak pewnego dnia muszą się rozejść.

Wciąż czułem się niezręcznie, ale mniej niż godzinę wcześniej. Pływanie, jego powolne palenie, sposób, w jaki dokładnie tak jak ja przyłożył buteleczkę piwa do ust, bandażowanie mojego kolana zrobiło z niego prawie nieparobka. Kiwnąłem głową.

– Choć pewnie najlepiej na równej stopie – dodał.

Znowu przytaknąłem kiwnięciem głowy i poczułem, że zaczyna mi drzeć dolna warga. Podszedł do mnie i położył rękę na moim karku.

– To przyjdzie – powiedział.

Położył kres drzeniu mojej dolnej wargi, całując mnie w usta tak, jak jeden jedyny raz w życiu całuje się w usta dziadka, kiedy umarła babcia.

– Wszystko z czasem przyjdzie – powiedział jeszcze i delikatnie popchnął mnie w stronę drzwi. Obok krzesła, na którym siedziałem, wciąż leżały zakrwawione sliпки.

Matka i Henk siedzieli w kuchni. Nad stołem paliła się lampa.

– Co ci się stało? – zapytała matka.

– Przewróciłem się – odpowiedziałem.

– Kto ci to tak opatrzył?

Miała już przykłękać, by zdjąć opatrunek i na nowo go założyć. Cofnęła się jednak

o krok.

– Jaap.

– Byłeś u Jaapa?

– Tak.

– Piłeś?

– Tak. Piwo.

Henk popatrzył na mnie z pogardą. Wszystkie drzwi były otwarte i spojrzałem na ojca, przede wszystkim, by nie musieć patrzeć na Henka. Ojciec siedział jak głaz w fotelu w salonie i nie odezwał się ani słowem. Zaszleścił niezadowolony gazetą, którą czytał.

Rity nie było, jak mówiłem, był to pierwszy lepszy wieczór i prawie pora, by się kłaść spać.

Później, pod koniec sierpnia i na początku września, zachodziłem do niego parę razy.

– Czego ty tam u Jaapa szukasz? – pytał ojciec podejrzliwie.

– Niczego – mówiłem.

– Znalazł już nowy dom?

– Nie wiem.

– Albo inną pracę?

– Chyba nie.

– No to o czym wy gadacie?

– O wszystkim i o niczym.

– Kiedyś nigdy nie chodziłeś do niego do domu.

– A teraz tak.

– Dziwne – cedził ojciec. – Bardzo dziwne.

Piliśmy piwo i siedzieliśmy naprzeciw siebie. On zawsze na kanapie, ja w fotelu. Nachodziła mnie ochota, by zapalić, ale nie zrobiłem tego. Wyglądał tak spokojnie. Nigdy nie poczęstował mnie swoimi skrętami. W czasie moich odwiedzin ani razu nie wspomniał o ojcu. I tak mało mówił. Jeśli już któryś z nas się odzywał, byłem to ja. Byłem młody, myślałem głównie o sobie. Prawie o nic go nie pytałem. Nie wiem, jak się dorobił krzywego nosa, nie wiedziałem nawet, skąd pochodzi. Od początku września miałem mnóstwo do powiedzenia o moich pierwszych dniach w salach wykładowych, o profesorach, kolegach ze studiów. Nie dziwiło go, że nie zostałem na gospodarce.

– Nie patrzysz na te bydlaki tak jak twój brat – powiedział.

– A jak? – zapytałem.

Tego nie potrafił wytłumaczyć.

– Jesteś inny. Inaczej patrzysz. On też pewnie inaczej patrzył na tę dziewczynę.

– Ja w ogóle na nią nie patrzyłem.

– Właśnie.

W pewien sposób jakoś mi pomógł funkcjonować, w domu udawało mi się patrzeć Henkowi prosto w oczy, a Ritę jako tako ignorować. Wszystko z czasem przyjdzie, jeszcze długo pamiętałem te słowa. Również po tym, jak odjechał.

Ostatni raz zjawiłem się w domku parobka w połowie września. Salon zastawiały kartonowe pudła, półka z książkami była w połowie opróżniona, dywanik leżał zrolowany za kanapą, wtyczka radia nie tkwiła już w kontakcie.

– Jutro wyjeżdżam – powiedział. – Przekaż ojcu.

– Dokąd jedziesz? – zapytałem.

– Wracam do Fryzji.

– Jesteś z Fryzji?

Rzucił coś po fryzyjsku.

– Co?

– Nigdy nie poznałeś po akcencie?

Nie, nigdy go nie usłyszałem.

– Przyjedź kiedyś.

– Wpadnę.

Ostatni raz położył swoje wielkie dłonie na moim karku.

– Dasz sobie radę?

– Pewnie – odpowiedziałem.

– Świetnie.

Wszystko z czasem nie przyszło. Nigdy więcej go nie ujrzałem. Jesienią jeszcze parę razy poszedłem do pustej służbówki. Tutaj byłem kimś. Długo pachniało w niej skrętami. Siedem miesięcy później Henk nie żył, a ja po paru dniach siedziałem z głową pod krowami. Nigdy już spod nich nie wyszedłem.

Od paru dni panuje niezwykle cicha pogoda. Prognoza w gazecie oraz pogodynka w telewizji – która strefę wysokiego ciśnienia uparcie wymawia jako „wzwyż” – zapowiadały słońce, ale dostaliśmy mgłę. Zimną mgłę. Od kilku dni nawet świeci słońce, ale wciąż jest zimno. Lutowa mroźna pogoda. Pokrywa lodu skuła kanały, ale nie ciągnie mnie na Wielkie Jezioro; w ciągu dnia nie ma mrozu. Mąż Ady rozwozi obornik i nie jest w tym odosobniony. Ada z kolei rozwiesiła pranie na sznurze. Idealna pogoda na oba zajęcia, ale nawóz i porządki nie idą ze sobą w parze.

Kocham słońce w lutym. W zeszłym roku o tej porze Teun powiedział: „Nieżywe drewno też jest ładne”. Nie wiem, jak do tego doszedł, wprowadzie drzewa, krzewy i rośliny bez liści nie są nieżywe, ale miał rację. Bo niskie słońce jest ładne na bezlistnych konarach, niskie słońce ładnie się kładzie na szorstkich grzbietach owiec. Wrona siwa na swojej gałęzi osiki raźniej niż zwykle rozgląda się dookoła, zaś drogą przejeżdża więcej rowerzystów niż parę dni temu. Na Henka słońce działa inaczej. Leży w łóżku.

Dzisiaj obudziłem go pukaniem do drzwi.

– Idź sobie – zawołał.

– Jest pół do szóstej.

– I co z tego?

– Czas wstawać.

– Sam sobie wstawaj.

– Już to zrobiłem.

– Bardzo śmieszne.

Otworzyłem drzwi, lewą ręką wymacałem kontakt i zapaliłem światło. Miał głowę nakrytą kołdrą. Poszwa w afrykańskie zwierzęta jest w praniu, teraz śpi pod granatowymi literkami i cyferkami. Henk nie ma budzika.

– O co chodzi? – zapytałem.

– O nic.

– Dlaczego nie wstajesz?

– Nie mam ochoty.

– Wyjdź spod kołdry.

– Po co?

– Żebym mógł cię zobaczyć.

– Po co?

– Po to.

– Jesteś dziecinny.

– A ty to co?

Kołdra się zsuwa. Rude włosy urosły, będzie musiał je znowu przystrzyc. Patrzy na mnie. Szare oczy mają łożniany odcień. Na podłodze przy łóżku, pomiędzy jego ubraniami, leży walkman. W popielniczce na szafce nocnej – parę petów. Plakat Teuna – zrolowany – obok listwy przypodłogowej.

– Możesz wyjść z drzwi? – pyta.

– A niby czemu?

– Bo to okropnie wygląda, ciarki mnie przechodzą.

Wchodzę do środka nowego pokoiku i siadam. Okno uchylne jest otwarte, panuje tu ziąb. Żarówka jest dwudziestopięciowatowa, a mimo to widzę, jak poruszają się włoski na jego przedramieniu.

– Co się stało, Henk?

– Nic, przecież mówiłem.

– Dlaczego nie wstajesz?

– Boję się.

– Czego?

– Nie wiem.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie.

Miota się między chłopcem a mężczyzną. Czasami wydaje mi się, że powinienem wziąć go za rękę, innym razem zdecydowanie nade mną góruje. Jest nieobliczalny. Wyjął papierosa z paczki leżącej na nocnej szafce i zapalił. Dym wydmuchał w stronę uchylonego okna.

– Wolałbym, żebyś tego nie robił – odzywam się.

– Taa, pewnie – mówi. A potem, innym tonem: – Słyszę jakieś odgłosy w nocy.

– Co za odgłosy?

– Zwierzaków. Mam nadzieję.

– Przecież to nie powód, żeby się bać.

- Takie krótkie, wysokie szczekanie.
- To łyski.
- Nie mogę tego znieść. A twój ojciec bez przerwy kaszle.
- I to powód, żeby się bać?
- Szkoda mi go – mówi cicho.
- Idź czasem przy nim posiedzieć.

Patrzy na mnie tak, jakbym go prosił o przygotowanie zmarłego do trumny.

- Łyski – odzywa się po chwili – to te czarne ptaszyska z idiotycznie wielkimi łapami?
- Tak.

Gasi papierosa, dolatuje do mnie zapach tłętego się filtra. Opada na łóżko i naciąga kołdrę na głowę.

- Wychodząc, zgasisz światło? – prosi.

Kiedy przechodziłem obok pokoju ojca, ten mnie zawołał. Otworzyłem drzwi, ale nie wszedłem do środka ani nie zapaliłem światła.

- Ten Henk pali w nowym pokoiku?
- Tak.
- Musisz mu tego zakazać.
- Zakazałem, nie słucha mnie.
- Muszę do ubikacji.
- Za chwilę.

Dziś rano wszystko sam oporządziłem i wcale gładko mi nie poszło, dopiero koło dziewiątej wróciłem do domu. Roczne cielęta były niespokojne, przyzwyczyły się już do Henka, ja inaczej się nimi zajmuję. Jeśli za parę dni będzie cieplej w ciągu dnia, wypuszczę osły na wybieg.

Kiedy wchodzę do zlewni, stoi w niej młody kierowca cysterny, wpatrując się w szklankę mleka. Staję koło niego, ale przedtem przebiegam w myślach listę imion rozpoczynających się od „G” i wyskakuje mi jego. Od kiedy Henk tu przybył, miałem ochotę przedstawić go Galtjo. Nie wiem dlaczego, chciałem ich po prostu zobaczyć razem, a nawet stanąć między nimi.

- Jak ty to robisz, że masz to takie czyste? – pyta.

- Płuczę gorącą wodą – odpowiadam.
- Znaleźli kogoś na miejsce Ariego.
- Będziesz miał nowego kolegę.
- I tak, i nie.
- I tak, i nie?
- On tu będzie jeździł, ja zacznę obsługiwać inny rejon.
- Więc już tu nie wrócisz?
- Nie.

Jego wieczny uśmiech przeradza się w krzywy grymas.

- A gdzie?
- A, w okolicach Bovenkarspel. Mieszkam tam.
- Hm, no to powodzenia.

Wyciągam do niego rękę, którą on potrząsa z lekkim zdziwieniem. Odwracam się i ruszam w kierunku komory.

- Do widzenia, Galtjo – mówię jeszcze, po czym do niej wchodzę.
- Ech, tak – wzdycha.

Zamykam za sobą drzwi i kieruję się do drzwi obory. Przy nich znajdują się dwa włączniki światła. Zapalam je i staję pod okienkiem obory, jakieś dwa metry od ściany. Młody kierowca cysterny gapi się na drzwi, kręci głową i kieruje wzrok na beczkowóz. Po chwili odkręca wąż i owija go wokół kołowrotka. Odczepia pokrywę cysterny z haczyka i ostrożnie ją opuszcza. Wypełnia formularz, ostatni raz rzuca okiem na zlewnię i otwiera drzwiczki szoferki. Jak zwykle wskakuje zwinnie. Beczkowóz z mlekiem znika, a do zlewni wpada jasność. Zbiornik błyszczy. Solidarność, to jest coś.

Wchodzę do domu, idę na górę i znoszę ojca na dół. Siedzam go na sedesie.

- Ach – słyszę jego cichy jęk.
- O co chodzi? – pytam przez zamknięte drzwi.
- Boli.
- Dobrze się podetrzyj – mówię.
- To boli – powtarza.

Otwieram drzwi toalety. Siedzi na muszli jak półżywy ptaszek, z kawałkiem papieru toaletowego w drżącej dłoni. Patrzy na mnie wielkimi, bezradnymi oczami.

– Nie ruszaj się – mówię.

Idę do kuchni i wyjmuję myjkę z bieliźniarki. Odkręcam kran z ciepłą wodą i zwilżam myjkę. Wracam do ubikacji.

– Musisz się trochę pochylić – mówię.

Tak robi. Delikatnie przecieram parę razy jego odbył.

–Wciągnij spodnie – nakazuję, kiedy go podnoszę, trzymając pod pachami.

Słucha mnie. Niosę go na górę. Z nowego pokoiku dochodzi dziwny odgłos, ostry, rytmiczny dźwięk. Kładę ojca do łóżka i nakrywam. Potem idę do nowego pokoiku. Otwieram drzwi na oścież i w dwóch susach doskakuję do łóżka Henka. Zdzieram mu z głowy walkmana.

–A teraz, do jasnej cholery, wyłaż z tego wyra! – wołam.

– Nie – odpowiada Henk.

Ściągam z niego kołdrę i za ramię wyciągam go z łóżka. Nie ma czasu postawić nóg i zwała się na podłogę.

– Wstawaj! – ryczę.

– Weź się uspokój – mówi.

– Wstawaj!

Podnosi się do pionu.

– Ubieraj się.

Podsuwam mu kopniakiem spodnie. Łądują na jego bosych stopach. Spogląda w dół. Mam ochotę go zbić – zbić i skopać. Nie mogę znieść widoku jego półnagię ciała tu, w małym pokoiku. Podchodzę do plakatu, który niewinnie leży koło listwy. Pochylam się i zaczynam go drzeć. Henk mi się przygląda i wkłada spodnie. Następnie wciąga T-shirt przez głowę.

– To się Teunowi spodoba – mówi głupekowato.

– Skarpetki – cedzę.

Siada na łóżku i wkłada skarpetki.

Chwytam go za ramię, stawiam na równe nogi i popycham w kierunku drzwi.

– Do roboty! – rozkazuję, zastanawiając się, do czego właściwie ma się zabrać.

Niespiesznie wychodzi na podest, po czym podbiega do drzwi ojcowskiego pokoju, otwiera je i znika w środku. Żyła w mojej szyi pulsuje tak mocno, że muszę przyłożyć do niej dłoń. Przez chwilę nie ruszam się z miejsca, po czym odwracam się i idę do nowego pokoiku.

Podnoszę walkmana z podłogi i odkładam na szafkę nocną. Kołdra spadła z łóżka na podłogę, połowa twarzy piosenkarki, której imienia zapomniałem, leży u moich stóp. Dużym palcem u nogi szturcham parę razy gruby papier. Podnoszę kołdrę, zaścielam nią łóżko i kładę się na granatowych literach i cyfrach. Zamykam oczy.

Musiło minąć parę godzin. Jestem głodny. Nie spałem, również mało co myślałem. Leżałem na łóżku, które nie jest moje, i widziałem przed sobą moje własne, wielkie. Dawniej kładłem się do spania i wstawałem na dojenie. Zauważyłem, że moje łóżko stało się miejscem, w którym znajduję spokój. Nie sen, ale spokój. Czasem się zmuszam do tego, by nie zasnąć. Ponieważ w ciągu dnia za dużo się wydarzyło. Łóżko stało się bezpiecznym miejscem, jakim do niedawna był pokój ojca albo zimą obora pełna krów. Przed położeniem się do łóżka patrzę na mapę Danii i odczytuję nazwy paru miast lub wiosek. Już nie przykładam największej wari do Jutlandii, przestałem się zastanawiać, gdzie trafił Jarno Koper. Coraz częściej ucinam sobie popołudniową drzemkę.

– Helmer?

Otwieram oczy. Henk stoi w progu.

– Co chcesz?

– Starszy pan Van Wonderen... twój ojciec mówi, że musisz iść doić.

– Czemu?

Odwraca się. Słyszę, jak pyta ojca czemu. Wraca.

– Bo już jest piąta.

– Powiedz mu, żeby sam poszedł doić.

Zamierza się odwrócić, ale zmienia zdanie.

– To niemożliwe – mówi.

– Czemu nie?

– Bo nie może chodzić.

– O, nie?

– Nie.

Nie śmie wejść do pokoju, widzę to. To jego pokój, tu leżą jego rzeczy, widzę, że patrzy na paczkę papierosów. Nie palił już z dwie godziny.

– Czyli muszę sam tam zejść – mówię.

– Mogę...?

– Pewnie, przecież to twój pokój.

– Leżysz na moim łóżku.

– Fakt.

Wchodzi do środka, bierze paczkę papierosów z szafki nocnej, wyjmując jednego i zapala. Siadam na łóżku i opuszczam nogi na podłogę.

– Pójdiesz do cielaków?

– Pewnie.

– I pomożesz mi jutro przy nowym ogrodzeniu wokół wybiegu dla osłów?

– No.

– To fajnie. Przez cały ten czas siedziałeś przy ojcu?

– Tak. Ale on często przysypia.

– Jest bardzo stary.

– No, dość. Jezu.

Gasi papierosa w popielnicze.

– Chodź – mówię.

Gdy wychodzi do sieni, ogląda się ponownie za siebie, jakby chciał się upewnić, że nic się nie zmieniło w jego pokoju. Widzę to, bo sam się odwracam, żeby sprawdzić, czy za mną idzie.

– E, e – dochodzi z pokoju ojca.

– Nie wtrącaj się do nie swoich spraw – rzucam i zamykam drzwi.

– To też są moje sprawy – woła jeszcze.

– Ile masz właściwie lat? – pyta Henk na schodach.

– Pięćdziesiąt pięć.

– Tak? Masz jeszcze całkiem ciemne włosy.

W komorze wkładamy swetry i kombinezony. Henk chowa paczkę papierosów do kieszonki na piersi i ręką przeczesuje włosy. Zabieramy się do roboty, gospodarz i jego parobek.

– Henk?

Henk się odwraca i puszcza betonowy słupek, z którym się mocował. Słońce świeci mu w kark, jest parę stopni cieplej niż wczoraj. Teun i Ronald stoją obok siebie na drodze, jak dwaj klasyczni bracia: duży i mały; starszy spogląda poważnie, młodszy nie potrafi inaczej jak z zadowoleniem; te same włosy, takie same nosy. Brakuje tylko tego, by się trzymali za ręce. Teun jest na to za duży, Ronald potrafię sobie tak wyobrazić. Mogliby być sierotami.

– Tak? – mówi Henk.

– Zawiesiłeś już ten plakat? – pyta Teun.

Henk patrzy na mnie. Odstawiam bijak młota kowalskiego między stopy. Henk kręci głową.

– Nie podoba ci się?

– Bardzo mi się podoba – odpowiada nieszczęśliwy Henk.

– Plakat przypadkiem się podarł – mówię.

Teun odwraca się do mnie.

– Podarł? – powtarza.

– Tak.

– Przez przypadek?

– Tak.

– Jak to się mogło stać?

– Ty to zrobiłeś, Henk? – pyta zadowolony Ronald.

– Nie – odzywam się. – Ja to zrobiłem.

– Ale...

– Chciałeś go zabrać? – pyta Henk.

– Tak. Pożyczyłem ci go. Mama tego nie powiedziała?

– Nie – mówię. – Tego nie powiedziała.

– Nie da się go naprawić? – pyta Ronald Henka.

– Skleić?

– Nie, za bardzo się poszarpał.

Teun przenosi wzrok ze mnie na Henka i z powrotem.

– Mam ci go odkupić? – pyta Henk.

– Nie – odpowiada Teun. – Już nieważne.

Obok jego prawej stopy w rowie rośnie samotny żółty krokus. Chłopiec go nie widzi, a gdy się odwraca, następuje na niego.

– Chodź, Ronald – mówi.

– Chciałem... – odzywa się Ronald.

– Chodź – powtarza Teun. – Idziemy do domu.

Chwyta Ronalda za rękę i ciągnie za sobą. Kawałek dalej wypuszcza rękę braciszka. Ronald ogląda się jeszcze raz, z nieco mniej zadowoloną miną niż zwykle.

– Daj mi teraz powbijać – mówi Henk.

Udało mu się wyszarpać pal z ziemi, a w starym dołku tkwi nowy. Podaję mu młot, przykucam i chwytam słupek w połowie wysokości, Kiedy podnosi młot, odwracam twarz. Trafia wierzchołek słupka z taką siłą, że mogę go wypuścić, zanim uderzy w niego po raz drugi. Stary kombinezon rozdarł mu się pod pachą, a on tego nie zauważył.

– Kuźwa – stęka, gdy trzeci raz się zamachuje.

Spośród trzydziestu betonowych słupków w siatce od drogi osiem wymagało wymiany. Dzisiaj rano zrobiliśmy pięć, a teraz zajmujemy się ostatnimi trzema. Zaczęliśmy od strony zagrody i przesuwamy się na północny wschód, w kierunku pozostałości domku parobka. Kiedy wszystkie słupki staną, na całej długości rozpięta zostanie nowa, pokryta zielonym plastikiem siatka z deszczułką przy górnej krawędzi.

– Skąd mogłem wiedzieć? – odzywa się.

– To moja wina – mówię.

–A tam, wina. – Z całej siły ciągnie za betonowy słupek. –Wystarczy – mówię mu. – Jeszcze tylko jeden.

Ruszamy do ostatniego słupka, który wymaga wymiany.

– Co to jest? – pyta Henk.

Wskazuje połowę ściany i zarośnięty ogródek.

–To był domek parobka.

– Wichura go zburzyła?

– Spalił się.

Henk wyjmuje paczkę papierosów z kieszeni na piersi i zapala jednego. Potem idzie

dalej, mijając ostatni słupek, wchodzi na drogę. Chwilę później stoi w ogródku domku parobka.

– Mieszkał tu parobek? – woła.

Ciągnie za gałąź bezlistnej magnolii.

Potwierdzam skinieniem głowy.

Z ogrodu wchodzi na betonową posadzkę domku.

– Mały! – krzyczy.

Potwierdzam skinieniem głowy.

Rozgląda się wokoło, podchodzi do wciąż stojącej połowy ściany bocznej i próbuje ją obalić nogą. To ściana, do której kiedyś były przytwierdzone drewniane schody prowadzące na piętro. Henk jest mniej więcej w tym samym wieku co ja wtedy.

– Tylko parobek czy cała rodzina? – pyta.

Kręcę głową.

– Co? – woła.

– Tylko parobek.

Gasi papierosa o ścianę, bierze rozbieg i przeskakuje przez wąski kanał, który oddziela skrawek ziemi od wybiegu dla osłów. Kieruje się do ostatniego słupka i zaczyna go ciągnąć w tę i we w tę.

– Jeszcze parę porządnych szarpnięć i skończymy – mówi.

Widzę, jak drżą mięśnie jego szyi.

Przed samym dojeniem maszeruję nad groblę. Widzę, jak nadjeżdża na starym rowerze ojca. Z kierownicy zwisa reklamówka z supermarketu. Był u fryzjera i zrobił zakupy, dlatego tyle to trwało. Zsiada.

– Jedzenie – wskazuje na siatkę. Unoszę dłoń, ale robi unik głową, jakby – wcześniej niż ja – poczuł, że moja ręka kieruje się do jego krótko przystrzyżonych włosów.

– Dlaczego tak bardzo się ściąłeś? – pytam.

– Tak sobie – mówi. – Wygodnie, na króciutko.

Staje mi przed oczami stary fryzjer, stąd, z wioski (nieżyjący od przeszło dwudziestu lat), który elastycznym ruchem dłoni wyjmuje z kieszeni białego fartucha grzebyk, by rozczesać nim włoski, a w lustrze fryzjerskim widzę przejeżdżającego wolno forda, który mija

wypuszczające pąki krzewy w ogrodzie naprzeciwko zakładu fryzjerskiego. Stary model forda z wypustkami jak skrzydełka na krawędzi pokrywy bagażnika, w tym samym kolorze co stare promy, jasnozielonym. Czuję świdrujący w nosie zapach wody brzozej i widzę wykrzywioną w grymasie twarz Henka.

Kupił w supermarkecie mieloną wołowinę, bladą wołowinę. Zanim zabiera się do gotowania, prowadzi go do zamrażarki w komorze.

– Otwórz no – rozkazuję.

Podnosi klapę.

–Jezu – wyrывa mu się. – To wszystko mięso?

– Pół krowy – wyjaśniam. – Zapakowanej w woreczki. – Wyjmuję zamrożony na kamień woreczek ściągnięty czerwoną gumką. – Czerwona to mielone. Wołowe, Niebieska to befsztyk, zielona rostbef.

– Gdzie jest druga połowa krowy?

– Sprzedana przez rzeźnika.

Opuszcza klapę zamrażarki.

–Ja całe życie jadłem boczek – mówi.

Henk szykuje coś z pomidorami, papryką, cebulą, czosnkiem i ziołami. W dwadzieścia minut jest gotowe. Korkociągiem, którego długo musiałem szukać, otwieram pierwszą butelkę południowoafrykańskiego wina.

– Daj powąchać – prosi Henk, gdy słyszy pyknięcie korka.

Podstawiam mu butelkę pod nos.

– Nie, korek.

Przytrzymuję mu korek pod nosem.

– Dobrze – kwituje, jakby się na tym znał.

Nakrywam do stołu i napełniam dwa kieliszki winem. To, że dni się wydłużają, już zauważyłem, ale po raz pierwszy widzę, że się nie ściemniło, gdy kolacja jest na stole. Nie mogę jeszcze zaciągnąć zasłon na bocznym oknie.

– Powinieneś sam zanieść ojcu talerz za chwilę – proponuję.

– Czemu ja?

– Nie wiem, jak zareaguje na to jedzenie.

– Jadł już kiedyś paprykę?

– Nigdy.

Mnie jego jedzenie smakuje. Wino również. Kiedy biorę dokładkę, Henk dolewa nam wina.

– Gdyby ten domek jeszcze stał – odzywa się po chwili, kciukiem wskazując ponad barkiem – musiałbym w nim zamieszkać?

– Nie, oczywiście, że nie.

– A co w tym oczywistego? Jestem przecież parobkiem.

– Nie żyjemy już w latach sześćdziesiątych zeszłego stulecia.

– Może by mi się podobało.

– Samemu mieszkać?

– Tak. W małym jasnym domku.

– Tu ci się nie podoba?

Nie odpowiada, ale wzdycha i skrobie łyżką po dnie talerza. Potem dokłada sobie po raz trzeci.

Upiłem się winem i myślę o piwie. Pitym prosto z buteleczki, gdy siedzę w fotelu, w domku, który istnieje jeszcze tylko w mojej głowie. Jazz. W pewnym sensie jazz jest samotną muzyką, zwłaszcza gdy wydobywa się cicho z radia stojącego gdzieś w kącie.

Dlaczego pozwoliłem, by wszystko potoczyło się w ten sposób? Mogłem powiedzieć ojcu „nie” albo „sam sobie tu rób albo zwiń cały ten kram”.

Dziadek Van Wonderen mieszkał w Edam, o sześć lat przeżył babcię Van Wonderen. Zachodziłem do niego raz w tygodniu, na pół godziny. Przebywał w domu dziennego pobytu, z którego był widok na jezioro, z fontanną pośrodku. Niezależnie od położenia słońca zawsze zdawało się, że świeci mu do pokoju. Dziadek pił kawę, a ja nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Cieszyłem się, gdy to pół godziny mijało. W samochodzie, w drodze powrotnej do domu, myślałem zawsze; byłoby lepiej, gdybym w ogóle nie przyjeżdżał, bo wtedy nie miałby porównania. To jedno darowane mu przeze mnie pół godziny czyniło go o wiele samotniejszym, niż gdybym mu go nie poświęcał. Jeśli nie zna się niczego innego, nie wie się, co się traci. To tak, jakbym już teraz wiedział, że Henk stąd odejdzie. Oczywiście, że odejdzie – czemu miałby zostać? Nie ma tu czego szukać.

– Jeszcze wina?

Przykrywam kieliszek dłonią.

– Wychodzisz czasem?

– Wychodzę?

– No, rozerwać się. Do jakiejś knajpy albo... Mój ojciec raz w tygodniu chodził na karty.

– Nie – odpowiadam.

– Ja bym czasem chciał wyjść.

– No to musisz pojechać do Monnickendam w sobotę wieczorem.

– A tam się coś dzieje?

– Dawniej tak.

– Nudna mi się wydaje ta wiocha.

– Możesz też oczywiście pojechać do Amsterdamu.

– Hm...

Wstaję i sprzątam ze stołu. Henk znika w salonie i włącza telewizor.

Po umyciu naczyń siadam za biurkiem.

Zabieram się do papierkowej roboty, ale ciągle szumi mi w głowie, oczy bez przerwy uciekają mi od formularzy. Po jakimś czasie telewizor gaśnie. Henk przechodzi przez sień, wchodzi do komory, a po chwili słyszę, że w łazience leje się woda. Usiłuję się skupić na pracy, która przede mną leży, ale właściwie czekam na to, aż usłyszę jego kroki na schodach.

Nie wchodzi na górę, przychodzi do kuchni w ręczniku opasującym biodra. Lewą ręką chwyta za klamkę.

– Cieszę się, że mój ojciec nie żyje – mówi.

– Co takiego?

– Nie żyje. Matka nigdy mnie nawet nie zapytała, czy chcę ciągnąć hodowlę świń, wszystko sprzedała w cholerę.

– Chciałeś ją przejąć?

– Nie! W życiu. To mnie urządziło.

– Ale uwiera cię, że nikt cię nie zapytał o zdanie, tak?

– Hm... Może siostry powiedziały jej, że musi sprzedać gospodarkę. Nie wiem, trzymali mnie od wszystkiego z daleka.

– Więc jesteś zadowolony.

– Pewnie. – Nie wygląda na zadowolonego.

– Jakim człowiekiem był twój ojciec?

Chwilę się zastanawia i wzrusza ramionami.

– W sumie był bardzo miły. Kochałem ojca.

Wciąż trzyma klamkę i przez cały czas patrzy w stół, na którym stoi tylko niedopita butelka wina. Teraz spogląda na mnie.

– Dobranoc – mówi.

Kiedy słyszę, że drzwi do nowego pokoiku się zamykają, wstaję i nalewam sobie jeszcze trochę wina. Widzę siebie w bocznym oknie i podnoszę kieliszek – za swoje zdrowie lub Ady, sam nie wiem. Nagle uświadamiam sobie, że ojciec jeszcze nie jadł kolacji. Natychmiast mi się odechciewa patrzeć na tego gościa w oknie, który pretensjonalnie unosi kieliszek. Który struga chojraka, a tego nie widzi. Wdrapuję się po schodach na górę i bardzo ostrożnie otwieram drzwi do pokoju ojca. Cicho i spokojnie pochrapuje. Beztróska. Pozwalam mu spać, jest już późno. Wracam do kuchni i zaciągam zasłony na bocznym oknie. Kiedy mam sięść przy biurku, nieoczekiwanie w drzwiach znowu staje Henk. Nie w ręczniku opasującym mu biodra, ale w niebieskich slipkach i żółtym podkoszulku,

– Twój ojciec nie jadł kolacji – szepcze.

– Wiem – odpowiadam.

– Śpi.

– Ale...

– Przeżyje do rana.

Kiwa głową i już go nie ma.

Elektryczny zegar szemrze, z kranu kapie. W domu jest cicho. Otrząsam się i zamykam biuro.

– Ballerup – wypowiadam chwilę potem. – Stenløse, Taastrup, Frederikssund, Holbæk.

Przesuwam kciukiem po ramie i zdmuchuję z opuszki palca kłębek kurzu. Po raz pierwszy dostrzegam, że Jutlandia mogłaby być olbrzymem, który szykuje się do połknięcia Funen, Sjaelland i innych małych wysepek. Odwracam się, rozbieram i kładę do łóżka. Moje ciało powoli zaczyna ogrzewać kołdrę. Na górze coś skrzypi, z zewnątrz nie dochodzi żaden dźwięk.

Obciągniętą plastikiem siatkę rozciągamy w przeciwnym kierunku – od pozostałości domku parobka w stronę gospodarstwa, od słupka do słupka. Znowu jest o parę stopni cieplej niż wczoraj, a teraz, ponieważ zwracam na to uwagę, widzę więcej krokusów przy drodze. Kwiat, który Teun nadepnął, okazał się mniej samotny, niż myślałem. Co chwila patrzę w niebo, wyglądam krwawodziobów i rycyków, choć dobrze wiem, że to jeszcze nie marzec. Betonowe słupki wykonane są w ten sposób, że deski powinno się do nich przytwierdzać za pomocą mutry. My przywiązujemy drut kolczasty wokół sworznia w słupku i siatki. Henkowi chyba się ta praca podoba. Rozciąga siatkę, gwizdże, zawiązuje drutem kolczastym i od czasu do czasu wypala papierosa. Wyciąga palec wskazujący do rowerzystów i wola „Heja!”. Kiedy rowerzyści nic nie odpowiadają, prycha. Czasem, już paląc, zagapia się na majaczące w oddali drapacze Amsterdamu. Zachowuje się tak, jakby się tu urodził. W całym Waterlandzie pachnie gnojem.

– Masz może jakiś inny ser? – pyta w południe.

– Nie – odpowiadam.

– Czemu nie?

– To jest ser edamski z naszych zakładów mleczarskich.

– No i?

– Przywożą mi go tutaj, z rabatem.

– Jest jakiś bez smaku.

– No to kup sobie inny.

Odkłada nóż do krojenia sera.

– Nie mam pieniędzy.

Wstaję i podchodzę do biurka. Portfel leży w jednej z czterech szufladek. Otwieram go i wydaję dwa banknoty stueurowe.

– Proszę – mówię.

Bez słowa bierze pieniądze, składa banknoty na pół i wkłada do tylnej kieszeni spodni.

Ujmuję nóż do sera i kroi dalej. Na podwórzu wjeżdża ciężarówka handlarza bydłem.

– Mamy gościa – mówię.

– Ty masz gościa – poprawia Henk. – Ja nie.

Handlarz byłem puka raz we framugę drzwi i już stoi w progu.

– Smacznego – mówi.

Teraz, gdy mu się uważnie przyglądam, po części oczami Henka, zauważam, jaki jest stary. Ma siwą brodę, taką, jaką widuje się na bardzo starych, srogich zdjęciach. Głębokie zmarszczki na jego czole znaczą się cieniem. Jak zwykle pociera podeszwą jednej stopy o podbicie drugiej. Spogląda na grzbiet Henka.

– To jest Henk – mówię.

– To twój bratanek? – pyta.

– Bratanek? Nie, Henk tu pracuje.

– A.

Henk zachowuje się tak, jakby w kuchni nikogo nie było.

Nie odwrócił się i zwyczajnie je dalej. Ja odsunąłem trochę swoje krzesło.

– Usiądź – wskazuję krzesło naprzeciwko.

– Taa – mówi handlarz byłem powoli i niespodziewanie. Zdejmuje czapkę i siada.

Spoziera kątem oka na Henka.

– Nic dla ciebie nie mam.

– Nie po to przyjechałem.

Ponieważ nic więcej nie mówi, pytam, czy napije się kawy.

– Tak, kawa by była dobra.

Wstaję i wyjmuję kubek z kredensu.

– A więc tu pracujesz – mówi handlarz do Henka.

– Tak.

– Jesteś z Brabancji?

– Tak.

Ada? Czy po wymowie da się rozpoznać, kto skąd pochodzi? Stawiam przed nim kubek na stole. Rozgląda się po kuchni, jakby był tu pierwszy raz.

– Jak tam ze starszym panem Van Wonderenem?

– Dobrze – mówię. Odsuwam swój talerzyk z do połowy zjedzoną kromką chleba z serem. – Chociaż już nic nie kuma.

– Szkoda – odzywa się handlarz. – Ubiłem z nim wiele interesów.

– Tak.

Elektryczny zegar szemrze, Henk kiwa się na krześle.

- Przyjechałem powiedzieć, że kończę robotę.
- Naprawdę?
- Masz pojęcie, ile mam lat?
- Z sześćdziesiąt?
- Sześćdziesiąt osiem.
- No to czas odpocząć.
- Kobieta powiedziała: jak teraz nie skończysz, to od ciebie odejdę.
- Hm.
- Chce podróżować.
- Nie macie czasem córki w Nowej Zelandii?
- Mhm. Kobieta już bilety lotnicze kupiła.
- Świetnie.

Upija łyk kawy.

- Lotnicze – odzywa się nagle. – Możesz wyobrazić sobie mnie w samolocie?
- Czemu nie?

Ma powolny sposób mówienia, przy którym niemalże nie podnosi wzroku. Bierze mnie ochota, by zajrzeć pod stół, bo wydaje mi się, że jego stopy wreszcie bez ruchu spoczywają na podłodze. Jest już kimś' innym, przestał być handlarzem bydłem i może się swobodnie wypowiedzieć.

Henk się podnosi.

- Idę na dwór – mówi. – Do widzenia panu.
- Do widzenia, chłopcze – odpowiada handlarz. Kiedy Henka już nie ma, spogląda mi prosto w oczy.

- Więc to jest twój nowy parobek.
- Tak – odpowiadam. – Silny chłopak.
- Taa.

Słyszę, że drzwi do komory się zamykają. Handlarz bydłem wreszcie odwraca wzrok i wygląda przez boczne okno.

- Byłem właśnie u sąsiadów.
- Objeżdżasz wszystkich?
- Tak. To mi z tydzień zabierze.

Odstawia kubek na stół.

- Jadę.
- Dobra.
- Do zobaczenia jeszcze kiedyś – mówi pod komorą.
- Przyjemnej Nowej Zelandii.
- Tam jest już lato – mówi. Wkłada stopy w chodaki. – Pozdrów ojca.
- Dziękuję, pozdrowię – mówię.

Ciągnie za drzwi obory i wychodzi na tyły. Czekam chwilę, a potem wychodzę przez zlewnię na zewnątrz. Kiedy ciężarówka powoli mnie mija, podnoszę dłoń. Henk siedzi na ogrodzeniu wybiegu dla osłów, dokładnie naprzeciwko zlewni. Dostrzegam go dopiero po przejechaniu ciężarówki. Nad jego głową zawisł duży pióropusz dymu. Unosi w moim kierunku dłoń. Sztuka bez słów na trzech facetów: jeden wyjeżdża, nawet się nie oglądając, drugi odprowadza go wzrokiem, trzeci patrzy na drugiego, a drugi dostrzega go dopiero wtedy, gdy pierwszego już nie ma.

W kuchni jest gorąco. Słońce świeci na stół. Ponad polem przelatuje para kaczek. Smaruję dwie kromki chleba, kładę na nich ser i ruszam na schody. Ojciec się nie budzi, gdy wchodzę do pokoju. Cicho stawiam talerzyk na nocnej szafce i siadam na krześle pod oknem.

– Handlarz byłem cię pozdrawia – mówię cicho, ale niezjadliwie. – Wybiera się do Nowej Zelandii, z żoną, do córki. – Wrona siwa na osice jest moim jedynym widzem. – Mam do ciebie taki wstręt, bo mi życie zepsułeś. Nie wzywam lekarza, bo uważam, że najwyższy czas, żebyś przestał psuć mi życie, a powiedziałem Adzie, że masz demencję, dlatego że to znacznie ułatwia sprawę. Jak ktoś ma demencję, wszystko przestaje mieć znaczenie – co ja mówię, co ty mówisz. I nawet w połowie nie wiesz, ile dla mnie znaczył Henk. Henk był moim bliźniakiem. Wiesz, jak to jest mieć brata bliźniaka? No? Czy ty w ogóle coś wiesz? Miesiącami, po tym, jak wypowiedziałeś robotę Jaapowi, nie byłeś u niego ani razu, bo nie mogłeś na niego patrzeć jak na równego sobie. Ja go miałem za równego sobie. On mnie, do cholery, w usta pocałował. Czy ty mnie w ogóle kiedyś pocałowałeś? Powiedziałeś mi kiedyś coś miłego? Wiesz, co bym chciał? Nie, nie wiesz, bo ja sam tego nie wiem. Handlarz byłem nigdy więcej już tu nie przyjedzie, dlatego cię pozdrawia, a żaden z kierowców cysterny też już nie wróci, jeden umarł, już ci mówiłem, ten surowszy, ale może już zapomniałeś, bo masz demencję, a drugi, ten, co się ciągle uśmiecha, będzie jeździł gdzie indziej. I to jest twoja wina. Nie, że już nie wróci, ale że to ja go już nie zobaczę. Bobym go nie poznał, jakbym tutaj

nie tkwił. A tak w ogóle nie wydaje mi się, by Ada jeszcze tu kiedyś zaszła, woli zaglądać do nas z daleka. Ronald jako jedyny jeszcze tu wpada, pokłóciliśmy się z Teunem, bo...

– Helmer! – woła Henk z dołu schodów.

Ojciec się budzi. Podnoszę się.

– Masz jedzenie koło łóżka – mówię.

– Spałem? – pyta ojciec.

– Idziemy do roboty? – woła Henk.

– Już idę – krzyczę. – Tak – zwracam się do ojca.

– Nie zauważyłem. Jestem bardzo zmęczony.

Siada i patrzy na talerzyk.

– Ser – rozpromienia się. – Dobrze.

Właściwie Henk jest kimś w rodzaju bratanka, myślę na jego widok, gdy zamykam za sobą drzwi na klatkę schodową. Wciąga swój kombinezon, ten, który opina mu się na kroczu, ma za krótkie rękawy i rozdarcie pod pachą. Półbratanek, niby-bratanek, bratanek od zimnej strony.

- Naprawdę nie będę pędził tych osłów. Sam to zrób.
- No to idź stań na podwórzu.
- Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi bydlakami.
- Jak tam staniesz, za płotem, same wejdą na wybieg.
- A jak tam nie stanę, to nie?
- Henk, one ci nic nie zrobią. To moje osły.
- A jakie to ma znaczenie?
- To nie osioł miniaturka twojego ojca.
- Co?
- Który cię kopnął.
- Skąd o tym wiesz?
- Od twojej matki.
- Kurwa mać.
- Dlaczego przeklinasz?
- Co ona ci jeszcze nagadała?
- Nic. Posłuchaj, im mniejsze, tym bardziej parszywe. Kuce szetlandzkie też są fałszywe, kopią i kłają. To są prawdziwe osły, nic nie robią. Teun i Ronald...
- Co jeszcze powiedziała? Po co tu właściwie jestem?
- Skąd mam wiedzieć.
- Tak sobie?
- Co?
- Jestem tutaj tak sobie?
- Nie...
- To czemu?!
- Bo w domu nie bardzo mogłeś się odnaleźć.
- W domu? W jakim domu?
- No, w Brabancji.
- A właśnie że... kurwa mać!
- O co ci teraz chodzi? Przestań przeklinać.

– Co to w ogóle za brednie! Odnaleźć!?

– Tak, odnaleźć.

– Jak długo muszę jeszcze tu być?

– Muszę, muszę. Nic nie musisz.

– Więc jak zechcę, mogę odejść?

– Jak najbardziej.

Jest marzec i słońce już zaszło. Stoimy przed stajnią dla osłów, siąpi deszcz. Ogródzenie wzdłuż wybiegu jest gotowe.

– Kłóćcie się? – nieoczekiwanie obok nas staje Ronald. Jak wierny pies.

– W ogóle – odpowiadam.

– Mamy różnicę zdań – uściśla Henk.

– A co to jest?

– Helmer mówi coś, z czym ja się nie zgadzam.

– A Henk coś, z czym ja się nie zgadzam.

– Aha – kwituje Ronald. – Pędzicie osły na wybieg?

– Tak

– Super! Mogę pomóc?

– Pewnie. Gdzie jest Teun?

– W domu.

– Nie miał ochoty przyjść?

– Nie.

Przenosi wzrok ze mnie na Henka i z powrotem i postanawia nas wtajemniczyć.

– Powiedział, że jesteście głupi.

– Stań tam na podwórzu. – Wskazuję w kierunku drogi na grobli.

Ronald natychmiast odbiega – zadowolony, wiecznie zadowolony – i staje na wysokości drzwi do zlewni. Podnosi wysoko rękę na znak, że zajął swoje stanowisko.

– Więc jak zechcę, mogę odejść, tak? – pyta Henk.

– Ja cię nie trzymam.

Wchodzi do stodoły i chwilę później wyjeżdża na podwórze na rowerze ojca. Zatacza szerokie koło i wjeżdża na groblę. Ronald gapi się na niego zdumiony.

– Odjeżdżasz? – słyszę, jak pyta Henka.

Idę powoli w kierunku domu. Henk może i mu coś odpowiada. Nie słyszę tego, bo

wrona siwa zaczyna krakać. Ukazuje się, szybując zza domu, i zmierza wprost na głowę Henka. Dziko uderza skrzydłami, by utrzymać się w powietrzu, i osadza się łapami na czaszce Henka, zaś rower wraz z Henkiem robi koziołka. Jeszcze na chwilę ptak zastyga w powietrzu, prawie jak polująca pustułka, która dojrzała mysz, a potem odlatuje między drzewa stojące wzdłuż wybiegu dla osłów, w kierunku Marken.

– Henk się przewrócił – mówi Ronald.

„Henk się przewrócił”, powiedział Ronald. Nazwałbym to „podcięciem przez parę skrzydeł”. Kiedy dotarłem do Henka, usiłował się podnieść. Zdołał tylko stanąć na czworakach, gdy z czoła pociekła mu krew. Kazałem mu usiąść i nie zmieniać pozycji. Ronald zaczął podnosić rower, ale ponieważ jest to stary ojcowski rower – ciężka, solidna maszyna – kierownica wymknęła mu się z rąk. Siodełko uderzyło Henka w plecy.

– Zostaw, Ronald – poprosiłem.

– Co się stało? – wyjąkał Henk.

– Pójdę po apteczkę.

Gdy wychodziłem na dwór przez drzwi zlewni, Ronald stał obok Henka z rękami po bokach, rozglądając się.

– Nic nie mówił – zameldował. – Ale też nie płakał.

Ukląkłem i czystą, zwilżoną ściereczką otarłem Henkowi krew z czoła.

Ronald zaglądał mi przez ramię.

– Ale rozcięcie! – wykrzyknął i wtedy przestałem się zastanawiać, czy sam sobie z tym poradzę. Postanowiłem pominąć lekarza domowego i od razu jechać do szpitala w Purmerend. W poczekalni pogotowia siedziało parę osób, ale przepuścili Henka, myślę, że na widok nasiąkniętej krwią ściereczki, którą przyciskał do czoła. Największą ranę – od uderzenia dzioba – umyło i zaszyło. Szramy – odciski wronich pazurów – tylko oczyszczono. Lekarz dyżurny zapytał mnie, czy mój syn w minionych latach był szczepiony przeciwko tężcowi. Zapytałem o to Henka, a ponieważ nic o tym nie wiedział, został zaszczepiony. Lekarz był zadowolony, że Henk ma takie krótkie włosy. Założył gruby opatrunek na zaszytą ranę i naciągnął mu na głowę coś w rodzaju elastycznego czepka z siateczki. Jeszcze nigdy nie spotkał się z takim przypadkiem, a nawet nie wiedział, że wrony siwe istnieją.

– No to pięknie – powiedział, uśmiechając się do Henka, że w taki to właśnie sposób dochrapał się rozcięcia na głowie.

Henkowi nie było do śmiechu.

W drodze powrotnej, w samochodzie, Henk siedział, milcząc, obok mnie, z bezmyślnym wyrazem oczu.

– Mój syn – powiedziałem.

Nie uznał tego za zabawne i głęboko westchnął. Dziwny czepek opatrunkowy spłaszczył mu włosy i dotknąłbym ich, gdyby go nie miał na głowie ani tak głęboko nie westchnął. Kiedy wjeżdżałem na podwórze i chciałem pojechać po rower ojca, zobaczyłem, że stoi oparty o ścianę domu. Ronald chciał się jednak do czegoś przydać, zanim ruszył do domu. W sieni chwyciłem Henka obiema rękami za łokcie i odwróciłem twarzą do lustra. Unikał własnego wzroku i przez chwilę zdawało się, że napluje na własne odbicie.

Teraz od pół godziny siedzi na kanapie w salonie. Nic nie mówi, telewizor jest wyłączony. Od czasu do czasu pociera prawą ręką lewe ramię. Nie chce kawy ani nic zjeść. Wrona siwa jeszcze nie wróciła na swoje stałe miejsce na osice.

Oczywiście nie potrzebuję nikogo, by wypuścić osły na wybieg. Otwieram furtkę ogrodzenia, idę do stajni, tam otwieram bramę i powoli wędruję na ich wybieg. Wychodzą za mną, wierzgając i porykując, ale mnie nie wyprzedzają. Odsuwam się przed nimi tuż przed otwartą bramą. Dopiero wtedy mijają mnie w podskokach i zaczynają truchtać w kółko. Kiedy się trochę uspokajają, przystępują do obwąchiwania nowego ogrodzenia. Zamykam bramę, przywiązuję sznurem i ruszam drogą wzdłuż ogrodzenia. Jeszcze chwila, a zakwitną narcyzy wokół szpaleru drzew. Skręcam za róg i posuwam się wzdłuż nowego ogrodzenia, aż dochodzę do resztek domku parobka. Ostatnie kilkadziesiąt metrów osły biegną w ślad za mną po drugiej stronie siatki. Lśnią od siąpiącego deszczu i ocierają podbródki o nową deszczułkę. Są zadowolone.

Biorę rozbieg i przeskakuję przez rów melioracyjny. W miejscu, gdzie kiedyś stał domek parobka, Zarząd Lasów Państwowych chce wybudować centrum turystyczne. Przyjdzie taki dzień, że w Waterlandzie nie ostanie się żaden gospodarz. Albo jeden jedyny, który będzie doglądał szkockiej rasy krów albo Galloway, kosił trawę i zbierał puste puszkę po napojach orzeźwiających, przycinał tatarak i oprowadzał wycieczki, których trasy będą rozpoczynały się w planowanym centrum turystycznym, o ile nie będzie ich obwoził w gustownie pomalowanych barkach płaskodennych. Cała nasza ziemia i tak już należy do Zarządu Lasów Państwowych, ja tylko ją dzierżawię. Wiosną przez długi czas obracam wiatraczek Bosmana w stronę przeciwną do wiatru i dlatego duża część moich gruntów stoi pod wodą. Dla dobra

czajek, rycyków i krwawodziobów. Dzięki temu dostaję dotację od prowincji. Co roku dzień ten zbiega mi się z wpędzeniem owiec do stajni. Taki układ jak najbardziej mi odpowiada, mimo to wciąż sprzeciwiam się sprzedaniu tego skrawka ziemi. Co sześć miesięcy przychodzi pismo z Zarządu Lasów Państwowych, na które ojciec chce reagować, ale ja nie. Ostatniego listu mu nie pokazałem. Leży w jednej z przegródek biurka.

Fundamenty wciąż jeszcze odzwierciedlają plan domu. Butem przesuwam na bok placki ziemi, suche gałęzie i martwe Uście. Tu był salon, tutaj kuchnia, ubikacja, sień. Piwnicy już nie ma, stała się dołem zasypanym kamieniami i ziemią. Z szerokich pęknięć w betonie wyrastają już teraz chwasty. Metr ponad głową był wielki strych z dwoma okienkami w dachu. Nie chcę, by biegały tutaj wrzeszczące dzieciaki albo żeby taki czy inny lipny działacz ochrony przyrody a la chłop wciskał kit. Mam ochotę od czasu do czasu tutaj sobie przystanąć i w myślach na nowo otynkować ściany, ujrzeć, jak sufit ponownie bezszelestnie się nade mną zamyka, jak czerwone dachówki przymocowują się do łąt wiązania dachowego; wyobrazić sobie salon z otwartymi oknami, buteleczki piwa i zapach średnio mocnego skręta.

Przeczesałem palcami mokre włosy i wycieram wilgotną dłońią twarz. Woda jest dobra, sptukuje masę rzeczy (brud, zmarszczki, lata); w wodzie traci się swój ciężar, woda nadaje lekkomyślności i ujmuje lat. Henk na zawsze pozostanie dziewiętnastolatkiem. Staje mi tuż przed oczami – usadowiony na kanapie, z flaszeczką ciepłego piwa w dłoni, z rozpiętym górnym guzikiem koszuli, z drugim ramieniem spoczywającym na oparciu. Henk, który daje mi całusa, jakby mi ktoś umarł. Samotna muzyka, cicha. Potrząsam głową i rozdeptuję czubkiem kalosza kępkę chwastów. Jaap. To był Jaap. Czy był substytutem? Zmiennikiem Henka mówiącym mi, że wszystko z czasem przyjdzie?

Gdzie się podział Henk?

Gdzie się podział Jaap?

Wracam drogą do obejścia, do Henka ze zranioną głową, do swojego steranego życiem ojca, który chce dożyć jeszcze jednej wiosny. Osły zostawiły mnie w spokoju, utknęły w kącie pastwiska przy domku parobka. Podnoszę rower ojca, wskakuję na siodło i ruszam trasą, którą Henk pedałował tego samego dnia, w przeciwnym kierunku. Wciąż bolą mnie mięśnie od pracy przy ogrodzeniu. W stodole jest ciemno. Zanim wejdę do zlewni, zapalam jarzeniówkę ponad warsztatem. Zawieszam obcęgi na drewnianej płycie z gwoździkami

i ołówkowymi obrysami narzędzi. Gdzie ja się podziałem, myślę, gdy odwieszam młotek stolarski na miejsce jego ołówkowego obwodu.

- Dokąd się wybierałeś?
- Zwyczajnie odjeżdżałem.
- Nic nie miałaś przy sobie.
- No i co z tego?
- Nawet nie zdjęłaś kombinezonu.
- No i?
- Jak tam z głową?
- Swędzi.
- To dobrze. Swędzenie dobrze wróży.

Nalewa sobie drugi kieliszek wina. Ja przykrywam swój dłoń. Jemy befsztyk z ziemniakami i fasolką szparagową z zamrażarki. Na dworze wciąż nie całkiem zapadł mrok, a mimo to zasłoniłem boczne okno.

- Po co ten ptak coś takiego zrobił?
- Hm.
- Dlaczego akurat mnie?
- Hm.
- Ramię mi drętwieje.
- Wyobraź sobie, że napadłaby na Ronalda, on ma wciąż bardzo wrażliwą głowę.
- Czyli w sumie dobrze, że naleciała na mnie, tak?
- W pewnym sensie tak.
- Dzięki.

Kroję trzeci kawałek befsztyka na kawałeczki, na czystym talerzu.

- Ale masz duże ręce – stwierdza Henk.

Nakładam na talerz kilka ziemniaków i trochę fasolki i przesuwam w jego stronę.

- Zaniesiesz na górę?
- Dobra.

Długo nie wraca. Zmywam po jedzeniu, a po skończeniu wyjmuję szczoteczkę do paznokci z szafki pod zlewem. Gdzieś musi stać pojemnik z kremem złuszcającym do rąk, który matka kupiła w przekonaniu, że ojciec i ja musimy lepiej dbać o dłonie. Po jej śmierci

pojemnik coraz głębiej przesuwiał się pod zlew. Odnajduję go w wilgotnym kącie, pod zużytą szmatą. Szoruję dłonie grubełkową masą, aż obrzeża moich paznokci zaczynają prawie krwawić.

W komorze ściągam ubranie i wrzucam do kosza z brudną bielizną. Wchodzę do łazienki, odkręcam krany i wstępuję pod wodę. Dopiero gdy zaczyna lecieć letnia, co znaczy, że bojler jest prawie pusty, zakręcam krany pomarszczonymi palcami. Wycieram się, okręcam ręcznikiem i idę do swojego pokoju. Po drodze widzę siebie w lustrze nad kominkiem i matkę, która odpowiada mi czujnym spojrzeniem. Zamierzałem włożyć czyste ubranie, ale na widok łóżka zmieniam plan.

Rzucam ręcznik w kąt i staję przed mapą.

– Vaerløse – wypowiadam cicho. – Farum, Holte, Birkerød, Frederiksværk.

Mój członek zaczyna pęcznieć i kładę się do łóżka. Słyszę, jak Henk schodzi na dół. Przechodzi przez dom, wydaje mi się, że przystaje przed drzwiami mojego pokoju. Po czym gasi lampy, słyszę to po trasie, jaką idzie. Nieco później znowu wchodzi po schodach. Dom ogarnia cisza.

Wyszedłem na pole, żeby policzyć owce. Na ich widok zawsze trochę się zasępiam. To takie przygnębiające zwierzęta, Często myślę o trzech owcach, które sprzedałem, żeby kupić mapę Danii, przede wszystkim dlatego, że nawet się dobrze nie przyjrzałem, których trzech się pozbywam. Równie dobrze mogłyby to być jakieś trzy inne. Dwadzieścia owiec w deszczu to nie jest przyjemny widok, na nieostrzyżone owce w czasie fali upałów nie da się patrzeć, a widok kulawej owcy jest nie do zniesienia. Najgorszy jest obraz owcy skręconej i przewróconej na grzbiet. Niezdolnej o własnych siłach stanąć na nogi, której kiszki, pełne powietrza, rozsadzają brzuch, charczącej i rżęzącej, a przy podmuchu wiatru nadymającej się jeszcze bardziej z powodu wyciągniętego jak najdalej łba. Próbuję przypomnieć sobie, kiedy zabrałem z pola tryka. Już prawie pora zagonić je do środka. Doliczam się dziewiętnastu sztuk.

Nie chodzę po polu tak sobie, liczę owce, by zbiec z domu. Rita dzwoniła. Znowu pytała, czyby nie mogła przyjechać, zwyczajnie, żeby zajrzeć, i może też, aby porobić jakieś „babskie prace”. Ojciec kaszłał na górze. Zawołałem Henka, oddałem mu słuchawkę i wyszedłem w pole.

Wzdycham i zaczynam liczyć od nowa. Dziewiętnaście. Wędruję do najbliższego rowu melioracyjnego. Promienie słońca błyszczą na gładkiej tafli wody. Gładkość powierzchni o niczym nie świadczy; owca, która wpadła do wody, szybko się poddaje, zaczyna połykać wodę i nieruchomieje w oczekiwaniu, co się dalej stanie. Owce teksie topią się same. Kolejny argument na ich niekorzyść. Posuwam się wzdłuż rowu melioracyjnego do poprzecznego kanału. Dziewiętnaście owiec trzyma się na odległość, ale postępuje za mną. W trzecim kanale znajduję owcę. Woda sięga prawie wszędzie aż do poziomu gruntu, to kanał o wysokości trzydziestu centymetrów i pochyłym brzegu. Zanurzam rękę głęboko w runo i zaczynam ją ciągnąć. Teksie mają cienkie, łamliwe nogi, ale gdy te nogi tkwią w błocie, są jak haki z ołowiu. Owca kolebie się tam i z powrotem, na chwilę zwraca do mnie łeb, woda chlupocze o pionowy wał. Lekko rozstawiam nogi i ponawiam prośbę. Chwilę później siedzę na pupie w trawie z garścią wełny w prawej dłoni. Owca już nie stoi, spokojnie czekając na

rozwój wypadków. Napiera na brzeg i beczy, przewraca w panice oczami. Już się nie zastanawiam i, nie zdejmując kaloszy, wążę do kanału. To płytki rów, ale gdy uginam kolana, by włożyć jej ramiona pod brzuch, błotnista woda sięga mi do ust. Usiłuję podnieść owcę, lecz kalosze zapadają się coraz głębiej w grząski muł. Powolutku zwierzę się unosi, jeden jego bok zdołałem zbliżyć do brzegu. Dokładnie w chwili, gdy myślę, że mi się udało, owca, która czuje stały grunt, zaczyna dziko wierzgać nogami. Tracę równowagę, przewracam się do tyłu, a owca stacza się na mnie.

Moje kalosze tkwią w mule, jak wylane z betonu, ja leżę na plecach ze zgiętymi kolanami, niezdolny, by zebrać siły. Jeden raz udaje mi się wyciągnąć głowę ponad powierzchnię wody, obok mokrej, ciężkiej jak ołów wełny, i zaczerpnąć porządny haust powietrza. A potem ciało owcy na nowo wbija mnie w dół. Wydaje mi się, że czuję bicie jej serca, wściekłe bicie, może to uderzenie mojego własnego. Próbuję uwolnić stopy z kaloszy. Na co mi lekkomyślność, kiedy zaczynam tracić dech. Z boku, muszę spróbować wydostać się spod owcy bokiem. Precz z ujmowaniem lat teraz, gdy leże jak podtopione bydlę pod innym podtopionym bydlęciem. Od drugiej, lewej strony – lewe ramię w górę, w nadziei, że owca się ze mnie ześlizgnie. Dziwne, nagle widzę Jaapa podpływającego do mnie silnymi uderzeniami ramion i samego siebie nieporadnie przebierającego nogami i miotającego ramionami, z szeroko otwartą buzią, którą zalewają wielkie strugi wody jeziora IJssel. Splukiwanie? Tą brudną, śmierdzącą wodą? Co tu jest do splukania? „Włosy falowały mu jak wodorosty”. Muszę otworzyć usta, to silniejsze ode mnie. Widzę nie Henka, ale siebie samego w simce, a moje włosy kołyszają się tam i z powrotem, jak wodorosty, podczas gdy Rita patrzy na mnie zza drugiej strony okienka w drzwiczkach. Nie przestraszyć się, nie bać, nie wpaść w panikę. Z uśmiechem. Nawet nie za bardzo się stara uchylić te drzwiczki. Muszę otworzyć usta. Nie udaje mi się wcisnąć ramion między własny brzuch a owcę, nawet gdybym spróbował zrzucić z siebie zwierzę ponad głowę, i tak by mi to nie wyszło.

Helmerze,

okłamałeś mnie. Henk powiedział mi o Twoim ojcu. Myślałam, że postradał zmysły. Przecież on nie żyje i został rozsypany, powiedziałam. Coś ty, odpowiedział Henk, leży na górze w łóżku, słyszę, jak kaszle. Powiedział jeszcze, że często mu nosi jedzenie. Dlaczego mnie okłamałeś? Czegóż takiego się po Tobie nie spodziewałam. Henk (Twój brat, mój przyszły mąż) nigdy by mi tak nie nakłamał.

Zawsze uważałam Cię za miłego, uczciwego, łagodnego chłopca, ale okazuje się, że inaczej się to przedstawia. Siedziałam i chodziłam po Twoim domu, podczas gdy Twój ojciec też tam był, za zamkniętymi drzwiami! To rzuca zupełnie inne światło na moje odwiedziny. Nienawidzę Twojego ojca, wyrzucił mnie z domu, zniszczył mnie (czy może myślałeś, że kilkanaście lat z Wienem przeżyłam w szczęściu i zadowoleniu? Że fajnie mi się żyło w Brabancji?).

Dlaczego to zrobiłeś? Bo inaczej bym nie przyjechała? Myślisz tylko o sobie. Nie mija nawet jeden dzień, bym nie pomyślała o Henku. Henk był chłopcem, a jednak już prawdziwym mężczyzną, który dawał mi to, czego pragnęłam. Wien był zupełnie inny, w pewnym sensie więcej uwagi poświęcał Świniom niż mnie. Byłam drugim wyborem. Gdybyś miał pojęcie, jakie obrazy widzę każdej nocy Wciąż tylko ten samochód i jezioro IJseł. Bardziej przypominasz Wiena niż Henka. I pomyśleć, że w parę dni po śmierci Henka odnalazłam pewien spokój w Waszym gospodarstwie. Twoja matka dawała mi wsparcie i myślałam, że nas (Ciebie i mnie) również łączyła pewna więź. Myślałam, że jest coś, na czym będziemy mogli budować. I jeszcze coś: chcę mieć Henka z powrotem (nie Twojego brata, ale mojego syna). Wprowadzał niepokój tu, w domu, ale teraz widzę, że spokój znoszę jeszcze gorzej. Muszę nauczyć się z nim rozmawiać, chcę go zrozumieć. To mój syn. Poza tym nie wydaje mi się już, by Twój dom był miejscem dla niego, bo kłamiesz i oszukujesz, więc nie jesteś dla niego dobrym przykładem. A o co chodzi z tą wroną? Co to za śmiertelnie niebezpieczne stworzenie? Dlaczego narażasz mojego syna na takie niebezpieczeństwo? Mam nadzieję, że w szpitalu go dobrze opatrzyli, co? Jesteś nieodpowiedzialnym człowiekiem.

Do Henka też napiszę, że ma wrócić do swojej matki, która go potrzebuje.

To nie może tak dłużej trwać..

Pozdrowienia

Rita

Mgła. Jedyne, co widzę, to nagie gałęzie osiki. Puste gałęzie. Poza tym nic. W pokoju ojca wciąż jest trochę wilgotno. Nie pamiętam, by było tu parno i lepko, kiedy jeszcze tutaj sypiałem. Wciąż jest marzec, jak dla mnie mógłby to być już maj, a nawet czerwiec. Ojciec uważa tak samo.

- Mam już dosyć.
- Przed chwilą już to mówiłeś.
- Za długo to trwa.
- Nawet jeszcze wiosny nie ma.
- Wiem. Właśnie dlatego.

Patrzę na wypełnione ściany – na zdjęcia, metryczki i akwarelowe grzyby. Czy ludzie robią zdjęcia na później, kiedy ich samych już nie będzie?

- I co teraz? – pytam. – Jak to sobie wyobrażasz?
- Przystaję jeść.
- Co?
- Nie chcę więcej jeść. Tylko pić.
- Ale...
- Takie to straszne?
- Jak przestanę ci przynosić jedzenie...

– Będziesz winny mojej śmierci? Ach. Jak to dla ciebie takie straszne, możesz mi je przynosić, wiesz? Po prostu nie będę go jadł.

Leży bardzo pogodny, wygląda, jakby żartował. Kto wie, może sobie myśli: skoro mój syn może żartować, to i ja też. W minionych dniach bez przerwy patrzyłem na nadgarstki Henka. Są silne, szerokie. Pokryte rudawymi włoskami. Kiedy skończył rozmawiać przez telefon ze swoją matką, wyszedł mnie poszukać. Zatrzymał się na chwilę przy ogrodzeniu nad groblą, nie zobaczył mnie, ale owce – tak: zbite w kupę i wpatrujące się w jedną stronę. Później mi powiedział, że uznał to za dziwne. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że wtedy to po raz ostatni udało mi się wydobyć głowę na powierzchnię. Dokładnie w porę przełazi przez ogrodzenie i szedł dostatecznie szybko, by znaleźć się przy mnie, zanim utonąłem. Zobaczył leżącą owcę, a na jej boku zwiotczałe ramię. Sam też wlaź do kanału, z łatwością zepchnął ze

mnie owcę i podniósł mnie tymi silnymi nadgarstkami do pionu. Moje kalosze zostały w mule i wciąż tam jeszcze stoją. Wyciągnął mnie na brzeg; kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem ucho, rękę i bliznę. Całuje mnie w usta, pomyślałem, a krótko potem poczułem, jak w moje płuca wdziera się silny podmuch powietrza; było to dojmujące uczucie. Powietrze nie mogło się w żadną stronę wydostać – on zatykał mi nos. Wydałem pisk, a głowa Henka się odsunęła. Przepona mi się skurczyła i zanim zdałem sobie z tego sprawę, leżałem na boku – wspomagany silnymi nadgarstkami – i wyrzygiwałem falę mulistej wody o temperaturze ciała.

– Poleż tak jeszcze chwilę – powiedział Henk.

Posłuchałem go. Nie mogłem złapać oddechu i cieszyłem się, że wciągam do płuc powietrze zamiast wody. Trochę później twarz opryskały mi krople wody z zataczającej się beli wełny. Nawet owcę zdołał wyciągnąć z kanału.

Teraz leży w łóżku. Mówi, że jest chory. Stają mi przed oczami jego nadgarstki na tle afrykańskich zwierząt. W ciągu dnia zwymiotowałem jeszcze ze trzy razy i na tym się skończyło.

– Jak tam z Henkiem? – pyta ojciec.

– Dobrze – mówię. – Lepiej.

W ustach wciąż mam jakby posmak mułu. Albo zdaje mi się, że ziemia mi zgrzyta między zębami. Mogę sobie świetnie wyobrazić, że śmierć ma smak mułu. Wpatruję się w osikę.

– Miałeś mi jeszcze powiedzieć, dlaczego masz do mnie taki wstręt i co ja takiego zrobiłem.

– Tak – potwierdzam.

– Dlaczego powiedziałeś Adzie, że mam demencję, i czemu nie wzywasz doktora.

– Tak – przyznaję.

– Ja to zrozumiałem.

– Tak?

– Najpierw przeniosłeś mnie na górę. Nie dopuszczasz do mnie ludzi.

Nie odzywam się już i uparcie wyglądam na zewnątrz.

– Na początku ledwo co mi dawałeś jeść. A teraz, jak sam mówię, że już nie chcę, zaczynasz gderać. Pozwól mi odejść.

Powoli odwracam do niego głowę. Już nie jest taki pogodny. Powie mi rzeczy, jakich

jeszcze nigdy mi nie powiedział.

– Mówisz, że mam demencję, żeby to, co tylko komukolwiek powiem, nie było prawdą.

Milczę.

– Tamtym razem, kiedy przyniósłeś mi chleb z serem, kiedy słońce świeciło.

– Tak?

– I myślałeś, że śpię.

Nie mówię drugi raz „tak?”. Powiedział „myślałeś” i to mi wystarcza.

– Wiem, chłopcze. Wiem. – Gładzi dłonią koc obok swej nogi. To dziwny, kobiecy gest.

– Nie – odzywa się nagle. – Podejrzywałem. I nie chcę już nic więcej o tym słyszeć. Nigdy.

Mgła zaczyna się rozwiewać, robi się coraz rzadsza i lżejsza. Droga błyszczący srebrzyście, woda w kanale marszczy się prawie niepostrzeżenie. Wstaję i ruszam do drzwi. Co właściwie wie lub podejrzewał? Nie chce już więcej o tym słyszeć, jednak to łatwiejsze do załatwienia niż przestać jeść.

Wyobrażam sobie siebie klęczącego obok łóżka, z głową złożoną na pościeli, i widzę, jak stare dłonie ojca przestają głaskać pościel. Dźwiga rękę, unosi ją ponad swą nogą i kładzie na mojej głowie. Dotyk ręki jest suchy i skóra szoruje mi po włosach, jest ciepła. Otwieram drzwi i patrzę na talerzyk stojący na szafce nocnej. Dwie kromki chleba z serem, jabłko i nożyk. Zostawiam talerzyk i wychodzę do sieni.

Wszyscy już są w łóżkach, więc lepiej sam też się położyć. Jest tuż po porze obiadowej. Bardziej niż kiedykolwiek mam poczucie, że jestem tu nie na swoim miejscu. Henk powinien tu mieszkać. Z Ritą i dziećmi. Pomimo różnicy wieku Rita bardzo by się zaprzyjaźniła z Adą, a jej dzieci chodziłyby z Teunem i Ronaldem do tej samej szkoły. O nie, jej wnuki. Ja powinienem być wujkiem. Henk powiedziałby serdecznie do młodego kierowcy cysterny mlecznej, iż żałuje, że już go nie zobaczy, i życzyłby mu wszelkiej pomyślności, może nawet poklepałby go po plecach. Kiedy patrzę w lustro, widzę siebie. Czasem patrzę przez siebie i widzę Henka, który przeważnie dziwnie mi się przygląda. Jak by to było, gdybyśmy przed chwilą obaj stanęli przed ojcem, jak Kastor i Polluks? Czy wciąż by myślał, że spiskujemy przeciwko niemu? Czy zdołalibyśmy jeszcze spojrzeć na niego zadziornie, żeby go sprowokować? Czy Henk by się za mną wstawił, czy delikatnie, acz stanowczo, nawymyślałby mi od debili?

Już od tak dawna robię wszystko na pół gwizdka. Już od tak dawna mam połowę ciała. Nigdy więcej ramię w ramię, nigdy więcej pierś przy piersi, już nigdy tej oczywistości bycia razem. Za niedługo pójdę doić. Jutro rano znowu będę doił. I przez resztę tygodnia oczywiście też, i w przyszłym tygodniu. Ale to mi już nie wystarcza, wydaje mi się, że nie jestem już w stanie dalej wtykać głowy pod krowy, by pozostawić sprawy ich własnemu biegowi. Jak jakiś debil.

Jego ręce spoczywają wzdłuż ciała, nie widzę nadgarstków. Mgła się podniosła i lekko uchylilem okno w nowym pokoiku. Zawisł w nim zapach choroby, choć od dwóch dni nie jest już chory. Pachnie tu też dymem papierosowym. Odmawia wstania z łóżka. List, który dostał od matki, leży na szafce nocnej. List, który ja od niej otrzymałem, leży na dole, na stole kuchennym.

Raz jeden zmieniłem opatrunek na jego czole, a potem znowu naciągnąłem mu na głowę siatkowy czepek. Kiedy po raz drugi to robiłem (leżał już w łóżku), zobaczyłem, że rana już zaschła, więc tak ją zostawiłem. Końcówki niebieskiej nici są dłuższe od jego włosów.

– Uwzięły się na mnie – powiedział ponuro. – Zwierzęta.

Zastanawiam się, kiedy trzeba by zdjąć te szwy. Czy mogę je sam wyjąć? Mam ochotę sam to zrobić. Przycisnąłbym sobie jego czaszkę jedną ręką do piersi i zdecydowanym ruchem drugiej, pęsetą, wyskubałbym nitki z głowy.

Słyszę, że na podwórze wjeżdża cysterna z mlekiem. Nowy kierowca okazuje się kategoriycznym babskiem w wieku około czterdziestu pięciu lat. Zamieniłem z nią dopiero parę słów, trzyma człowieka na dystans i tak jak stary kierowca jest trochę gburowata.

– Tęsknisz za swoim bratem? – pyta Henk.

– Co?

– Czy tęsknisz za swoim bratem. Henkiem.

Milczę.

– Ja w ogóle nie tęsknię za siostrami.

– Jeszcze żyją.

– No właśnie. Naprawdę mieli się pobrać?

– Tak.

– A wyście byli do siebie podobni?

– Widziałeś przecież zdjęcia w pokoju ojca.

– Tak, ale...

– Byliśmy bliźniakami.

– Czemu się zakochała w twoim bracie, a nie w tobie?

- Skąd mam to wiedzieć?
 - Może nie zobaczyła was jednocześnie?
 - Nie, razem byliśmy w knajpie.
 - No to czemu?
 - Nie wiem, Henk. Tak to już jest.
 - Równie dobrze mogło się to potoczyć inaczej.
 - Hm...
 - Wyobraź sobie, że...
 - Przestań.
 - Wydaje mi się, że ona chce za ciebie wyjść.
 - Też mi się wydawało.
 - Już ci się nie wydaje?
 - Nie.
 - Mnie się nawet wydaje, że ona mnie do tego wykorzystuje.
 - Jak?
 - Posyłając mnie tutaj.
 - Za dużo się telewizji naoglądałeś.
 - No to się zawiedzie. – Uśmiecha się.
- Patrzę na niego.
- Czas, żebyś wstał z łóżka.
 - Nie. Będę leżał.
 - Co pisze?
 - Że mnie potrzebuje i że jesteś kłamcą, i że mam wrócić do domu.

Cysterna z mlekiem wyjeżdża z podwórza. Na zewnątrz zapada cisza. Czuję po plecach, że wciąż stoję pod weluksem, pod skośną ścianą. Odsuwam z krzesła jego ubranie i siadam.

– Jest zła. Na mojego ojca, na siostry, na mnie. Innej jej nie znam. Jest zła na wszystko i wszystkich, była zła nawet na świnie. Na pewno jest też zła na ciebie.

- Tak.
- Właściwie dlaczego powiedziałaś jej, że twój ojciec nie żyje?
- To długa historia.
- Ja mam czas.
- Nie, nie masz. Musimy zagnać owce do środka.

- Po co?
- Będą się kocić.
- Chciałeś powiedzieć: jagnić.
- Tak.
- Sam nie możesz?
- Nie. Potrzebuję ciebie.
- Będę musiał za nimi biegać?
- Może się zdarzyć.
- Jestem chory.
- Byłeś.
- Boję się.
- Jesteś młody, przestań marudzić.
- Chcę tu zostać na zawsze. Nie chcę wracać do mojej złej matki, do Brabancji.

Nienawidzę Brabancji, nic tam po mnie. Jaki jest pożytek z sióstr?

- A tutaj jest coś po tobie?

– Tak.

Pojawiają się dwa nadgarstki. Zagarniają paczkę papierosów z szafki nocnej.

– To musi być dziwne. Brat bliźniak. Ktoś, kto jest dokładnie taki sam jak ty. – Zapala papierosa.

Wstaję z krzesła i szerzej uchylam weluks.

- Identyczne ciało.

- Czego się właściwie boisz?

– Lata.

- Czego?

– Lato jest samotne, długie i jasne. – Kołdra trochę się zsunęła, odkryła mu klatkę piersiową. Błądą, młodą pierś, z bojaźliwie bijącym sercem. Wydmuchuje chmurę dymu. Nie w stronę okna, ale prosto w moją twarz.

- Z bratem bliźniakiem to żaden problem. Zawsze jest się wtedy razem.

Oczywiście biegnie dwa razy szybciej ode mnie. Nawet o wiele za szybko, owce uskakują na wszystkie strony. Mówię, by zachowywał się spokojnie, że ma do czynienia z płochliwymi zwierzętami. Kiedy po dojeniu zaglądam do owczarni, już biegają po niej dwa

jagniątka. Owczarnia podzielona jest na dwie części siatką – po jednej stronie znajduje się „poczekalnia”, po drugiej – „porodówka”. Podnoszę dwa jagniątka, a jedna z owiec zaczyna kopać. To maciorka. Henk spoziera z progu drzwi. Ma rozpaloną twarz. Jego ramiona lekko parują.

– Chodź – mówię.

Idziemy przez pozbawioną owiec, jednak nie pustą przestrzeń, w stronę wiatraczka Bosmana. Nad kanałem stoją dwie gęsi gęgawy. Widzę też czajki, stadko gołębi grzywaczy, parkę pliszek i samotnego rycyka. Kiedy jestem niemal pewny, że jeszcze nie ma wśród nich krwawodziobów, dwa nadlatują. Słońce prawie zachodzi. Skrzydła wiatraczka bardzo powoli się obracają. Składam ogon wiatraczka i nastawiam go na tryb spoczynku. Wycieram dłonie o nogawki kombinezonu. Woda może się podnieść.

– Tutaj przyłaziliśmy – odzywam się. – W lecie.

–Ty i Henk.

– Tak.

– Teraz też – mówi. – Ale to jeszcze nie lato.

– Nie – przyznaję. – To jeszcze nie kto.

Gęsi podrywają się do lotu, jedna wyżej od drugiej, jak to zawsze mają w zwyczaju gęsi.

–Twoja matka też tu przychodziła, tuż po śmierci Henka.

Razem z moją.

To go nie interesuje.

– Coście tu robili?

– Wałęsaliśmy się.

Wałęsaliśmy się. Stali, chodzili, siedzieli. Patrzyliśmy na nenufary w kanale, na chmury, które powoli – zawsze, o, jakże powoli – przepływały nad naszymi głowami. Obserwowaliśmy wodę, która pieniała się w kanale. Gdy zamykaliśmy oczy i wsłuchiwalismy się w popiskiwanie naoliwionych osi w wiatraczku, w wiatr w szczebelkach skrzydeł, w jaskółki, czas stawał w miejscu. Za naszymi przymkniętymi powiekami przesuwano się mnóstwo rzeczy i nigdy nie było ciemno. Było pomarańczowo. Nic poza nami nie istniało, gdy było lato, a myśmy tu przebywali jak w innym kraju – prawie jak w Ameryce. Istnieliśmy my i mocniejszy niż zapach suchych ostrożni polnych, owczych bobków i ciepłej wody był nasz własny zapach. I słodka, czasem wapienna woń gołych kolan, gołych brzuchów. Trawa łaskotała nas w pupy. Gdy

spoglądaliśmy jeden na drugiego, dotykaliśmy siebie nawzajem. Nie da się bardziej do siebie zbliżyć, gdy czuje się bicie czyjegoś serca i myśli się, że to bije twoje własne. Prawie jak owca i ja stopieni ze sobą, tuż przed tym, zanim zacząłem się topić.

– Helmer?

– Tak?

– Jak to jest mieć brata bliźniaka?

– To najpiękniejsze, co może być, Henk.

– Czujesz się teraz jak czegoś pół?

Chcę coś powiedzieć, ale nie mogę. Muszę się nawet uchwycić jednego z prętów, by się nie przewrócić. Zawsze byłem zapomniany, byłem bratem, ojciec z matką byli ważniejsi, Rita wymogła – choć na krótko, ale jednak – swoje wdowieństwo, a teraz naprzeciw mnie stoi syn Rity i pyta mnie, czy czuję się jak czegoś pół. Henk chwyta mnie za barki, zrzucam z siebie jego ręce.

– Za czym płaczesz? – pyta.

– Za wszystkim – mówię.

Patrzy na mnie.

Pozwalam mu patrzeć.

To nie jest prawdziwa kolacja. Henk otworzył butelkę wina, na stole leży chleb i ser, masło i karton jogurtu oraz rozerwana paczka chipsów.

– Ona się zachowuje tak, jakbym sam nastał na siebie tę wronę – mówi Henk. Leży przed nim list, który napisała do mnie jego matka. – A tutaj: „pewna więź” i „coś, na czym będziemy mogli budować”. Widzisz, że chce za ciebie wyjść. Wtedy byłbyś moim ojcem.

– Oczywiście, że nie – odzywam się. – Gdybym ja był twoim ojcem, nie byłbyś tym, kim jesteś teraz.

– Co?

– Bardzo dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– Nic z tego nie kumam. Usmażyć ci parę jajek?

– Nie, dziękuję. Dlaczego czytasz ten list? To nieładnie czytać cudzą korespondencję.

Jestem wstawiony i co jakiś czas spoglądam przez boczne okno na zewnątrz. Mam nadzieję, że ostrość lornetki Ady pozwala jej zobaczyć, co się tu dzieje. Alkohol, śmieciowe

jedzenie, całkowite rozpasanie.

– Mogłem być twoim stryjem – mówię. – Ale też nie, bo gdyby Henk był twoim ojcem, także nie byłbyś tym, kim jesteś.

Patrzy na mnie zamglonym spojrzeniem.

– Stryj – wypowiada powoli.

Zastanawiam się, gdzie by mogła być peseta. W apteczce, w bieliźniarce, gdzieś pod stosem czystych ręczników.

– Henk – mówię – wyjmij apteczkę z szafy. I zapal światło.

Wstaje i robi, o co proszę. Patrz sobie, Ado, myślę, wyławiając pęsetę z apteczki. Odsuwam swoje krzesło od stołu i macham na Henka, by przy mnie usiadł.

– Co robisz? – pyta.

– Wyciągnę ci szwy.

– Tak? A tego nie muszą zrobić w szpitalu?

– A po co? Klęknij, no.

Klęka przede mną, a ja jedną ręką przyciskam sobie jego głowę do piersi.

– Tylko uważaj, co? – ostrzega.

– Oczywiście – uspokajam go.

Są cztery nitki szwów. Dwie usuwam bez specjalnego wysiłku. Z trzecią idzie trochę trudniej.

– Au – wrywa się Henkowi.

–Już po krzyku.

Czwarta nitka też łatwo wychodzi.

Zanim wstaje na równe nogi, maca palcami ranę, która prawie się już zabiłniła.

Stoję w owczarni z zamętem w głowie. Niewiele się dzieje. Dwa jagniątka ssą matkę, reszta owiec spokojnie leży, przeżuując. Nie mam tu czego szukać i postanawiam, że niezależnie od tego, co się wydarzy, przysiądę sobie chwilę na ziemi w porodówce, opierając się plecami o przepierzenie. Siedzenie jest łatwiejsze niż stanie. Owczarnia pełna zwierząt w lecie to tak jak obora pełna krów zimą. Mówię sobie, że nie wolno mi już tak myśleć. Nie chcę już tak myśleć. Henk wyciągnął mnie z rowu melioracyjnego i coś się zmieniło. Bliskość, myślę podchmielony. Zastanawiam się, czy trzeba się rewanżować, gdy ktoś nam uratował życie. Jedno z jagniąt podchodzi do mnie, owca maciorka tupie przednią nogą. W owczarni

owce są mniej przygnębiające niż na pastwisku. Przed wyjściem zostawiam w niej zapalone światło. Rozbieram się i wrzucam ubranie do kosza na brudną bieliznę w komorze. Z salonu dochodzą dźwięki telewizora. Wchodzę do łazienki i odkręcam krany. Najpierw myję włosy – szamponem Henka. Drzwi się otwierają, gdy odstawiam butelkę szamponu na półeczkę pod lustrem. Wchodzi do łazienki i zamyka za sobą drzwi.

– Co robisz? – pytam, ocierając pianę z oczu.

– Chcę wziąć prysznic – mówi.

– Widzisz przecież, że ja pod nim stoję?

– Tak – odpowiada.

Zdejmuje T-shirt.

– Używasz mojego szamponu?

– Tak.

– Nie szkodzi.

– Henk, wyjdź – proszę.

– Dlaczego?

– Bo tak powiedziałem.

– Ha! – mówi.

– Kto tu rządzi?

Stoi naprzeciwko mnie z podkoszulkiem luźno przewieszonym przez prawe ramię. Patrzy zdumiony.

– No proszę, co my tu mamy?

– Kto tu rządzi? – powtarzam.

Piana na głowie zaczyna mnie szczypać, szumi mi we włosach. Stałem się moim ojcem. Nie wstydzę się, nie korci mnie, by ukryć własną nagość. Henk nie przestaje się we mnie wpatrywać, widzę, jak się zastanawia, jak szuka, co by tu powiedzieć. Jednak nie znajduje żadnego sojusznika – za mną nikogo nie ma.

– Ty tu rządzisz – mówi w końcu.

Zanim wyjdzie z łazienki, niespiesznie zakłada z powrotem swój podkoszulek.

Kiedy opuszczam łazienkę, w całym domu pali się światło. Z kuchni dochodzi gadanina z radia, w salonie gra telewizor włączony na kanale muzycznym. Po Henku ani śladu. Robię obchód domu i wyłączam wszystkie lampy, radio i telewizor. Na końcu nastawiam piec na

najniższą temperaturę i wchodzę do sypialni. Zapalam światło i stoję przed mapą Danii.

– Skanderborg – mówię cicho.

Przeważnie następują po tym trzy, cztery inne nazwy, ale nie teraz. Kładę się w ogromnym łóżku i zamykam oczy. Po jakimś czasie słyszę terkotanie dynamo, co oznacza, że nadjeżdża rower. Potem robi się cicho.

Budzę się, bo ktoś mi wchodzi do łóżka. Słyszę, jak się gnieździ i posapuje. Szeleści poszewka na poduszce obok mojej. Nie zapalił światła. Czekam.

– Nie chcę już spać w tamtym pokoiku – mówi. – Zimno mi w nim i nieprzyjemnie.

To wiem. Bo jest w nim zimno i nieprzyjemnie. A także pusto.

Leży bardzo cicho, nie słyszę nawet jego oddechu.

– Twój ojciec nic nie zjadł – odzywa się po chwili.

Odchrząkuję.

– Nie chce jeść.

– Chce umrzeć?

– Tak.

–Ja nie – mówi z westchnieniem zadowolenia.

Po czym odwraca się na bok. Za ciemno jest, bym mógł dojrzeć na który.

Już powiedziałem coś innego. Udzieliłem mu odpowiedzi. Teraz już za późno, by go odesłać. Być może da się to uznać za rewanż za uratowanie komuś życia.

Siedzę na krawędzi łóżka i mu się przyglądam. Leży na plecach w podkoszulku, który nosił już wczoraj. Jego klatka piersiowa unosi się powoli i opada, a przy wydychaniu trochę sapie. Leży w moim łóżku, jakby nigdy nigdzie indziej nie leżał. To mnie złości. Wstaję i wkładam moje robocze spodnie.

– Zabierzesz się też do czegoś? – pytam głośno.

Przez gardło nie mogło mi przejść: „Henk, obudź się”.

Jęczy cicho i obraca się wygodnie na brzuch.

– O, na pewno – odpowiada w poduszkę. – Ale nie od razu.

– Jest pół do siódmej – mówię.

Uptywa trochę czasu, nim coś odpowiada.

– Te zwierzęta.

– Co z nimi?

– Te, które się na mnie uwzięły.

– No?

– Muszę coś z tym zrobić.

– Co chcesz z tym zrobić?

Stoję już prawie w salonie.

– Jeszcze nie wiem. Coś.

– Chronić głowę.

– Nie mam pojęcia.

– Ten osiołek miniaturka już dawno nie żyje, a wrona siwa odleciała.

– Tak. Ale mimo wszystko.

– Ja wychodzę – oznajmiam. – Zajmiesz się cielakami?

– Tak – odpowiada słabo. – Za chwilę.

Koniec marca, a gdy zaczynam doić, słońce wisi już na niebie. Po wydojeniu dziesięciu krów podchodzę do drzwi obory. Skądś słychać kosa, gnojowisko paruje, przycięte wierzby jutro mogłyby wypuścić pędy. W cielętniku jest niespokojnie, ale poza tym panuje taka cisza, że słyszę kłusowanie osłów po wybiegu.

Od przeszło trzydziestu lat nie przeczytałem żadnego wiersza – z wyjątkiem nekrologów w gazecie – a teraz jeden mi chodzi po głowie. Niewiele wyniosłem z moich siedmiu miesięcy w Amsterdamie, ale to, co w każdym razie jeszcze wiem, to, że wiersz niemal zawsze pojawia się po fakcie. Wiersz (jak to możliwe, że kupa gnoju przede mną ustąpiła miejsca energicznemu wykładowcy literatury współczesnej z jego skołtunionymi lokami, sowimi okularkami, jakby sam był poetą) to „zagęszczona rzeczywistość”, „zdarzenie rozłożone na części pierwsze”, „sublimacja”. Tematem wiersza nigdy nie jest to, czego wiersz pozornie dotyczy (mówił entuzjastycznie energiczny wykładowca literatury współczesnej). Gdybym palił, oparłbym się teraz o ścianę obory i w zamyśleniu – wyobrażam sobie, że palenie to zadumana czynność – zapatrzył się na spokojny wiatraczek Bosmana. Wracam do obory, wciskam rozdzielacz do pompy próżniowej i podwieszam dojarzę jedenastej krowie.

Po dojeniu napełniam parę wiader wodą. Opróżniam je w zbiorniku, który stoi za płotem na pastwisku osłów i dorzucam parę marchewek. Osły nie od razu podchodzą do ogrodzenia, ale podbiegają, bok przy boku, w moją stronę. Te zwierzaki należą do mnie, naprawdę do mnie, kupiłem je. Wszystko inne nie jest w rzeczywistości moją własnością – krowy, owce, nawet kury lakenfelderki są spadkiem. Stary opel kadett, kupa gnoju, wierzby rosochate; jeżdżę nim, wyrzucam na nią gnój, ogławiam je, ale nie należą do mnie. Jestem dzierżawcą i zajmuję się czymś, czym powinien zajmować się kto inny.

Słońce świeci, prawie nie ma wiatru. Wiosna. Na połówce bocznej ściany domku parobka coś błyszczy. To mógłby być ślad ślimaka. Niedobrze, myślę sobie, że mam ochotę na wiersz. To przez to, że Henk wczoraj coś powiedział. Marchewki znikają z chrzęstem w oślich pyskach. Drapię bydlaki za uszami. Przystaję, niemalże w roztargnieniu, dopiero wtedy, gdy same mają dosyć i zaczynają potrząsać łbami. Potem, o wiele za późno, oporządam cielęta. Henk nie wstał z łóżka.

Ojciec coraz bardziej szarzeje. Już tydzień nie je, pije tylko wodę i sok pomarańczowy, a tego ostatniego coraz mniej, bo „taki jest cierpki”. Bardzo rzadko na dnie kaczki sanitarnej znajduję odrobinę ciemnożółtego moczu. Dostał jednak to, czego pragnął: ostatnią wiosnę. Już od paru dni jest słonecznie i ciepło, a pączki osiki nabrzmiwiają, przez co zmienia się ona w kostuchowate drzewo. Głos ojca słabnie, choć nie wiem, czy to dlatego, że przestał jeść. Jak długo coś takiego trwa? Wydaje mi się, że jeśli ciało jest krzepkie, może przetrzymać parę tygodni bez jedzenia. Zaglądam do niego częściej niż do tej pory i zdarza mi się najeść się strachu, bo jego głęboki sen przypomina śmierć. Często pyta o Henka. Rozmawia z nim. Wczoraj nie wytrzymałem i zakradłem się za Henkiem na podest.

– Jak tam leci z umieraniem, panie Van Wonderen? – zapytał z ożywieniem Henk.

– Bardzo dobrze – odpowiedział równie raźnie, choć cicho, ojciec.

Potem Henk musiał przynieść strzelbę, bo przez jakiś czas rozmawiali o jej działaniu. Henk zapytał ojca, do czego strzelał. Do zajęcy i bażantów, dawno temu. I czy odrzut lufy o ramię mocno boli. Tak i nie, dało się wytrzymać. A czy broń była naładowana. Nie, oczywiście, że nie. W takim razie gdzie leżały kule („naboje”, poprawił ojciec, po czym głośniejszym głosem powtórzył „naboje!”). W szafce w sieni, obok ubikacji. A jak się ładuje broń? Trzeba unieść ten dzyndzelek, potem otworzyć, wsadzić do środka dwa naboje i zamknąć z powrotem. Czy oba naboje wylatują z lufy jednocześnie? Nie, ma się dwa strzały, a łuski zostają w środku. No to jak to działa? Trzeba je, po wystrzeleniu, samemu wyjąć. Albo wytrzepać. Broń stanęła znowu na swoim miejscu, pod stojącym zegarem; usłyszałem, jak metal stuka o drewno. Potem przez chwilę panowała cisza.

– Jesteś miły dla Helmera? – zapytał ojciec w końcu.

– Tak – odparł Henk.

– A on jest dla ciebie miły?

– Ujdzie – odpowiedział Henk.

Ojciec nic na to nie powiedział. „Westchnął, bardzo głęboko. Chyłkiem zszedłem ze schodów.

Do mnie mało się odzywa. Pyta, ile jest już jagniąt albo dlaczego nikt już do nas nie przychodzi. Gdzie się podziewa Ada i dlaczego dawno nie słyszał głosu handlarza bydłem. A

Teun i Ronald? Może brak składników odżywczych teraz naprawdę zaczyna zżerać mu pamięć?

Nie odpisałem Ricie. Nie zadzwoniłem do niej. Henk również nic nie zrobił.

– Co ona w ogóle sobie wyobraża? – mówi. – Niech sobie idzie mieszkać do moich sióstr.

Przeciskam się przez stare graty w Henkowym pokoju. Muszę masę rzeczy przesuwając, by móc otworzyć drzwi wbudowanej szafy. Na najniższej półce stoją pudła kartonowe. *Język i literatura niderlandzka, Uniwersytet w Amsterdamie, wrzesień 1966– kwiecień 1967*, wypisałem starannie na jednym z górnych skrzydełek kartonu. Nie pamiętam, żebym to zrobił; przypominam sobie, że na ślepo powkładałem do pudła rzeczy ze studiów tuż po tym, jak Henk został pochowany. Przenoszę karton na toaletkę matki i szukam historii literatury autorstwa H.J.M.F. Lodewicka. Odkładam na bok pierwszą część (*Od początku do około 1880 r.*). Z drugim tomem (*Od około 1880 do współczesności*) siadam na łóżku Henka. Słyszę, jak ojciec cicho pochrapuje, nawet tego nie potrafi robić ze wszystkich sił. Ponieważ nie wiem, gdzie znaleźć to, czego szukam, kartkuję książkę na chybił trafił. Gorter, Leopols, Bloem, Nijhoff, Achterberg, Warren, Vroman. Nie mam cierpliwości, czytam jedno jedyne zdanie, coś mi przychodzi na myśl lub niedługo przywiedzie („woda zalewa świat, letnia woda i krew, człowiekiem bez ojca jam i nie wiem, gdzie podziać się mam”), niecierpliwie kartkuję dalej, zauważam, że usiłuję wydobyć na wierzch twarze z amsterdamskich miesięcy, jednocześnie słyszę tokowanie łysek, i wreszcie, na stronie 531 znajduję wiersz, który czytam od pierwszego do ostatniego słowa.

pragnąc i ścigając

*Jak to jest, że gdy zamknę oczy
– w łóżku lub w swoich myślach –
natychmiast pod powiekami
widzę twe włosy, nos, twoją pierś?*

Bywa, że swoje odbicie

*oglądam w lustrze łub w szybie,
kiedym cię właśnie widział:
własnego ciała połowę.*

*Choć młodość i piękno z ciebie bije,
czuję, żeś tobie podobny
mój nos, pierś, moje włosy
są pełnym odbiciem twoich.*

Widzę nazwisko poety, ale nie czytam, co też Lodewick ma o nim do powiedzenia ani jak ocenia jego wiersz. To nie ma żadnego znaczenia. Zamykam książkę i odkładam pierwszy tom z powrotem do kartonu.

Gdy z drugim w ręku schodzę po schodach, myślę o Danii.

Henk siedzi na kanapie i ogląda telewizję. Nie siedzi, leży rozwalony, z pilotem luźno zwisającym z dłoni.

Koszulę ma niezapiętą. Wygląda to tak, jakby przejął już cały ten kram.

– Zajrzałeś* już do owiec? – pytam.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Oglądam telewizję.

– Jest druga godzina.

– No i? Wybuchła wojna. Sam zobacz.

Patrzę na obrazy. Budynek otoczony tu i ówdzie palmami. Jakiś wybuch. Puste ulice. Pod spodem napisy. To się dzieje teraz? Wojna na żywo w telewizji? Na którą patrzą chłopcy rozwaleni na kanapach?

– Myślisz, że owce się nią przejmują?

– Usiądź na chwilę przy mnie.

Wbijam w niego wzrok i tak długo patrzę, aż podnosi oczy.

– Idź do owiec – mówię.

Odwracam się i idę do kuchni, gdzie siadam przy biurku. Szukam stronicy 531, biorę notatnik i pióro i zaczynam przepisywać wiersz. Po skończeniu i wyrwaniu strony z bloku zastanawiam się, co ja robię. Wstaję z kartką w ręce i nie wiem, dokąd się zwrócić.

Wyglądam przez boczne okno, przez okno od frontu, patrzę na umyte naczynia na suszarce, na gazetę na stole, słyszę poszum elektrycznego zegara. Ponieważ dochodzi do mnie dźwięk zegara, uświadamiam sobie, że wyłączono telewizor. Stoję tutaj z porządnie przepisany wierszem w dłoni i nie mam zielonego pojęcia, co mam z tym fantem zrobić. Szybko przechodzę przez sień do komory. Wielkimi krokami pokonuję schody. Zatrzymuję się na górnym podeście, by zaczerpnąć powietrza. Ostrożnie otwieram drzwi do pokoju ojca. Śpi. Jego mała głowa spoczywa cicho na poduszce, uszy i nos wydają się bardzo duże, usta – lekko uchylone i zapadnięte. Jakoś jest bardzo zasuszony. Znowu nie wiem, co za chwilę zrobię. Rozglądam się po pokoju i wchodzę na łóżko. Układam przepisany wiersz równiutko na jego piersi. Powoli się unosi i opada.

Coś śmiga na zewnątrz. Śmiga, ląduje i składa w podrygach skrzydła, jak chłop w niedzielnej garniturze, który na próżno próbuje wytrzeć do czysta swe wielkie ręce. Wróciła. Wydają ciche mlaśnięcie. Ogarnia mnie przeświadczenie, że lepiej by było, gdyby nie powróciła.

– Jestem teraz kimś w rodzaju Henka?

Henk przespał parę nocy w swoim pokoiku, ale ta noc najwyraźniej jest zimniejsza niż poprzednie i po raz drugi pakuje mi się do łóżka. Spał już, ale się obudził i pyta, czy jest „kimś w rodzaju Henka”. Janie zasnąłem. Leżałem na boku, patrząc w światło wpadające do sypialni przez żaluzje. Nasłuchiwałem. Przed chwilą ktoś przejechał na rowerze, parę kaczek wylądowało w kanale, krwawodzioby cicho poszczekiwały. Ojciec się odezwał, może przez sen, być może tak jak ja – wpatrując się w ciemność, w swoje zasłony, za którymi na znajomej gałęzi drzemie wrona siwa. Leżałem nie do końca rozluźniony, teraz czuję, jak moje ciało ogarnia jeszcze większy niepokój. Wiem, o co mu chodzi, ale nie odpowiadam.

– No? – chce wiedzieć. – Jestem kimś w rodzaju Henka?

– Co masz na myśli? – bronię się przed pytaniem.

– Twoim bratem. Jestem teraz jakby twoim bratem?

Dzieje się tu coś zupełnie niefortunnego. Kiedy to się zaczęło?

– Nie – odpowiadam.

Na chwilę zapada cisza.

– Podziwiam twojego ojca, dzielny jest – odzywa się.

Z podenerwowania zaczyna mnie swędzieć łopatka. To takie samolubne ze strony tego chłopca – gadać, kiedy mu się zachce, choćby w środku nocy. Ja muszę wcześniej wstać na dojenie, on sobie leży i wychodzi o jakiejś ósmej do cieląt. O ile wychodzi.

– Mógłbyś też nazwać go tchórzem – mówię.

– Jak to?

– Nie zrozumiesz tego.

– Aha.

– Śpij – mówię.

Wciąż leżę na boku, choć chętnie bym zmienił pozycję. Gapię się na deszczułki żaluzji, ale widzę głowę Ady wychodzącej zza rogu drzwi kuchennych. Patrzy łobuzersko i mówi, że w dużym łóżku „miałbym mnóstwo wolnej przestrzeni”. Potem spogląda wieloznacznym wzrokiem, co już teraz śmiesznie wygląda, z tą jej zajęczą wargą. „Dwie poduszki, Helmer. Dwie poduszki”. Kiedy mi się zdaje, że już zasnął, obracam się na plecy, co likwiduje

swędzenie. Patrzę na ciemną ramę obok drzwi. Chciałbym sam być w tej ramie i myśleć o tutaj.

– Mnie się wydaje, że tak to właśnie jest – odzywa się na pół śpiąco. – Że jestem w pewnym sensie Henkiem.

Boże, co jeszcze! – myślę.

Jakiś czas potem zasypia, a ja myślę o rowie melioracyjnym i owcy. U jednej z owiec wykot trwał za długo i wczoraj usunąłem dwa martwe jagnięta. Czy to była ta, która wpadła do wody? Próbuję sobie przypomnieć, co myślałem lub widziałem; co się ze mną działo w ciągu dwóch czarnych minut między topieniem się a odzyskaniem przytomności. A może to nie były minuty? Czy Henk też się tak czuł? Czy może stracił przytomność, zanim samochód wpadł do wody? Zauważam, że splotłem i złożyłem dłonie na wysokości żołądka. Jakbym leżał na katafalku. Chciałbym się przewrócić na prawy bok, ale tam leży Henk, więc znowu kładę się na lewym. Na dworze jest zupełnie cicho.

Jak on to robi? Pyta ojca, jak mu „idzie umieranie”, jakby go pytał, czy jeszcze raz polać mu ziemniaki sosem. Albo jak ojciec to robi? Odpowiada: „Bardzo dobrze”, jakby spoglądał zadowolony, jak sos spływa mu po ziemniakach.

Magnolia zakwitła. Jak poroczyk na szalandze. Wielkie kwiaty nie są ani białe, ani czerwone, ale różowe z białą obwódką. Gdyby domek parobka jeszcze stał, czubki gałęzi dotykałyby okienek w dachu. Jest początek kwietnia i mija wiosna. Słońce świeci, ale jest zimno, a w nocy temperatura spada poniżej zera. Mimo to kwitnie magnolia. Drzewo nic sobie z tego nie robi, a mróz zdaje się nie szkodzić kwiatom. Kiedyś, dawno temu, może wtedy, gdy w domku mieszkał parobek, w nocy mróz zwarzył wszystkie kwiaty. Dwa dni po nocnym przymrozku zbrązowiały jak poparzone, a płatki kwiatów, które w normalnych warunkach po kolei spadają z gałęzi, nie opadły. Jest nieprawdopodobnie jasno, z pokoju ojca widać latarnię morską w Marken. Od północy lub północnego wschodu wieje wiatr. Z Danii.

– Po śmierci twojej matki – mówi ojciec – ostateś się tylko ty.

Spoczywa na boku, bo powiedziałem, że nie może przez cały czas leżeć na plecach. Kartka z wierszem leży obok łóżka, częściowo pod szafką nocną, niezapisaną stroną do góry.

– A teraz wszyscy już odeszli. Chociaż handlarz byłem ledwo co się odzywał, chętnie bym sobie jeszcze raz z nim pogadał.

– Ten to pewnie już jest w Nowej Zelandii – mówię bar – dziej do siebie niż do ojca.

– Życie to takie bagno. Ada nie pokazuje się tu już od paru tygodni, bo podgląda cię przez lornetkę, a ty ją. A czemu Teun nie przychodzi? To taki miły chłopak. Co ty wyrabiasz, Helmer?

– Ja?

– Tak, ty.

Wyglądam przez okno.

– Osika wypuściła pączki – mówię.

– Ile masz już jagniąt?

Nieważne, co by się wydarzyło, nie chce stracić rachuby.

– Czternaście.

– Na?

– Dziesięć.

Wzdycha.

– Nikt nie mógł Henka od ciebie odróżnić, fryzjer nie, wasz wychowawca też nie, wasi dziadkowie. Sam czasem musiałem się wam dobrze przyjrzeć. Tylko twoja matka i Jaap zawsze wiedzieli, który jest który. Jaap zawsze wiedział, że ty to Helmer, a Henk – Henk. Jak on to robił? Co on widział, czego inni nie widzieli? Nigdy mu nie dowierzałem. – Leży na krawędzi łóżka. Jego paznokcie dawno nie były obcinane, szponiasta dłoń zwisa z łóżka. Porusza palcami, jakby sięgał po wiersz. Dziwi mnie, że tyle słów może wyjść z człowieka, w którym tli się resztką życia. Ponieważ łóżko stoi na szpulkach, te szukające opuszki palców nigdy nie dotkną podłogi. Potem opada na plecy, ramię idzie za ruchem ciała i pada obok niego na koc jak sucha gałąź. Lekko ziej. – Nie wiem, co się tam działo w domku parobka, ale cieszyłem się, gdy wyjechał – wypowiada niemalże niedostłyszalnie.

– Co?

– Całowanie – wzdycha. – Mężczyźni się nie całują.

Do tej pory nie zwróciłem uwagi na tykanie stojącego zegara. Tyka nieregularnie, powoli. Już dawno nie naciągałem ciężarków.

– On... – Daję spokój, daję mu spokój.

Wstaję i otwieram szklane drzwiczki zegara. Po naciągnięciu ciężarków tykanie brzmi jak dawniej.

– Nigdy nic nie powiedziałem – odzywa się ojciec. – Ty nigdy nie powiedziałaś, że nie chcesz.

– Nie miałaś wielkiego wyboru.

Wracam do okna i sunę wzrokiem wzdłuż tamy, aż znowu dostrzegam latarnię morską.

– Nie.

Odchrząkuję.

– Ja też nie miałem wielkiego wyboru.

Na to nic nie odpowiada. Wciąż lekko ziej.

– A teraz jest tu Henk.

Nasypem tamy, powoli, jedzie samochód. W oknach odbijają się promienie słoneczne, wygląda to tak, jakby słońce świeciło z samochodu. Słoneczny pojazd.

– Nie wiem, czy to taki dobry pomysł – odzywam się wreszcie.

– Może i nie, nie – odpowiada ojciec.

Słoneczny pojazd przejeżdża zakręt i zmienia się na powrót w samochód. Odwracam

się.

Ojcu opadają powieki, ale gałki jego oczu wciąż się poruszają.

– Prawie... – wypowiada. Następuje długa cisza. – Prawie już nie mam ciała.

Wiedziałem. Wiedziałem, że przeczytał wiersz.

–A tak w ogóle jak się nazywasz?

– Greet.

– Ja jestem Helmer van Wonderen.

Przygląda mi się bezczelnie.

–Tak, wiem.

– A na nazwisko?

– A co ci do tego? Prowadzę tylko cysternę mleczarską.

– W porządku – odpowiadam. – Świetnie.

Greet się pochyla i odkręca wąż od zbiornika mleka. Nosi sportowe buty, ale nie cofa stóp przed resztką mleka, która leje się ze zbiornika i z węża.

– Co słyhać u twojego chłopaka? – pyta.

– Mojego chłopaka?

– Twojego parobeczka.

– Henka?

– Skąd mam wiedzieć, jak się nazywa?

– Dlaczego o to pytasz?

– Tak sobie.

– Według mnie to dziwne pytanie.

– Tak?

Skończyła i rusza w kierunku szoferki. Gramoli się do niej. Młody kierowca wskakiwał zawsze jak kot, w locie otwierając drzwiczki. Greet wspina się, zijeje, czepia się, podciąga do góry. Musi dwa razy pociągnąć za drzwiczki, by się dobrze zatrzasnęły. Już jej nie widzę, ale wyobrażam sobie, że przesuwam swój gruby zadek tam i z powrotem i dopiero gdy się wygodnie usadowi, zabiera się do zmiany biegów, sprzęgło i pedał gazu. Po jakimś czasie, kiedy w zlewni znowu robi się cicho, zaczynam sfluksiwać węzem zbiornik i kafelki.

Polem ktoś idzie. Na wysokości wiatraczka Bosmana. Stoję przy ogrodzeniu nad groblą i widzę, że ten ktoś zmierza do zagrody. Robi się coraz większy i jednocześnie coraz mniejszy. To Ronald.

– Tam jest zupełnie mokro – mówi, gdy staje przede mną.

– O to właśnie chodzi, Ronald – odpowiadam.

Prawie nie pamiętam o deszczu, wczoraj wieczorem widziałem w telewizji, że z powodu suszy palą się wydmy i wrzosowiska, a mimo to ziemia przy wiatraczku namaka. Tutaj nie ma wydmy ani wrzosowiska, tu są łąki torfowe.

– Dlaczego?

– Ze względu na ptaki, one lubią taki podmokły teren.

– Aha.

Nadal stoi po drugiej stronie ogrodzenia.

– Nie chcesz przejść przez ogrodzenie?

– Chcę.

Rozgląda się wokoło.

– Ładna pogoda, co?

– Jak w lecie.

– Tak. A to dopiero kwiecień.

– Jak tam ogródek twojej mamy?

– A co z nim?

– Robi się coraz ładniejszy?

– Pewnie. Gdzie jest Henk?

– Pojechał do Monnickendam, po papierosy.

– Na rowerze?

– Tak.

– Palenie jest złe, prawda?

– Bardzo złe. Ale niektórym smakuje.

– Dlaczego nie pojechał samochodem?

– Bo nie ma prawa jazdy.

– Boi się?

– Coś ty. Ma dopiero osiemnaście lat.

– A ty ile masz?

– Dużo.

– Co zrobisz z głową Henka?

Wciąż stoi za ogrodzeniem.

– Co masz na myśli, Ronald?

– Szwy.

–Wyjąłem je.

– A nie miał tego zrobić lekarz?

– Nie, to bardzo proste.

– Aa.

Patrzy trochę nieszczęśliwie i stawia stopę na najniższej deszczułce ogrodzenia. Podnoszę go pod pachy i pomagam mu przejść.

– Idę do domu – mówi.

– Dobrze.

–Jeszcze tylko wpadnę do osłów.

Przechodzi podwórzem na pastwisko osłów. Zwierzaki kręcą się w okolicy dawnego domku parobka i nadbiegają, gdy dostrzegają go przy ogrodzeniu. Ronald przekłada obie ręce pomiędzy szczebelkami płotu i drapie oba osły pod brodą. Kiedy przestaje, natychmiast się oddalają. Wykorzystują górną deszczułkę płotu, by się drapać pod brodą. Ronald odchodzi powoli, kopie przed sobą kamyczki. Ani razu się nie odwraca w moją stronę.

Niewiele się zmieniło, gdy widzę Henka nadjeżdżającego na rowerze. Wciąż stoję przy ogrodzeniu nad groblą, a osły – przy płocie. Na widok Henka zaczynają porykiwać i potrząsać łbami. Nie reaguje na to. Podjeżdża prosto do mnie. Hamuje i wyciąga rękę do mojej głowy. Cofam ją, tak jak on (ile to już czasu minęło?) cofnął swoją, kiedy wrócił od fryzjera, czując, że moja ręka zbliża się do jego krótko przystrzyżonych włosów.

Fuka coś, odstawia rower ojca pod ogrodzenie i zdejmuje kurtkę. Zawieszają na płocie, a potem wyjmuje nową paczkę papierosów z wewnętrznej kieszeni.

– Upał nie do wytrzymania – mówi, zdiera celofan z paczki, unosi pokryweczkę i wyjmuje papierosa. Z kieszeni na tyłku wystaje zapalniczka. Zapala papierosa i zaciąga się głęboko, zachłannie. Tak jak wszystko jest w nim zachłanne. – Upał nie do wytrzymania – powtarza.

– A to ciągle nie lato.

– Nie – mówi. – Do lata jeszcze daleko.

Po kolacji Henk idzie z talerzem na górę. Sprzątam ze stołu i zaczynam zmywać. Wraca na dół – bez talerza – w chwili, gdy wytarłem ostatni nóż.

– Jeszcze nie umarł, wiesz – śmie powiedzieć.

Odwracam się do niego, wciąż z połyskującym nożem w prawej dłoni i wilgotną ścierką na ramieniu.

– Henk – odzywam się. – Przymknij się.

– No co ty...

Otwieram szufladę ze sztućcami i wrzucam nóż do środka.

Wieszam ścierkę na oparciu krzesła i idę do komory.

– Dokąd idziesz? – woła za mną.

Nie odpowiadam mu. W oborze krowy spokojnie przeżuwają. W owczarni też jest spokój. Zakasuję rękaw, najmocniej, jak to możliwe, ściskam dłoń i obmacuję ciepławe kłębowisko nóg, korpusów i łbów. Jest ich trzy, to pierwsza owca z trojaczkami. Numer osiemnaście. Ich wyciążnięcie trwa parę minut. Jedno jest martwe. Zawsze szkoda martwego jagnięcia, ale jeśli rodzą się trojaczki, to prawie zawsze oznacza, że co najmniej jedno trzeba będzie dokarmiać butelką. Jak dotąd, przy dwóch owcach, które muszą się jeszcze okocić, jakoś nie zdarzyły się jagnięta odrzucone przez matkę. Ronald już się skarżył, lubi być zaprzątnięty w butelki i smoczki. Jego ojciec nie trzyma owiec. Przenoszę dwa żywe jagnięta na stronę porodówki, a potem otwieram część ogrodzenia, by przegnać na tę stronę owcę maciorkę. Martwe jagnię kładę na zewnątrz owczarni obok martwego z wczoraj. Jutro rano muszę zadzwonić do zakładów utylizacyjnych. Dwadzieścia dziewięć na osiemnaście. Mogło być lepiej.

Kiedy wracam do domu, od razu kieruję się do łazienki. Zakręcam krany dopiero po opróżnieniu się bojlera. Wycieram się i okręcam ręcznik wokół bioder. W domu jest cicho. Henk nie siedzi przed telewizorem, ale przy stole kuchennym, plecami do bocznego okna. Zasłona jest zaciągnięta. Pali. Poza popielniczką pełną petów na stole nie ma nic. Wchodzę do salonu.

– Dokąd idziesz? – pyta.

– Do łóżka.

– No to – woła naburmuszony – ja też idę do łóżka.

– Własnego – uściślam.

– Na górze?

– Tak, twoje łóżko stoi na górze.

– Ale...

– Co za ale?

Dochodzę do drzwi sypialni.

– Nic. Nic a nic.

Zamykam za sobą drzwi sypialni i stoję przed mapą Danii.

– Elslynor – mówię. – Stenstrup, Esrum, Blistrup, Tisvildeleje.

Pięć powoli wypowiedzianych nazw dzisiaj mi nie wystarcza. Dodaję parę wysepek.

– Samsø, Aerø, Anholt, Møn.

Czeka na mnie duże łóżko. Kiedy odkrywam kołdrę, czuję zapach Henka. Kładę się i pociągam za sznureczek nad głową. Zapada ciemność. Słyszę, że wchodzi do salonu, słyszę, że podchodzi do drzwi sypialni. Oddycha przed zamkniętymi drzwiami, ja oddycham tu, w łóżku. Potem oddala się spod drzwi. Po paru chwilach włącza się telewizor. Do sypialni, przez szczeliny, przedostaje się dym papierosowy. Gwałtownie rozdziera się paczka chipsów. Godzinę później telewizja gaśnie. Włazi po schodach i z hukiem zamyka drzwi do nowego pokoiku. Nie myśli o ojcu, nie myśli o mnie. Jest młody i myśli tylko o sobie.

Masz rację, Rito: jestem kłamcą i oszustem. Powiedziałem, że ojciec nie żyje, bo pomyślałem, że inaczej nie przyjedziesz. A chciałem, żebyś przyjechała. Chciałem Cię zobaczyć i chciałem rozmawiać o Henku. Byłem Ciebie ciekaw. Tak jak, zakładam, Ty byłaś ciekawa mnie. To był powód. Ale o nic mnie nie pytałaś, mówiłaś tylko o swoim stosunku do Henka. To mnie zabolalo. Dawno temu czułem się zapomniany i teraz na nowo tak się poczułem.

Ja też mógłbym postawić pod znakiem zapytania motywację, którymi się kierowałaś, gdy powierzyłaś Henka mojej pieczy. Każdy czegoś chce, ale to, czego Ty chcesz, nie do końca jest dla mnie jasne. Uznałaś, że potrzebuje osoby ojca? Hm, gdyby było trzeba, mógłbym pełnić różne funkcje, ale ojcem nie jestem. Ani stryjem. Jestem synem. Jestem bratem. Ale nad tym już nie chcę się rozwodzić. Wydaje mi się, że „wiek nauki” Henka już minął, nie, chodzi mi o to, że jestem pewien, że nadszedł czas, by wrócił do Brabancji. Do Ciebie, a może do czegoś, co sam uzna za swoje. Jest już tutaj dwa i pół miesiąca i wydaje mi się, że sporo się nauczył, i nie myślę tylko o opiece nad bydłem albo o innych czynnościach gospodarskich. Dobrze się dogaduje z ojcem, ostatnimi czasy regularnie ze sobą rozmawiają, ale o tym, być może, wcale nie chcesz słyszeć. Niezależnie od wszystkiego: musi stąd wyjechać.

Według mnie nie aż tak wiele rzeczy w nim nie gra lub mu nie pasuje. O ile coś takiego jest, moim zdaniem sam z tego wyjdzie. Z czasem. Ja nic więcej nie mogę dla niego zrobić. Ty jesteś jego matką. Odpowiedzialność za niego to Twoja sprawa. Proponuję, byś przyjechała po niego. Mnie się trudno wyrwać ze względu na krowy i owce. Czy żadna z Twoich córek nie ma samochodu? Zadzwońię do Ciebie, żeby się dokładnie umówić co do dnia i sposobu. Bardzo możliwe – i teraz nie kłamię – że ojca już wtedy nie będzie. Ma już wszystkiego dosyć od pewnego czasu odmawia jedzenia.

Pozdrowienia

Helmer van Wonderen

Pewne rzeczy przestały mnie już dziwić. Henk nie wstał z łóżka, więc dzisiaj rano dopiero po dziewiątej usiadłem za stołem w kuchni. W owczarni stan urodzeń osiągnął wynik trzydzieści na dziewiętnaście. Jeszcze tylko jedna owca. Po śniadaniu nastawiłem kawę i usiadłem przy biurku, by napisać do Rity list, który podpisałem pełnym imieniem

i nazwiskiem. Być może zrobiłem to, by uświadomić jej, że się nie wygłupiam. List znajduje się już w kopercie ze znaczkiem i trochę później wrzucę go do skrzynki.

Siedzę w salonie na kanapie. Matka patrzy z kominka, jak palę papierosa. Ponętnie, wyniośle i czujnie już patrzyła, a teraz oczywiście z przyganą. Słońce ładnie wpada do pokoju przez wąskie deszczułki żaluzji. Henk zostawił wczoraj swoją paczkę papierosów przy kanapie. Wyglądam śmiesznie z zapalonym papierosem w dłoni – widzę to w lustrze. Papieros z filtrem jest szczupły i elegancki, moja ręka – kanciasta i masywna. Niezależnie od pozycji, w jakiej trzymam papierosa, dym niezmiennie leci mi w lewe oko, które łzawi. Spoglądam jeszcze raz na matkę. To niemożliwe, wiem to: zdjęcie to zdjęcie, a matka nie żyje, ale i tak wydaje mi się, że teraz jej twarz wykrzywia nawet kpiący uśmiezek. Bardzo możliwe, że jestem typem faceta, do którego bardziej pasują skręty.

Ojciec śpi. Nie chrapiąc. Jego pierś, albo to, co z niej zostało, bardzo delikatnie unosi się i opada. Muszę się dokładnie przyjrzeć, inaczej mi to umyka. Właściwie najwyższy czas, by wziął prysznic, ale już nie śmiem tego robić. Wolałbym uniknąć tego, by – jak matka – zmarł w łazience. Dwoje rodziców, którzy umierają w łazience, o nie. Na szafce nocnej stoi talerz z nietkniętym jedzeniem, które Henk wczoraj wieczorem mu przyniósł. Parę suchych ziemniaków, rozgnieciona fasolka szparagowa, kotlet mielony. Obok talerza – szklanka wody, z której ledwie co upito. Porusza się.

– Henk? – mówi z zamkniętymi oczami.

O którego Henka mu chodzi? – zastanawiam się. Śnił o swoim synu?

– Nie, to ja – mówię.

– Paliłeś?

– Tak.

Otwiera oczy i patrzy na mnie.

– Ale z ciebie dziwadło – mówi cicho.

– Ta.

– Wiesz, o czym nie przestaję myśleć?

– Nie.

– O naszej przejażdżce po Morzu Gouw. Pamiętasz?

– Tak. Łódź na osiemdziesiąt centymetrów.

– Chciałem wjechać na jezioro IJssel, ale się nie odważyłem. Godzinami staliśmy na falochronie.

– Godzinami? Bez przesady – mówię.

– Dla mnie to tyle trwało. – Znowu zamyka oczy. Jego ramiona leżą wzdłuż ciała jak nogi zdechłego cielaka. – Nie ośmieliłem się – szepcze. – Nie ośmieliłem.

Nic nie mówię, słucham.

–A wyście siedzieli jak jeden mąż na środku tylnego siedzenia.

Wstaję, wygląda, jakby znowu zasnął i śnił o zimie polarnej sprzed czterdziestu lat.

– Helmer? – odzywa się, gdy jestem już przy drzwiach.

– Tak?

– Chcę być pochowany przy matce i Henku. Dopiero potem zamieść nekrolog w gazecie.

– Jesteś pewien? Chcesz, by nikogo przy tym nie było?

– Nikogo.

– Dobrze – odpowiadam.

– I chcę jajko.

– Co takiego?

–Jajko na twardo.

– Od tygodni nic nie jadłeś. To cię zabije.

– Roześmiałbym się, gdybym mógł. Mam ochotę na jajko.

– Za chwilę ci przyniosę.

Zamykam drzwi i przecinam sień. Czy robię słusznie? – zastanawiam się. Jak ojciec umrze, zostanę sam jak palec, myślę, gdy kładę dłoń na klamce drzwi do nowego pokoiku. No, to do dzieła! – myślę, otwierając drzwi.

Weluks wychodzi na północ i to sprawia, że światło w nowym pokoiku jest dziwne. Wpada do środka tylko w czerwcu i w lipcu, późnym wieczorem. Henk jeszcze nie wie, że na zewnątrz, intensywniej niż wczoraj, jest już lato. Ja też jeszcze nie wiem, co mam mu dać dziś do roboty. Kołdrę w granatowe litery i cyfry ma naciągniętą aż po uszy.

– Henk.

– Świnia.

– Co mówisz?

– Mówię świnia.

– No, no.

– A co, może nie?

– Nie wiem.

Kołdra się zsuwa. Ukazuje się jego naga pierś, ramię porusza się w kierunku nocnej szafki. Skrawek gazety, który dawniej służył za zakładkę, leży na okładce książki.

– Zostawiłeś papierosy na dole.

– Jasna cholera.

Składa ramiona jedno na drugie i wgapia się w ścianę naprzeciw łóżka.

– Po coś tu właściwie przyszedł?

– Nie oporządziłeś cielaków dziś rano.

– No i?

– Sam już to zrobiłem.

– Dobrze ci tak.

– Poza tym po nic nie przychodzę.

– No to wyjdź.

– Dobrze.

Odwracam się i wychodzę do sieni. Zapomniałem o papierosach, mogę zejść na dół i spokojnie poczekać.

Trochę przed dwunastą schodzi po schodach, ubrany i w porządku. Natychmiast kieruje się do salonu i zapala papierosa. Potem wchodzi do kuchni, napełnia dzbanek ekspresu do kawy wodą, nasypuje lawy do filtra i staje pod bocznym oknem.

– Co to w ogóle za pogoda? – odzywa się po chwili.

Woda, bulgocząc, przelewa się przez ekspres.

– Ładna – odpowiadam.

– Wygląda jak lato.

– Nawet nie byłeś jeszcze na dworze.

Nie rusza się spod okna do czasu, aż woda w ekspresie się przeleje. Nalewa sobie kawy do kubka i siada przy stole kuchennym. Nie pyta mnie, czy i ja bym się nie napił.

– Nie chcesz nic zjeść?

– Potem.

– Masz jakieś plany na popołudnie?

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Plany?

– Tak.

– Nie mam.

– W Broek jest mała wypożyczalnia kajaków, czynna nie tylko w sezonie. Jak się na mnie powołasz, dadzą ci kajak. Facet ma też mapy. Wschodniego Waterlandu.

– Kajak. – Zapala nowego papierosa i patrzy przez okno na kanał.

– Musisz wykorzystać taką pogodę.

– Jak tam dojechać?

– Na końcu drogi w prawo, przez cały czas prosto, a w Broek to siódmy dom po lewej stronie. Możesz pojechać tą drogą, która tędy przebiega.

– Chcesz się mnie pozbyć? – pyta.

– Dlaczego? Nigdy nie wychodzisz. Ledwie co byłeś w Monnickendam.

– I tak jesteś świnią.

– Na pewno. Może i jestem.

Zanim wsiądzie na rower, daję mu 50 euro w banknotach po 10. Jego wiatrówka tkwi w plastikowej siatce przewieszanej przez kierownicę. Wyjeżdża z podwórza szerokim łukiem. Idę do kurnika i bez pośpiechu zbieram cztery jajka. Wnoszę je do środka, wkładam do pustego kartonowego pojemnika i stawiam obok kuchenki. Zdejmuję kombinezon, kładę się na kanapie i zamykam oczy. Minie trochę czasu, nim się tu zjawi.

Jest 16 kwietnia i chłopak nadjeżdża w kajaku. Nie zdarza się to często, z pewnością nie tak wcześnie w sezonie, ponieważ szlaki kajakarskie nie przebiegają obok mojej zagrody. Chłopak odsłonił tors, jest niezwykle ciepło jak na tę porę roku. Stoję z boku domu, od północnej strony, wciąż niezauważony. Ponieważ jest sam, nie odzywa się, nie komentuje mojego gospodarstwa, drzew ani moich dwóch osłów. Na gałęzi krzywej osiki siedzi wrona siwa. Zajęta jest swoimi piórami i od czasu do czasu wyjmuje wielki dziób spod skrzydła, by obserwować przepływający kajak. Wiosło nie pluszcze między nenufarami w wodzie – nenufarów w kwietniu nie ma. Nie ma też zaaferyowanych krwawodziobów; po lądzie, na drugiej stronie kanału kroczą dwa ostrygojady, spokojnie sobie żerują. Chłopak jest rudawy, a jego ramiona są opalone na czerwono, nie docenił siły promieni wiosennego słońca. Wiosło ułożył przed sobą, skapuje z niego woda. Kajak sunie powoli do przodu. Nie wiem, w którą stronę się ruszyć; po pustej, północnej stronie domu nie ma nic, czym mógłbym się zająć. Nie chcę też donikąd się ruszać. Chcę tu stać i zostać dostrzeżony.

Spostrzega mnie. Czubek jego kajaka wbija się w nasyp kanału. Patrzy na mnie i na okienko w dachu. Patrzy na wronę siwą, na drzewa okalające podwórze, a nawet – choć krótko – na dwa osły, które przystanęły zaciekawione przy nowym ogrodzeniu wzdłuż drogi. Nie mogę się zorientować, czy jest zdziwiony moim widokiem. Nie podnosi dłoni, ja również tego nie robię. W najlepszym razie widzi to, co widzi, jak starą, pożółkłą pocztówkę, z budynkami, ludźmi, zwierzętami i drzewami, na której czas się zatrzymał. Coś, co można chwilę potrzymać w dłoni, a potem odłożyć. Miejsce, w którym oprócz tego nie ma czego szukać.

Potem ujmuję wiosło i odpycha kajak od nasypu. Chwilę później skręca w prawo, w kanał opperwoudzki. Musiał uważnie przestudiować mapę. Kanał ten wpada do Wielkiego Jeziora. Za nim jest wąski rów, którego nazwy nie znam, a który dochodzi do Uitdammer Die. Za Uitdam leży jezioro IJssel.

Wchodzi do obory, kiedy prawie skończyłem doić. Zatrzymuje się tuż za rozsuniętymi wrotami. Spowija go światło słoneczne, widzę tylko jego zarys. Czuję ciężar moich dwudziestu krów, ciężar słomy na górze, na stryszku, ciężkich czworobocznych bali, dachówek (z których ani jedna nie leży krzywo) i schludnie przyciętych wierzb. Z trudem trzymam się prosto.

– Naprawdę chcesz, żebym odszedł? – pyta.

– Tak – przyznaję i opuszczani dojarke na ziemie.

– Jasna cholera.

Kiedy przyleca jerzyki? A moze juz sa? Nad tym sie zastanawiam. Stracilem rachube czasu. Na zewnatrz jest lato.

52.

– To już prawie koniec – mówi ojciec.

– Tak – odpowiadam, myśląc o tym, co było wcześniej tego dnia. Okno jest otwarte na oścież. Poprawiam się: – Tak?

– I nie dostałem wiosny, ale nawet lato.

– Zjesz swoje jajko?

– Za chwilę. Najpierw sobie na nie popatrzę.

Nawet mu to jajko obrałem. Leży na talerzyku deserowym, a obok talerzyka stoi solniczka. Przed otwartym oknem tańczą muchy. Usiadłem w nogach łóżka. Powiedział, że najpierw popatrzy na jajko, ale patrzy na mnie. Kartka już nie leży pod szarką nocną. Zastanawiam się, gdzie się podział wiersz.

– Dasz sobie radę sam?

– Chyba tak.

– Jesteś dorosłym mężczyzną.

– Połową dorosłego mężczyzny.

Teraz patrzy na jajko, jakby stało przed nim ciastko z marcepanem. U piekarza z Monnickendam nazywa się ono Zameczek. Dawniej, w sobotę, chciało mu się czasami specjalnie jechać do miasta po takie cztery. Może czasem kupował i pięć. Później trzy, a gdy matka zmarła, bardzo rzadko zdarzało mu się dwa. Nigdy mu nie powiedziałem, że Zameczek nie jest moim ulubionym ciastkiem.

– Byłem drugim wyborem – mówię. – To było najgorsze.

Wiecznie to poczucie, że się nie jest dostatecznie dobrym.

– Ja też zawsze robiłem tylko to, co w mojej mocy – odzywa się.

– Ja nie?

– Oczywiście, że tak. Ty też.

Jest w nim o wiele więcej życia niż tego ranka.

– Gdzie jest Henk?

– Nie wiem. Chyba na dworze.

Chcę go o coś zapytać. Jest coś, na co – niezależnie od wszystkiego – chcę otrzymać zgodę.

– Mam...– zaczynam.

Wstaję, klękam i wsadzam głowę pod łóżko. Leży tam wiersz, cały w kurzu. Wstaję i znowu siadam na łóżku, blisko jego stóp. Wciąż wpatruje się w jajko, teraz już nieco lękliwie.

– Mam zwinąć ten kram, ojciec?

– Jak uważasz, chłopcze. Jak uważasz. – Zakrzywionymi pazurami ujmuje talerzyk z nocnej szafki i stawia go sobie na podołku. Jajko stacza się na koc. – Śmierć to śmierć – mówi. – Koniec kropka i będę miał święty spokój. – Ucapia jajko i porządnie odkłada na talerzyk. – Sam musisz się rozeznąć, co będziesz wolał zrobić.

Wstaję. Nie mogę się przyglądać, jak zjada to jajko.

Od tygodni słowem nie wspomniał o wronie siwej. Jakby zapomniał o ptaku.

Na dworze Henka nie ma. Stoi w kuchni, oparty o szarkę kuchenną. W prawej ręce rozdarta w pośpiechu koperta, w lewej – mój list do jego matki, który właściwie powinien się znaleźć w skrzynce przed zabraniem poczty. Już wygląda inaczej; jest dokładnie taki sam, a jednak inny, tak jak dom wydaje się dziwny po jednym dniu, który się spędziło w miejscu, do którego nie nawykliśmy. Gospodarstwo wydawało mi się inne po pogrzebie starego kierowcy cysterny, po jeździe na łyżwach po Wielkim Jeziorze i po tym, jak odebrałem Ritę z promu. Uświadamiam sobie, że dokładnie to sobie pomyślałem po powrocie do domu, kiedy pojechałem po Henka. Wciąż nie wiem dlaczego. Być może, ponieważ samemu się postarzało, choćby o parę godzin (do takiego wniosku sam doszedłem), a w domu wszystko pozostało nieruchome, z wyjątkiem wskazówek na zegarze. Pozbycie się czasu, który się przeoczyło, trochę trwa. Nie podejść do niego, by powiedzieć, że to nieprzyzwoite otwierać czyjąś korespondencję. Widzę teraz, że też sobie spalił czoło i nos. Odwraca się i w tym obrocie gniecie list. Przypominam sobie ten gest, ale inaczej niż ojciec, prawie czterdzieści lat temu, Henk ma przy sobie ogień. Wyjmuje zapalniczkę z tylnej kieszeni spodni i przytrzymuje płomień pod kartką.

Wypuszcza go dopiero wtedy, gdy prawie parzy sobie palce. List dopala się w zlewie.

– Co to w ogóle był za list? – pyta Henk. – Myślisz, że moja matka coś by z tego zrozumiała?

– Ostatni kawałek na pewno.

– Ten list jest zbędny – mówi. – Ciesz się, że go spaliłem.

– Co to znaczy „zbędny”? – pytam.

Patrzy na mnie i unosi brwi. A potem spokojnie wychodzi z kuchni.

Słyszę, że wspina się po schodach i wchodzi do pokoju ojca. Usiądzie teraz, by przyglądać się, jak ojciec je jajko?

Rozglądam się wokoło. Szemrzący zegar wskazuje dwadzieścia po ósmej. Ugotowałem dla ojca jajko, ale sam nic nie jadłem. Nie wiem, czy Henk już coś jadł. Według mnie słońce nie mogło jeszcze zajść, ale i tak muszę zapalić lampę w kuchni. Lato w kwietniu.

Przed położeniem się do łóżka zaglądam na chwilę do ojca. Nie zapalam światła, z korytarza wpada go wystarczająco dużo, by zobaczyć, że talerzyk deserowy jest pusty. Ojciec leży na wznak i słyszę, jak przez jego nos wchodzi i wychodzi powietrze. Zastony są rozsunięte. Na palcach podchodzę do okna i zaciągam je.

Na dźwięk wystrzału krowy prawie nie reagują. Krowy to dziwne bydlęta, z byle powodu rzucają się do ucieczki, ale na nagły hałas ledwie co unoszą łeb czy się obejrzą. Nie, to nie do końca prawda. Krowa, pod którą trzymam łeb, przewraca oczami. Krowy potrafią tak mocno przewracać oczami, że ukazuje się bardzo dużo białka, co nadaje im taki wygląd, jakby wpadły w totalną panikę. Nie przychodzi im do głowy zwyczajnie odwrócić łeb. Ojciec nie pozwala mi tego mówić, ale dobra: krowy są głupie. Jeszcze głupsze niż owce. Jedyne mądre zwierzaki tutaj to kury lakenfelderlu i dwa osły. Drugi wystrzał jeszcze mniej mnie dziwi niż pierwszy: jeśli jeszcze nigdy nie strzelało się z broni, istnieje duża szansa, że za pierwszym razem się chybi. Wyciągam wąż z rurociągu mlecznego, klepię krowę po boku i odkładam dojarkę na brudną podłogę obory. Dalsze strzały nie następują.

Kiedy otwieram drzwi między komorą a sienią, widzę, że drzwi frontowe są otwarte na oścież. Światło słoneczne od wschodu wpada prosto do wejścia, miedziane końcówki łusek naboju błyszczą w pudełku. W sieni pachnie kwaśno, kwaśno i metalicznie. Drzwi do kuchni też są otwarte, wszystkie drzwi stoją otworem. Na krześle stoi plecak Henka. Idę do drzwi wejściowych. Na ziemię opada pióro, czarne pióro; spada z osiki, wirując jak nasiono zaopatrzone w aparacik lotny. Musiało pewnie jakiś czas balansować na gałęzi, ponieważ minęły co najmniej cztery minuty od chwili, kiedy usłyszałem wystrzały. Sama wrona siwa siedzi wciąż na swej gałęzi, zwrócona ogonem w naszą stronę. Jakby się obraziła. Rower ojca stoi oparty o żelazną balustradę mostka. Henk stoi pod osiką, mniej więcej na wysokości okna mojego pokoju. Z tej odległości powinien trafić nawet wróbla. Ma na sobie kurtkę. Jest chłodniej niż wczoraj o tej porze, dzisiaj mamy parę stopni mniej lata.

Wymachuje dubeltówką, jakby chciał ją wyrzucić, ale gdy mnie słyszy, stawia ją przy sobie na ziemi, prawą dłońią ściskając zimną lufę.

– Jadę – mówi.

– Dokąd?

– Na pociąg.

– Jak?

– Na rowerze.

Macha w kierunku mostka.

– A jak ten rower tutaj wróci?

– Twój ojciec już go nie potrzebuje – mówi.

– Wiesz, jak masz jechać?

– Według drogowskazów.

Mówi do wrony. Nie patrzy na mnie.

– Masz pieniądze? – pytam.

– Tak – odpowiada. – Masę. Co ja tutaj wydałem? A denny kajak prawie nic nie kosztował.

Wymaga to wiele wysiłku, ale udaje się – odrywa oczy od wrony. Odwraca się i wchodzi do domu. Chwilę później wyłania się z plecakiem. W prawej dłoni wciąż trzyma broń.

– W ogóle jej nie trafiłeś? – pytam.

– Nie. Nawet się nie ruszyła. Jakby nic się nie stało. Jak drugi raz strzeliłem, odwróciła się w podskoku. To nie jest normalne zwierzę.

– Czemu to zrobiłeś?

– Na zasadzie: jak tego nie zobaczę, nie uwierzę. Myślisz, że ja to zrobiłem?

– A kto?

– Naprawdę myślisz, że sam z siebie bym zabił to bydlę?

– Miałeś z nim porachunki – mówię.

Podaje mi broń, Patrzy na mnie i uśmiecha się pogardliwie. Potem idzie w stronę roweru. Myślę, że już nic więcej nie powie.

– Twój ojciec wczoraj wieczorem poprosił mnie, żebym to zrobił. „Zestrzel tego ptaka z osiki”, powiedział.

Też idę na mostek.

– No to sobie pomyślałem: „Dobra, zrobię to”.

– Tak. Sam nie mógł.

– Ty też nie mogłeś.

– Uważam, że twój ojciec jest miły. Miłszy niż ty.

– Bardzo możliwe – mówię.

– I jeszcze mi powiedział: „Potem wyrzuć tę strzelbę do rowu”.

– Ale nie zrobiłeś tego.

– Nie. Bo nagle pojawiłeś się w ogrodzie. I w sumie uważam, że byłoby szkoda.

– Pożegnałeś się z nim?

– Oczywiście, że tak. – Chwyta kierownicę roweru i wyprowadza go na drogę. – Może się jeszcze kiedyś zobaczymy.

– Co masz zamiar zrobić, Henk?

– Nie wiem. Zobaczę.

Wskakuje na siodełko.

– Dzięki – mówi, odjeżdżając.

Przyjechał z jedną blizną, odjeżdża z dwiema.

Mówi „dzięki”. Nie szyderczo, nie jadowniczo. Wymawia to neutralnie. Ale dlaczego to mówi? Nie wiem, co mam odpowiedzieć, więc się nie odzywam. Mocno pedałuje i szybko znika za obejściem Ady i Wima. Drogą nadjeżdża wczesny czwartkowy rowerzysta, starszy człowiek, trochę starszy ode mnie, bez marynarki. Zjeżdża na pobocze i prawie ląduje w kanale, bo nie może oderwać wzroku ode mnie i strzelby. Czekam, aż ponownie porządnie się usadowi na siodełku, a jego rower zacznie sunąć po Unii prostej. Nie wyrzucam broni do rowu, wchodzę na drogę i wyrzucam ją do kanału. Wracając, zatrzymuję się na chwilę na mostku. Wrona się odwraca. Układa sobie pióra i przestępuje z nogi na nogę.

– Czego chcesz? – pytam cicho.

Nie odpowiada.

„Twój ojciec już go nie potrzebuje”. Co powiedziałem parę miesięcy temu, gdy mój wzrok spoczął na ojcowskim rowerze i wpadłem na pomysł, czym najpierw się zajmie Henk? „To rower mojego ojca, on już na nim nie może jeździć”. To nie to samo co „już go nie potrzebuje”. Najpierw dojenie, potem pójść na górę. Zawsze najpierw te przekłete krowy. Ciągłe tylko z łbem pod krowami jak jakiś debil, nawet jak się wie, że twój ojciec umiera w łóżku.

Ludzie zawsze chcą wiedzieć, na co ktoś umarł, choć ciekawość się zmniejsza, im starszy był zmarły. Ale komu mogę opowiedzieć, że ojciec umarł na jajko? Lekarzowi domowemu, do którego zaraz zadzwonię? Właścicielowi zakładu pogrzebowego? Ludziom, których ledwo co znam lub w ogóle nie? Mimowolnie się uśmiecham, ale nagle tykanie zegara tak zaczyna mnie irytować, że otwieram szklane drzwiczki i obiema rękami chwytam wahadło, by wstrzymać jego ruch.

Potem siadam na krześle pod oknem. Na osice otworzyły się pąki, delikatne fioletowo-zielone piórka lekko trzepoczą na wietrze. Jest jeszcze wczesnie, wskazówki stojącego zegara zatrzymały się na pół do dziesiątej. Jeszcze nie mogę na niego popatrzeć, najpierw chwilę posiedzę tu, na krześle, wpatrując się poprzez osikowe pióra w groblę.

Zdjąłem zdjęcie Henka ze ściany w pokoju ojca i postawiłem na kominku, po drugiej stronie lustra. Fotografia tkwi w starej ramce, którą można albo powiesić, albo postawić. Mój brat w nowiuteńkim kombinezonie siedzi na stołeczku do dojenia obok grubokościstego zadka i spogląda tak, jakby nie było na świecie piękniejszego zajęcia od dojenia krowy, Teraz jesteśmy wszyscy razem w salonie.

Dzisiaj rano zostawiłem ojca samego, by pojechać do trafiki w Monnickendam. Czułem, że właściwie nie powinienem był tego robić, że nie mogę go tak zostawić w salonie. Dlatego przed wyjazdem zamknąłem na klucz drzwi do sieni i od frontu. Przede mną w trafice stało dwóch ludzi, a ja byłem zdenerwowany. Kiedy nadeszła moja kolej, a sprzedawczyni zapytała, co mi podać, nie zdążyłem porządnie się przyjrzeć półkom za jej plecami.

– Poproszę paczkę tytoniu na skręty – powiedziałem.

Na szczęście poza mną w sklepie nie było nikogo.

Oczywiście, a jaką markę? Nie wiedziałem.

Jaką markę zwykle paliłem?

Na prawo od jej biodra przeczytałem Van Nelle.

– Van Nelle – odpowiedziałem.

Mocne czy średnio mocne?

– Średnio mocne – poprosiłem, już nie na chybił trafił, bo nagle stanęła mi przed oczami prawie pusta paczka tytoniu na stoliku w domku parobka.

Bibułkę?

Oczywiście Mascotte – za pierwszym razem leżały obok paczki tytoniu, a później widziałem je w jego dłoniach, jak po rozwinięciu zsypywał na nie wprawnym ruchem tytoń z paczki.

– No więc, zdecydował się pan już na jakieś? – zapytała sprzedawczyni.

– Mascotte – poprosiłem.

Razem cztery euro i osiem centów. Aż się przestraszyłem, nie miałem pojęcia, że tytoń jest taki drogi.

Potem przeszukałem papiery w biurku ojca i znalazłem list od Zarządu Lasów

Państwowych. Ułożyłem go na stosie innych listów i zamierzam niedługo, choć jeszcze nie teraz, kolejny raz porządnie przeczytać. A potem na niego odpowiedzieć. Drugi tom historii literatury Lodewicka ciągle leżał na blacie biurka. Już go nie potrzebowałem. Poszedłem do pokoju Henka i wsadziłem książkę do kartonu – który wciąż stał na toalecie matki. Pudło na nowo starannie zakleiłem taśmą klejącą i wstawiłem do szafy.

Wczoraj wieczorem zamknąłem na klucz wszystkie drzwi i pojechałem samochodem na prom. Kiedy tam dotarłem, zaczęło się zmierzchać. Pomyślałem sobie, że Henk wszedł pieszo na prom – po co byłby mu rower po drugiej stronie? „Wystarczy tylko przejść przez ulicę i jest się na stacji. Chciałem zabrać z powrotem rower ojca. Henk by go nie przypiął (o ile jeszcze wisiała na nim obejma, nie byłem pewien), bo co ci po kluczyku do obejmy, skoro nie ma się już roweru? Pojeździłem wokoło, ale z samochodu wszystkie rowery wyglądały tak samo. Stało ich mniej, niż się spodziewałem. Potem przeszedłem dwa razy obok stojaka na rowery. Ojcowskiego wśród nich nie było. Czy Henk zabrał go ze sobą na prom? Nie, ktoś go musiał ukraść. Po odjeździe promu stałem jeszcze chwilę nad IJ. Przeciwległy brzeg był biały od statków, statków, którymi starzy ludzie płynęli w dół rzeki. Zastanawiałem się, czemu Rita nie zadzwoniła. A może dzwoniła, ale nie było mnie w domu? Teraz też mnie w nim nie było. Wyobraziłem sobie sień i w myślach usłyszałem dzwonienie telefonu. Dzwoniący telefon w domu, w którym nie ma nikogo, kto by go odebrał. Gdy podpłynął do mnie prom, uznałem, że czas wracać.

Zeszłej nocy ostatnie jagnię. Trzydzieści jeden młodych na dwadzieścia owiec.

W końcu udało mi się zrobić skręta, który jako tako wyglądał. Powinienem być kupić dwie pacuszki bibułek. Obracam go w palcach. Włącza się klimatyzacja, ojcem lekko wstrząsa. O tym, że gdy włącza się chłodzenie, zmarły zaczyna się trząść – nie uprzedzali. Siedzę na stołku kuchennym przy trumnie, sam nie wiem, gdzie indziej miałbym usiąść. Pudełeczko zapalek leży na krawędzi trumny. Zapalam skręta. „Ale z ciebie dziwadło”, powiedział. Kiedy to było? Przedwczoraj? Trzy dni temu? Wszystko wygląda inaczej, gdy w salonie stoi trumna. Zastanawiam się, czy to stosowne, by żaluzje były odsłonięte. W każdym razie, gdy Henk tu leżał, zasłony były do połowy zasłonięte. Już nie pamiętam, jak wisiały zasłony przy matce. No tak, ale nie będę przecież siedzieć za opuszczonymi żaluzjami. Jutro jest niedziela, a w poniedziałek też będzie wolne. Dwie niedziele po sobie. Wielkanoc.

Bardzo ostrożnie zaciągam się dymem skręta. Lepszy, niż się spodziewałem. Wydycham przez nos i po raz pierwszy w życiu z dziurek od nosa wydobywa mi się dym.

Ktoś wchodzi do komory.

– Macie być cicho – mówi, otwierając drzwi między komorą a sienią. – Co ty robisz? – pyta zaskoczona.

– O co ci chodzi?

– Palisz!

Przyglądam się skrętowi w mojej dłoni, a potem gaszę go w popielniczce ustawionej na oparciu kanapy. Wstaję, Ada nic więcej nie mówi. Podchodzi do mnie i obejmuje mnie ramionami. Jej włosy ładnie i świeżo pachną; przyciska palce do moich łopatek. Teun i Ronald wytrzeszczają na mnie oczy. Puszczam do nich oczko ponad ramieniem Ady. Ronaldowi się to podoba, zaczyna się uśmiechać. Teun nie przestaje patrzeć poważnie. Ada mnie puszcza, a jednocześnie wyciska mi na ustach mokry pocałunek. Następnie patrzy na trumnę.

– Zaparzę kawę – mówi.

Choć Ada to Ada, od dnia, w którym przyniosła mi dywanik, a Henk dostał od Teuna plakat piosenkarki, której imienia zapomniałem, nic już nie jest takie samo. Teraz idzie do kuchni.

– Jak chcecie, możecie popatrzeć – zwraca się po drodze do swoich synów.

Teun i Ronald bardzo powoli podchodzą do trumny. Teun zatrzymuje się przed nią i udaje, że patrzy. Ronald podchodzi nieco bliżej. Jest niewysoki i musi wspiąć się na palce, by zajrzeć ponad krawędź.

– Boisz się? – pyta.

– Nie – odpowiadam. – A ty?

– Trochę.

– Kiedy będzie pogrzeb? – wola z kuchni Ada.

– We wtorek – odkrzykuję. – Nie widać po tobie – odpowiadam Ronaldowi.

– A płakałeś?

– Nie.

– Mogę się na coś przydać? – woła z kuchni Ada.

– Czemu nie? – pyta Ronald.

– Cóż... – odpowiadam. – Albo się płacze, albo się nie płacze, niewiele można na to

poradzić.

– Dlaczego on umarł?

– Zjadł jajko, Ronald.

Chłopiec wybucha śmiechem.

– Przecież ja jem jajka, a nie umieram!

– Nie, na szczęście – odpowiadam. – Chodźcie, usiądźcie my w kuchni. Macie ochotę na ciastka z nadzieniem migdałowym?

– Tak! – woła Ronald.

– Poproszę – mówi grzecznie Teun.

Przechodzimy do kuchni. Kawa sączy się przez filtr, pyrkanie zagłusza szmer elektrycznego zegara. Ada przygotowała dwa kubki. Wyjmuję z kredensu paczkę ciastek z nadzieniem migdałowym i rozdieram opakowanie.

– Cieszę się po prostu, że przyszłaś – mówię do Ady w odpowiedzi na jej pytanie.

– Oczywiście, dlaczego miałabym nie przyjść – odpowiada, niemalże z oburzeniem. – I jutro też przyjdę! Okropne, akurat jak przyszła Wielkanoc, tyle wolnych dni. Musisz przyjść do nas na kolację, zadzwonię też do mleczarni, żeby w zastępstwie przysłali kogoś do dojenia, co? Wim także chciał przyjść, ale coś się zepsuło przy chłodzeniu zbiornika na mleko i musiał zostać, żeby jak przyjedzie dostawca...

– Teraz ci się chce płakać – stwierdza Ronald. – Widzę to.

Nic nie odpowiadam. Chłopcy siedzą razem na jednym krześle, bo czwarte krzesło kuchenne stoi w salonie.

– Henk wyjechał? – pyta Ronald.

– Tak, już go nie ma.

– Dlaczego wyjechał?

– Wystarczająco długo tu był – wyjaśniam.

– Wrócił do Brabancji, gdzie mieszka jego mama?

– Ronald – odzywa się Teun z pełnymi ustami – zamknij się na chwilę.

Naprawdę się cieszę, że przyszli.

Ada, Teun i Ronald sobie poszli, w domu znowu zrobiło się cicho, ale inaczej cicho. Lepiej cicho. Nie chcę znowu siedzieć na krześle kuchennym przy trumnie. Wychodzę na zewnątrz przez komorę i oborę. Zbliża się pora wyganiania krów na pastwisko. Zaglądam na

chwilę do owiec, a potem idę do kurnika. Przed boksem osłów stoją taczki. Właściwie powinienem wywieźć z niego gnój. Nie teraz. Wracam do środka i wyjmuję lornetkę z biurka. Ustawiam się wygodnie przed bocznym oknem i przykładam ją do oczu. Pięćset metrów dalej stoi Ada. Na mój widok natychmiast podnosi dłoń i macha. Drugą dłonią gestykuluje. Teun i Ronald wchodzą mi w obraz. Oni również podnoszą dłonie. Odmachuję im i opuszczam lornetkę. Jeszcze chwilę stoję w oknie, z lornetką na wysokości piersi. Jeszcze chwilę pozwalam im się w tej pozycji oglądać. Jak długo już tam stała? Z ulgą odkładam lornetkę na stół. Znowu może w dobrym nastroju przyłączyć tutaj zarządzać tym majdanem. Po wypaleniu jeszcze jednego skręta przy trumnie wychodzę na zewnątrz przez drzwi od frontu. Wędruję na mostek i opieram się o balustradę. Wrona siwa na gałęzi przestąpiła parę kroków w bok i odwróciła się razem ze mną. Patrzy na mnie. Ja na nią. Aż kątem oka dostrzegam samochód, który podjeżdża pod domek parobka. Z samochodu wychodzi mężczyzna. Jest posępnie i szaro i ani śladu rowerzystów korzystających z ładnej pogody. Po kanale brodzi spore stado tysek. Mężczyzna z samochodu przechodzi pod magnolię. Chwyta jedną gałąź i potrząsa nią. Potem rusza w stronę połówki ściany. Od jakiegoś już czasu stoi jak wryty, wpatrując się w przestrzeń wymaglinowanych schodów, gdy odrywam się od balustrady i wstępuję na drogę. Osły podchodzą do nowego ogrodzenia i odprowadzają mnie do dawnego domku parobka. Przybysz odwraca się, gdy słyszy że nadchodzę. To starszy człowiek o pooranej zmarszczkami twarzy. O nietutejszym obliczu.

– Helmer – mówi.

– Myślałem, że jesteś* kimś z Zarządu Lasów Państwowych – odzywam się.

– A ja nie wiedziałem, czy mogę się ciebie tutaj spodziewać – odpowiada.

– Henk umarł – mówię.

– Naprawdę? – dziwi się. – Kiedy?

– W kwietniu sześćdziesiątego siódmego roku.

– To dawno temu. A teraz ty jesteś gospodarzem.

– Tak. Matka też umarła, a ojciec leży w salonie.

Mruży oczy. To dużo zmarłych jak na jeden raz. Potem się odwraca.

– A domek parobka się spalił.

– Tak – mówię do jego pleców. – Amsterdamczycy. Dacza. Wstrząsa mną dreszcz, wyszedłem na dwór bez kurtki. Jeszcze chwilę stoi i patrzy, a potem znów odwraca się do mnie. Kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Chodź – mówi. – Pożegnaj się z twoim ojcem.

Rusza do samochodu. Kroczy wyprostowany, nie stracił nic z dawnego uporu. Idę za nim i siadam na miejscu pasażera. Zapala silnik i wycofuje na drogę. Jedziemy powoli na południowy zachód.

– Pachnie tu psem – mówię.

Tyle potrafię wyczuć, chociaż nigdy nie mieliśmy psa.

Patrzy na mnie i się uśmiecha.

– Zawsze jeździł na miejscu, na którym teraz siedzisz.

Ponieważ na mnie patrzy, dostrzega osły.

– To twoje osły?

Przytakuję ruchem głowy.

Znowu się uśmiecha.

– Tak – odzywa się. – Z ciebie to prawdziwy oślarz.

Jest tutaj wydma, która nosi nazwę Heather Hill. Dawno temu przybył na to wybrzeże bogaty Anglik. Kazał zbudować na najwyższej wydmie wielki dom, założyć ogród z wodotryskami, kamiennymi murkami i ścieżkami. Ponieważ całą wydnię przed jego przybyciem porastał wrzos, nazwał swoją posiadłość Heather Hill – Wrzosowym Wzgórzem. Utonął, kąpiąc się w morzu, a domu już od dawna nie ma. Z ogrodu pozostała jedynie zamulona sadzawka i parę krzewów. Pasą się tutaj owce nieznannej mi rasy, o ciemnych łbach i długich, obwisłych uszach. Są znacznie bardziej oswojone niż moje owce, przywykły do ludzi, którzy przyjeżdżają tutaj na spacerunki albo żeby popływać. Od strony morza wydma tworzy klif: pionowe osuwisko opadające na wąską kamienistą plażę. To nie jest Morze Północne. Nie ma tu łysych wydm, z trudem utrzymywanych przez nasadzone trawy piaskownice, z powykręcanyymi przez wichry sosnami. Tutaj trawa rośnie prawie do samej wody, a nawet buki i dęby wytrzymują w odległości do dziesięciu metrów od linii brzegu. Spróbowałem wody, jest niezdatna do picia, nieco bardziej słona od wody jeziora IJssel. Znam na pamięć prawie całą mapę Danii, a na pewno Sjaelland, ale Rågeleje nie znam, a właśnie tu dotarliśmy. Trudno byłoby się zresztą tego domyślić, słysząc, jak tutejsi Duńczycy wymawiają nazwę swojej miejscowości. Duński to dziwny, niechlujny język. Nic a nic z niego nie rozumiem, on twierdzi, że coś tam kapuje. Zapytałem, jak to możliwe.

–Jestem Fryzjczykiem – mówi.

O Angliku opowiedział mu właściciel grilla Heather Hill znajdującego się na parkingu przy nadmorskiej drodze, ale równie dobrze rzeczywistość mogła wyglądać zupełnie inaczej. Często chodzimy tam na kiełbasę. Duńczycy przepadają za kiełbasą.

Codziennie pływamy. Woda jest zimna, ale przejrzysta. Co trzy dni musimy na nowo odrzucać na bok kamienie, które uprzątnęliśmy, żeby wygodnie wejść do wody. Zawsze pływamy w tym samym miejscu, na końcu ścieżki, która wzdłuż Heather Hill prowadzi z nadmorskiej drogi na kamienistą plażę. Z drogi przechodzimy przez samozamykającą się furtkę, a potem przez drugą, tuż przed plażą. Owce muszą paść się na Heather Hill – zżerają samosiejki brzoź i dzięki nim trawa jest krótka. Na kamienistej plaży jest spokojnie, Duńczycy nie mają jeszcze wakacji. Kiedy spoglądamy na prawo, a dzień jest jasny, widzimy w oddali

wybrzeże Szwecji.

– Musimy się kiedyś tam wybrać – mówi.

Ja przytakuję. Elsenor nie jest daleko, stamtąd wyruszają statki do Helsingborgu. Ponad klifem szybują wrony siwe. Nie poruszają skrzydłami, unoszą się na kominach powietrznych, nie posuwając się do przodu. Na weekendy wrony siwe znikają. Wtedy to z klifu skaczą mężczyźni i kobiety na spadochronach. Czasem odlatują wiele kilometrów stąd, nim zawrócą i znowu lądują na szczycie Heather Hill. Wysokość wydm określa poziom, na jaki się wznoszą. Pływamy nago, prawie nigdy nikt tu nie przychodzi, a jak już się ktoś pojawi, nic sobie z tego nie robimy.

– Jesteśmy na to za starzy – mówi.

Przytakuję i jak dwa szczeniaki w basenie komentujemy nawzajem swoje worki mosznowe, które kurczą się pod wpływem zimnej wody. Nie może się powstrzymać przed udzielaniem mi wskazówek. „Palce przy sobie” albo „weź no ruszaj tymi nogami”. Potem, żeby się rozgrzać, w ogrodzie domku letniskowego rozgrywamy nieco sztywno (on trochę sztywniej ode mnie) partyjkę badmintonu. To on zdjął raketki i lotki z półki w Sparzę. Ja za nie zapłaciłem.

Ojciec leżał w domu cztery noce. Ani razu go nie dotknąłem.

Kiedy wszedł do salonu, natychmiast usiadł na krześle kuchennym obok trumny. Ja zostałem przy drzwiach. Być może na widok popielniczki na poręczu kanapy skręcił papierosa. Pałac, patrzył na ojca. Z ojca przeniósł wzrok na zdjęcia na kominku.

– Na swój sposób była ładną kobietą – powiedział, skinieniem głowy wskazując nobliwe zdjęcie matki. – Według mnie niewiele osób to dostrzegало.

W pokoju zawisła pozioma warstwa dymu. Ani razu mi to nie wyszło, kiedy paliłem, siedząc obok trumny.

– Jesteś sam? – zapytał.

– Tak.

– Wygląda tu zupełnie inaczej niż dawniej.

– Parę miesięcy temu nieco pozmieniałem.

– Tak niedawno?

– No.

Zaciągnął się kilka razy głęboko swoim skrzętem, a potem jeszcze raz wskazał brodą

w stronę kominka.

– Zmarły brat – powiedział.

Zgasił skręta i swobodnym ruchem przyłożył dłoń wierzchem palców do czoła ojca. Potem wstał i uścisnął mi dłoń – palcami, którymi dotknął zimnego ciała.

– Twój ojciec nie żyje, Helmerze – powiedział.

Nie pocałował mnie w usta, mimo że teraz naprawdę ktoś mi zmarł.

I jakbym tego sam jeszcze nie wiedział: ładna matka, zmarły brat, zmarły ojciec. Dwadzieścia krów, parę cieląt, dwa bezimienne osły, dwadzieścia owiec, trzydzieści jeden jagniąt i parę lakenfelderek.

– Pachnie kawą? – zapytał i przeszedł przez sień do kuchni. Tam nie usiadł na pierwszym lepszym krześle. Obszedł stół i zajął miejsce plecami do bocznego okna, Na krześle Henka. Bębnił palcami po blacie kuchennym, jakby niecierpliwie czekał, aż podam mu kawę. Patrzył z lekkim niedowierzaniem na kubki, z których piliśmy z Adą, na rozerwaną paczkę ciastek z nadzieniem migdałowym, na lornetkę. Powiedział, że pierwszy raz siedzi przy stole kuchennym. Stałem wciąż w drzwiach salonu i przenosiłem wzrok z bębniących palców na czoło ojca, a z czoła ojca na swoją dłoń.

Nie od razu nalałem mu filiżankę kawy. Stałem przy bocznym oknie. Wrona siwa gapiła się na mnie ze swojej stałej gałęzi. Opuściła nieco łeb i wyglądała, jakby wzruszała ramionami. Ciekawe, czy ptaki mają ramiona, czy można nazwać ramionami czubki złożonych skrzydeł. Przypomina zwierzę, które potrafi się skradać, kotowate stworzenie. Ptaszysko siedziało już od jesieni zeszłego roku, czasem o nim zapomniałem, czasem je dostrzegałem, a tego dnia jakbym zobaczył je po raz pierwszy. Było to wtedy, gdy przesiadałem się z krzesła na krzesło, co sprawiało wrażenie, że próbuję być całą czwórką, by nie musieć jeść samotnie. Wrona wzruszyła ramionami jeszcze wyraźniej i opadła. Rozłożyła skrzydła dopiero wtedy, gdy już prawie miała dotknąć ziemi. Cofnąłem się o krok; wyglądała, jakby zamierzała przefrunąć przez szybę. W ostrym skręcie, jaki musiała wykonać, musnęła ją czubkiem skrzydła. A potem wzbiła się do lotu. Poszybowała w kierunku grobli, w stronę jeziora IJssel. Odprowadzałem ją wzrokiem, aż oczy nabiegły mi łzami.

Odchrząknął. Odwróciłem się. Tak, chętnie napije się kawy, z cukrem, bez mleka, i nie, takiego ciastka z migdałami też nie odmówi.

Śmierć to śmierć. Koniec kropka i będę miał święty spokój. Dlatego nie byłem jedynym

uczestnikiem pogrzebu ojca. Pochówek nie ma służyć zmarłemu, ale tym, którzy go przeżyli; uznałem za egoistyczne ze strony ojca, że chciał zostać pochowany chyłkiem. Przybył Jaap, Ada z chłopcami (Wim nie, nie znosi śmierci, a poza tym miał coś innego, ważniejszego, do roboty) i młody kierowca cysterny mleczarskiej.

– Skąd wie... – zacząłem, zaś Ada, która stała za jego plecami, wyprostowała mały palec i kciuk, imitując kształt słuchawki telefonu, którą przyłożyła sobie do ucha i ust.

Wzruszyła usprawiedliwiająco ramionami i przekrzywiła lekko głowę.

– Solidarność to ważna sprawa – odezwał się młody kierowca do Jaapa.

– Masz zupełną słuszność, chłopcze – ten mu odpowiedział.

Nie przeszkadzało mi to, ale zaczynałem podejrzewać, że uczestnictwo w licznych pogrzebach powoli staje się dla młodego kierowcy rytuałem. Co jednak jest jakimś tam zboczeniem. Znowu na dnie dołu leżała biała płyta – na pierwszy rzut oka z dykty – która nie była dnem. Długo to nie trwało, nikt nie przemawiał. Świeciło słońce i panowała temperatura typowa dla końca kwietnia. Rzuciłem ziemię do dołu. Nie garść, ale zawartość łopaty. To mi się mianowicie podoba na pogrzebach. Garstka ziemi rozpada się, zanim spadnie na trumnę – jak dla mnie to żadne podsumowanie. Jedynie Ronald poszedł moim śladem.

– Odpowiada ci nowy kierowca? – zapytał Galtjo, gdy siedzieliśmy później w kuchni. Ada nastawiła kawę, a ja przywiozłem od piekarza w Monnickendam zameczki. Wszystko na cześć ojca. Dla mężczyzn była też jałowcówka. Teun i Ronald pili coś gazowanego.

– Za bardzo wyszczekana jak na mój gust – odparłem.

– Tak – przytaknął, jak zwykle się uśmiechając. – Nie pierwszy raz to słyszę.

Jego uśmiech już mnie nie rozczulał.

– A wy też jesteście chłopcami? – zapytał Jaap Teuna i Ronalda.

– Chłopcami – poprawił go Teun.

To, co mnie zaskoczyło, to liczba kartek, które leżały w zielonej skrzynce na listy przy drodze, w dniach po ukazaniu się nekrologu w gazecie. Kilkadziesiąt. Od handlarza byłem, który dwa dni po pogrzebie wrócił z Nowej Zelandii. Przyszła nawet kartka od Klaasa van Baalena, tego gospodarza, który był dokładnie w tym samym wieku co ja, a któremu odebrano owce, bo tak je zaniedbał. Od rodziców Jamo Kopera i wdowy po starym kierowcy cysterny. I oczywiście od przeróżnych dalekich członków rodziny, prakuzynów i prakuzynek, z których żadne nie nosiło nazwiska Van Wonderen, a ja żadnego nie znałem.

Do Rity i Henka specjalnie wysłałem kartkę, bo w dalekiej Brabancji oczywiście nie mogli przeczytać naszej gazety. Rita nie dała znaku życia, choć właśnie od niej spodziewałem się otrzymać niezbyt – dla siebie – przyjazną kartkę. Nie zdziwiłoby mnie, gdybym już nigdy więcej nie miał od niej wiadomości. Henk przysłał pocztówkę.

Wiedziałem już o tym – napisał na odwrocie – i bardzo mi przykro, bo on był miłym człowiekiem. Jeżdżę teraz na jego rowerze. Wziąłem go ze sobą, bo nie mostem go przypiąć, a by go ukradli. Więc od czasu do czasu o nim myślę.

Pozdrowienia

Henk

Aż się uśmiechnąłem na widok kartki, którą wybrał – przedstawiała wieżę ze zwierząt: osła, psa, kota i koguta.

– Jaka ładna – powiedziała Ada. – To *Muzykanci z Bremy*.

Bajka braci Grimm.

Zwłaszcza ten osioł był ładny. Nie wyciągnął pierwszej kartki z brzegu. Wydaje mi się.

Dwa tygodnie temu skończyłem pięćdziesiąt sześć lat. W Niemczech. On chciał jechać przez tamę zamykającą jezioro IJssel, ja – przez nowe poldery. Ponieważ opel kadett na pewno w połowie drogi do Danii by kipnął, pojechaliśmy jego samochodem przez tamę zamykającą. Przy pomniku (byliśmy już od godziny w drodze) zatrzymał się na poboczu. Wypaliliśmy obaj po średnio mocnym Van Nelle, spoglądając na Morze Wattowe. Potem pojechaliśmy do niego do domu, do małej wioski nad Leeuwarden. Pokazał mi szopę, w której wykonuje swoje tablice w kształcie sów zwieńczające kalenice; sprzedaje je w całej Fryzji, nie musząc ich reklamować.

– A myślałeś, że z czego kupuję swoją jałowcówkę? – powiedział, nalewając dwa kieliszki. – Z emerytury?

Zabrał mnie też w miejsce, gdzie leżał pochowany jego pies. W rogu ogrodu, pod sękatą gruszą, która już dawno przekwitła. Zespawał dwa kawałki metalu w krzyż i wbił go w ziemię. Wzruszona gleba wciąż tworzyła kopczyk. W jego salonie stała duża biblioteczka. Książek w niej było co najmniej dwa razy tyle co na półkach w domku parobka. Nalał mi jeszcze spory kieliszek jałowcówki. Sobie nie, bo miał prowadzić. Wypiłem ją jednym

haustem, nie chciałem być we Fryzji, ciągnęło mnie dalej na północ.

Minąwszy Nieuweschans, tuż za granicą, znowu się zatrzymaliśmy, bo zgłódniał.

– Teraz coś zjemy, Oślarzu – powiedział.

Nie miałem nic przeciwko temu.

Jak się człowiek zaweźmie, spokojnie w ciągu jednego dnia dojedzie do Danii, to niewiele ponad siedemset kilometrów. My jednak nie kontynuowaliśmy podróży, ale zatrzymaliśmy się na noc za Hamburgiem w Raststätte.

– *Doppelzimmer?* – zapytała znudzona kobieta z recepcji.

– *Ja, klar* – odpowiedział. – *Das ist billiger, was?*¹

W potężnym łóżku obaj leżeliśmy na plecach, ja ze splecionymi rękami na brzuchu. W jakiej pozycji on leżał, nie wiedziałem. Kiedy się obudziłem, był dzień moich urodzin. Chciałem to pominąć milczeniem, ale na próżno. Zapamiętał to sobie. Jak to możliwe? – chciałem się dowiedzieć.

– Jakieś trzynaście lat z rzędu nie byłem zapraszany na wasze urodziny – powiedział. – Myślisz, że coś takiego można zapomnieć? Ja zwyczajnie byłem w robocie, podczas gdy wyście biegali uradowani w papierowych kapelusikach, a nawet stawaliście przede mną i wołaliście z dumą: „Mamy urodziny!”.

Ja tego nie pamiętam. Skoro tak mówi, musiało tak to wyglądać.

Czasem zapominam, że znał mnie jako smarkacza. Czasem zapominam też, że zatrudnił się do pracy u ojca, kiedy sam był jeszcze chłopcem. Mniej więcej w wieku Henka.

Statek odbił z Puttgarden i przybił do brzegu w Rødby. Rejs trwał tylko trzy kwadransy. Zjechałem samochodem z promu i natychmiast chciałem się zatrzymać na poboczu drogi.

– Co robisz, Oślarzu? – zapytał.

Odpowiedziałem, że jesteśmy w Danii i że właśnie chcę ją poczuć pod własnymi nogami.

– Danii jest o wiele więcej – zauważył. – Tylko że dalej.

Jadąc, odniosłem wrażenie, że już kiedyś tu byłem, znałem prawie wszystkie nazwy miejscowości wypisane na tablicach. Przed Kopenhagą poszliśmy kupić coś do jedzenia na stacji benzynowej i wtedy odkryliśmy, że w Danii nie możemy płacić euro. Chłopak w kasie jednak je przyjął, ale wydaje mi się, że niezbyt chętnie. Za Kopenhagą („O wiele za duża –

¹ – Podwójny pokój?

– Oczywiście. To przecież taniej, prawda? (niem.)

skwitował. – O wiele za ruchliwa, jedziemy dalej”) po raz pierwszy w życiu włożyłem do bankomatu swoją kartę, wklepałem swój PIN, a następnie wyciągnąłem odpowiednią kwotę w koronach. On nie miał karty bankomatowej albo jej nie zabrał. Ja za wszystko zapłacę. Ponieważ nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy, postanowiliśmy jechać do oporu, aż już dłużej nie będziemy mogli. Tak dojechaliśmy do tej wioski o nazwie nie do wymówienia.

Teren łagodnie się tu obniża i nie ma kanałów. Prawie też nie widać krów, podobno trzyma się je tylko na Jutlandii. Gdzie osiadł Jamo Koper. Jeśli od czasu do czasu napotyka się jakąś krowę, przeważnie jest brązowa.

– Na mięso – burczy wtedy i odwracamy wzrok.

Na polach rośnie pszenica, jęczmień i żyto. I rzepak, całe pagórki pokryte kwitnącym na żółto rzepakiem, okolone trybulą leśną. Parę dni temu zobaczyłem w jakimś ogrodzie kwitnący rododendron i fioletowy bez obok paru czerwonych tulipanów. Wydaje się, że tutaj wszystko kwitnie jednocześnie. Kiedy zaczyna zapadać zmrok, rozlega się smutny krzyk puszczyka.

Śmierć to śmierć. Koniec kropka i będę miał święty spokój. Nowy handlarz byłem przybył jak na zawołanie. Przyjechał w ciężarówce starego, którą, jak powiedział, udało mu się korzystnie przejąć. Był młodym zawiadaczem; ciężarówka miała rysy i wgniecenia, jakich dwa miesiące wcześniej jeszcze na niej nie było. A do tego chojrakiem. Od pierwszej chwili zwracał się do mnie na ty. Zapytałem go, czy niedługo będzie mógł się pozbyć dwudziestu krów, paru cieląt, dwudziestu owiec i całej baterii jagniąt.

– Spokojnie! – zawołał.

– No to jak się do tego zabierzesz?

– Zobaczę.

– To by musiało stać się szybko, najlepiej za jednym posiedzeniem.

– Zostaw to mnie.

Kiedy szedł do ciężarówki, coś sobie jeszcze przypomniał. Wrócił.

– A kwota mleczna?

– To ciebie nie dotyczy.

– Dobra, dobra.

Dwa dni później znowu wparował na podwórze. Z kamienną twarzą wymienił sumę.

– Ale tak to rozstaniesz się z nimi za jednym zamachem – natychmiast dorzuca. – I biorę całe ryzyko na siebie, muszę w krótkim czasie pozbyć się tych zwierząt, a nie mam wiele miejsca w oborze...

– Zmieniłem zdanie – przerywam.

– Co?

– Owce zostają, jagnięta też.

Mam wrażenie, że podczas rachowania jego oczy nieznacznie zmieniają odcień. Po jakimś czasie wymienia niższą kwotę.

– Ale fakt pozostaje faktem – dodaje – że to ja biorę na siebie ryzyko, a jak...

– Dobra – odpowiadam.

– Naprawdę? – nie może opanować zdumienia.

– Tak.

– O, w takim razie...

– Kiedy?

– Niedługo – mówi z coraz mniejszym tupetem. – Niedługo.

Dzień poprzedzający wywiezienie zwierząt spędziłem w sypialni ojca. Wszystkie zdjęcia, metryczki i akwarele grzybów ułożyłem porządnie w skrzynce na ziemniaki. Zdjąłem pościel z jego łóżka, wyprałem poszwy i prześcieradła, rozsunąłem zasłony, przetrarłem okno ściereczką, odkurzyłem niebieską wykładzinę. Kiedy wsunąłem pod łóżko rurę odkurzacza, zasysacz prawie się zakrztusił wierszem, który wciąż tam leżał.

Dziwadło. „Ale z ciebie dziwadło”, powiedział. W tamtej chwili zabrzmiało to w jego ustach jak wyraz sympatii.

Usiadłem na łóżku ojca i jeszcze raz przeczytałem tekst. Ogarnął mnie wstyd. Dawać do przeczytania wiersz takiemu staremu, zmordowanemu człowiekowi. Byle jak go złożyłem i schowałem do tylnej kieszeni. Tydzień później wyjąłem go w formie papierowej miazgi ze świeżo wypranych spodni. Wieczorem, kiedy już się trochę ściemniło, zajrzałem do obory. Było w niej puściej niż pusto; wszystko się w niej jeszcze znajdowało – słoma, obornik, kurz, ciepło – tylko krów już nie było. To samo w cielętniku. Nie, tam ziała jeszcze większa pustka, bo wchodząc do niego, zdążyłem dojrzeć ogon umykającego parszywego kota.

Dzień po tym napisałem pismo do Zarządu Lasów Państwowych. Powiadomiłem w nim, że w żadnym razie nie mam zamiaru sprzedawać kawałka gruntu, na którym zamierza on wybudować centrum turystyczne. I że byłbym wdzięczny, gdyby nie wysyłano mi żadnych

więcej pism, dopóki sam się z nimi nie skontaktuję. Do dnia naszego wyjazdu do Danii nie otrzymałem odpowiedzi. O co sam poprosiłem.

Poszedłem poszukać czegoś, w co mógłbym spakować rzeczy na drogę. W szafie w stodole znalazłem walizkę: stary, ciężki, skórzany grzmot. Namaściłem ją tłuszczem, by skóra nabrała trochę elastyczności. Odkąd od trzydziestu siedmiu lat siedzę z łbem pod krowami, ani razu nie byłem na wakacjach. Zastanawiam się, kiedy to, na Boga, ojciec z matką używali tego grata. Też nigdy nie jeździli na wakacje.

Byłem również w Robobanku, żeby zapytać o parę spraw. Jak się jedzie za granicę, trzeba mieć kartę bankomatową. Dwa tygodnie trwało, nim mi ją wyrobili. W tym czasie wyremontowałem kuchnię – wciąż nie wiem po co. Pomalowałem ją, wyrzuciłem stare zasłony i zawiesiłem żaluzje, opróżniłem biurko. Prawie że pojechałem do Monnickendam, żeby w sklepie z meblami kuchennymi obejrzeć nowe kuchnie.

– Robieś ognisko? – zapytał Ronald, który wpadł następnego dnia i za stajnią osłów trafił na tłący się stos.

– I nas nie zawołałeś? – oburzył się Teun, który z nim był.

Siedzimy na zewnątrz, na kafelkach pod zadaszeniem. W ciągu dnia padało, ale nie jest zimno. Ogród paruje, a bambus z boku domku letniskowego lekko ociera się o deski. Jedliśmy buraki i coś w rodzaju klopsów, które kupuje się gotowe w Sparzę. Do jedzenia piliśmy czerwone wino. W Danii wino jest drogie.

– Co będziemy jutro robić? – pytam.

– Co nam się żywnie podoba. Tylko najpierw wstaniemy i napijemy się kawy.

Zapytałem go o jego nos, rodziców, o Fryzję, o jego psa. O to, jak trafił do ojca i matki.

– Ile ty masz pytań, Oślarzu – powiedział. – Chcesz czegoś ode mnie?

Tylko o psie zgodził się opowiedzieć. Zdechł krótko przed Nowym Rokiem. W pewną sobotę, tuż po jego powrocie z wieczoru karcianego z trzema kumplami. Usiadł na krześle, a pies złożył mu na kolanach swój stary łeb. W pewnej chwili psi łeb zaczął mu ciążyć, a on poczuł, że zatrzymał się przepływ krwi pod jego dłonią.

– Złożył się w kupkę – opowiadał – jak jakaś zabaweczka, jak taki ludzik, który się składa po naciśnięciu guziczka w pudełku, na którym stoi.

– Więc tam, we Fryzji, masz wielu przyjaciół? – zapytałem.

Westchnął i nic nie powiedział.

Wskazał na wilgotną czereśnię rosnącą pośrodku ogrodu.

– Musimy tu zostać co najmniej miesiąc.

– Nie ma sprawy – odparłem. – Lubię czereśnie.

Wchodzę do środka i nalewam kawy do dwóch filiżanek. Kiedy wracam, po czarnych chmurach nie ma już śladu. Znowu świeci słońce. Tutaj, na północy, bardzo późno zapada zmrok. Stawiam kawę na stoliku ogrodowym i kładę obok tabliczkę ciemnej czekolady.

– Dlaczego nie wziąłeś sobie nowego psa?

– Kiedyś trzeba sobie dać spokój.

– Jak to?

– Za każdym razem boli, kiedy zwierzę umiera.

– Ano tak.

– To dlatego, że żona jednego starego kumpla umarła. Przyszedł do mnie i wypił mi całą jałowcówkę, i gadał o tym, jak „nie chciał jej tracić” albo że „musiał pozwolić jej odejść”. Wściekłem się, ktoś umiera albo nie, i tu nie ma co chcieć albo nie chcieć. Mój pies czuł, że on się smuci, położył mu łeb na kolanach, a nigdy wcześniej tego nie robił. Facet zignorował psa. Nie mogę czegoś takiego znieść. Że ten zwierzak, zanim sam umarł, podjął wysiłek, by przyjaźnie unieść głowę do kogoś, kto się smucił, a ten na to nie zareagował. – Odłamał kawałek czekolady, położył sobie na języku i upił tyk kawy. Ma zamknięte usta, ale widzę, jak się ta czekolada topi.

– Przyjaciele – odezwał się po chwili z krzywym uśmiechem. – Czy to wystarczy? Kumple, by pograć w karty, schludny dom i ogród, kramarzenie w szopie, pies, jałowcówka i trochę pieniędzy w banku?

Nie miał już tego zęba, w którym kawałek był wyszczerbiony. Korona?

– A tak w ogóle to skąd wiedziałeś, że ojciec umarł? – zapytałem.

– W ogóle nie wiedziałem.

– Więc przypadkiem przejeżdżałeś akurat tamtego dnia.

– Tak.

– Przypadki nie istnieją.

– Oczywiście, że tak. Pomyślałem sobie: jadę, no i pojechałem. Chciałem zobaczyć, jak kwitną sady we Fryzji Zachodniej. Ale niewiele zobaczyłem, była mgła. Równie dobrze ja

mógłbym cię zapytać, dlaczego wyszedłeś z domu akurat wtedy, kiedy dojechałem do domku parobka.

Przypadkiem, myślę.

– Może bym nawet nie podjechał do zagrody, gdybyś do mnie nie podszedł – powtarza rytuał z czekoladą. W oddali zaczyna pokrzykiwać puszczyk. Po raz pierwszy otrzymuje odpowiedź, z bardzo bliska. – A wtedy, gdzie byś się teraz podziewał?

– Tak – mówię. – Gdzie bym się teraz podziewał.

Wpatrujemy się obaj w ogród. Myślę o Ricie i Henku. Małym Henku. Młodym kierowcy cysterny, handlarzu byłem (z którym miał jeszcze do czynienia), o Adzie. Zastanawiam się, co im opowiem, jeśli w ogóle. Nagle przestaje mnie interesować, co się działo między jego odejściem a powrotem. A nawet okres przed jego przyjazdu do nas. Co to za różnica? Jutro liczy się „tylko najpierw wstaniemy i napijemy się kawy”, a potem będziemy robić „co nam się żywnie podoba”.

– Właściwie to nigdy nie nauczyłem się, jak samodzielnie funkcjonować – mówię.

Powoli odwraca głowę w moją stronę.

– Najpierw wypij swoją kawę, Oślarzu. Najwyższy czas rozegrać partyjkę kart. – Wstaje i wchodzi do środka.

Ma rację, najwyższy czas, by rozegrać partyjkę kart. Skręcam średnio mocnego Van Nelle, zapalam, wstaję i z głową wciśniętą w ramiona ruszam na rundkę po ogrodzie. Wkładam paczkę tytoniu i bibułki do tylnej kieszeni spodni. Bardzo mi odpowiada palenie, pasuje do mnie. Nijak tego nie skomentował, być może myśli, że palę od dziesięcioleci. Zapalił lampę nad stołem. Nie żeby to było konieczne, tylko jest przyzwyczajony, że pali się nad karcianym stołem. Przychodzi mi do głowy, że mógłbym złapać tego puszczyka, tak blisko rozbrzmiewa smutny krzyk. Równie dobrze mogłaby to być zresztą uszatka albo pójdzka. Nie znam się na sowowatych; tutaj lasy są tak gęste jak puszcze, dlatego wydaje mi się, że to puszczyk. Krzyk ptaka jest jeszcze gorszy niż widok mokrych, kulawych owiec lub nieostrzyżonych owiec w czasie fali upałów. Wywołuje we mnie ssanie w okolicach mostka. Jakbym nie dość zjadł.

– To co, idziesz? – staje w progu, ale tak naprawdę w jego głosie nie ma zniecierpliwienia.

Nic nie mówię, unoszę dłoń.

Nazywa mnie Oślarzem. Teraz, kiedy po raz pierwszy w życiu rozstałem się z osłami.

Teun i Ronald obiecali, że dobrze się nimi zaopiekują. Nie za dużo buraków pastewnych, marchwi i starego chleba; do środka – tak, jak będzie padać; zawsze pilnować wielkiego cebra z wodą. („Ale wiadro wody jest naprawdę ciężkie, wiesz?” – uprzedził Ronald). Opiekują się też lakenfelderkami. Ada może piec z ich jajek ciasta i smażyć naleśniki. Teun codziennie robi obchód pastwiska owiec. Jest wystarczająco silny, by podnieść owcę, która się przewróciła, a może i dostatecznie silny, by jagnię, które wpadło do wody, wyciągnąć na suchy ląd. Jeśli nie, zawoła do tego swego ojca. Ada obiecała, że „raz na jakiś czas przejedzie odkurzaczem po domu” i „rzuci okiem na dobytek”. Chciała się dowiedzieć, jak długo mnie nie będzie. Odpowiedziałem, że nie wiem. Tuż przed moim wyjazdem przyszła, by w imieniu Wima zapytać, co zamierzam zrobić z kwotą mleczną.

– To jego szansa – powiedziała. – Nasza szansa – dodała.

Powiedziałem, że chcę się jeszcze nad tym zastanowić, i zapytałem, czemu Wim sam nie przyszedł zapytać, co zamierzam zrobić z kwotą mleczną.

Popatrzyła na mnie, jakby znowu chciała wymyślić jakiś pretekst dla niego, ale w końcu jednak odpowiedziała:

– Najzwyczajniej w świecie nie ma odwagi.

Trochę później zapytała, dlaczego nie pozbyłem się owiec.

– Nie mam pojęcia – przyznałem.

Oślarz. Nie mam nic przeciwko temu. Kiedy ktoś wołał mnie po imieniu – Helmer – zawsze poprzedzałem je w myślach zbitką „Henk i”. Zawsze. Niezależnie od tego, jak długo już nie żył, nasze imiona tworzyły jedno, jak C&A, Piotr i Paweł, jak Flip i Flap.

Może jednak Rita miała rację, gdy tamtego zimnego dnia w styczniu powiedziała na cmentarzu, że można stać się kimś nowym. Wtedy mnie to rozdrażniło, ta jej przemowa, ale jak się dobrze nad tym zastanowić, mogłem to już dostrzec w przejechanej kaczce. W krótkim czasie stała się kimś nowym. Kimś, kto zginął.

Nie, ani śladu po kablach elektrycznych uginających się pod szeregiem jaskótek. Stupy wciąż stoją, ale kable zniknęły. W szerokim promieniu faceci w pomarańczowych kamizelkach krzątają się przy grubych kablach, kopiąc wąskie rowy wzdłuż dróg. Gdybym przyjechał tu rok później, nawet bym nie wiedział, że w ogóle kiedyś stały tu słupy i zwiślały kable.

Wciąż wypatruję sowy. Stanowczo, palenie to zadumane zajęcie. Wypatrując i nasłuchując, myślę o czymś, ale nie mam świadomości o czym. Nie powiedziałem „idę”, uniosłem dłoń. To mogło znaczyć wszystko. Jaap usiadł na stołku pod oknem. Plecami do mnie. I on pali; siedzi skupiony i czeka, aż wejdę do środka. Wyrzucam niedopałek w trawę i rozdeptuję czubkiem buta. Ruszam wzdłuż jego samochodu do furtki, która stoi otwarta.

Kieruję się słońcem, które chwilami tracę z oczu między drzewami i innymi domkami letniskowymi. Panuje tu istny chaos ścieżek i niewyafaltowanych drózek. Po raz pierwszy przedostaję się między nimi pieszo, na skróty. Wszędzie poruszamy się samochodem, przeważnie Jaap prowadzi, bardzo wolno. Dwaj starsi panowie na wakacjach w obcym kraju, kto wie, czy jakiś starszy Duńczyk, który widzi nas wolniutko przejeżdżających, nie myśli sobie: „Ach, tacy sami, czyżby to wdowcy?”. Przed domkami znajdują się nieskazitelne trawniki. Wszędzie krzątają się Duńczycy z nożycami ogrodowymi, ręcznymi kosiarkami lub szuflami. Ja bym nie siał trawy, gdyby wcześniej w ciągu dnia popadało, ale cóż, nie jestem Duńczykiem. Pozdrawiają mnie: „Hej”. Pachnie tu żywicą i dymem drzewnym. Znajduję się daleko od domu, jestem za granicą, którą do tej pory znałem z płaskiej mapy, bez zapachów i kształtów. W pewnym sensie Oślarz bardziej podoba mi się jako imię niż Helmer. Ponieważ jest tutaj tyle ścieżek i drózek, jest również wiele skrzyżowań. Po otwartym polu chodzi kilka kuców islandzkich. Podchodzą do mnie, gdy maszeruję ścieżką odgrodzoną od nich drutem kolczastym. Nie zatrzymuję się, by je pogłaskać po chrapach. Denerwujące, że nie mogę przez cały czas iść prosto za słońcem, ale wciąż muszę wybierać między skręceniem w lewo lub w prawo, zanim znowu trafię w drózkę, która prowadzi na zachód.

– Hej – mówię do miło wyglądającej kobiety z psem, którą następnie po angielsku pytam o drogę.

W każdym razie zmierzam w dobrym kierunku. Przypomina mi matkę.

Miałem nadzieję, że wyjdę nagrill Heather Hill, ale nie udało mi się. Gdzieś w połowie drogi między wioską a Heather Hill dochodzę do świeżo wyafaltowanej szosy biegnącej wzdłuż brzegu. Nie ma ani chodnika, ani ścieżki rowerowej. Trochę dalej leży kemping, stoi na nim jeszcze niewiele namiotów i nikt nie skacze na trampolinach ustawionych na trawniku. Mija mnie pięć samochodów jadących z naprzeciwka, trzy – z przeciwnej strony.

Niebo barwi się już lekko na pomarańczowo, przyspieszam kroku. „Debil” to słowo, które mi się przypomina, gdy myślę o Henku, podczas gdy przez osiemnaście lat tyle innych słów zostało wypowiedzianych. Grill jest zamknięty, mały parking świeci pustką, przy drewnianych stołach nikt nie zajada kiełbasek (tutaj mówi się na nie poher). Skręcam w prawo i popycham furtkę z żerdzi. Parę minut później stoję na kamienistej plaży.

Podnoszę rękę do góry, by spomiędzy palców móc patrzeć na słońce. Unosi się ponad gładką jak lustro taflą wody na wysokość połowy wydmy. Na prawo, w oddali, stoją domy zbudowane na wydmie wioski. Przed nimi, na plaży, leży parę pomalowanych na jaskrawe kolory łodzi rybackich. Kompozycja pocztówkowa. Na lewo, w oddali, wyrasta z morza wysoki klif – wyższy niż Heather Hill; na nim kończy się kamienista plaża. Drewniane schody prowadzą z niej w górę, do pomalowanego na czarno domku letniskowego z werandą. Na plaży nie ma żywej duszy. Nie przelatuje ani jedna wrona siwa, nie widać nawet ruchliwych piaskowców. Ani jednego samolotu, ani jednego statku, żadnej platformy wiertniczej. Zdejmuję spodnie i ścieżką, którą dziś rano znowu musieliśmy uprzątnąć, schodzę kawałek do morza. Jestem jedynym w szerokim promieniu stworzeniem, które wydaje jakiś dźwięk. Za mną, myślę, bardzo daleko za mną leży jezioro IJssel, w którym nigdy nie może zajść słońce. Kiedy woda sięga mi do kolan, splatam ramiona i zwracam się nieco w lewo, do słońca, które teraz wisi bardzo nisko nad horyzontem. Kiedy jego dolna krawędź, jak gorący воск, zaczyna rozpuszczać się w wodzie, odwracam się i wspinam na klif. Siadam na szczycie Heather Hill i dopiero wtedy widzę swoje osamotnione pośród kamieni spodnie, niczym porzucone przez samobójcę.

Dzieje się to szybciej, niż bym sądził. To nawet nie słońce opuszcza się za horyzont, to bardziej woda morska połyka pomarańczową kulę. Czuję ciepły powiew powietrza na karku. Chwilę trwa, nim zdaję sobie sprawę, że to nie może być powietrze, wiatr nie wieje z taką systematycznością, krótkimi tchnieniami. Bardzo powoli się odwracam. Ledwie dwadzieścia centymetrów ode mnie, na wysokości mojej twarzy, zwiesza się ciemny łeb owcy z obwisłymi uszami. Wpatruje się we mnie nieporuszona żółtymi oczami, których źrenice nie są okrągłe, ale prawie prostokątne. Jej oddech pieści teraz moją twarz, pachnie ziołami. To nie jest przygnębiająca owca. To szlachetne zwierzę. Kiedy już dłużej nie mogę znieść wzroku jej żółtych oczu, odwracam głowę do przodu. Owca wciąż stoi. Wyobrażam sobie, że ona, tak jak i ja, patrzy na niebo nad morzem: niebieskie, pomarańczowe i żółte, a miejscami prawie

fioletowe. Mój oddech miesza się z ciepłym powietrzem, które w delikatnych wydechach ześlizguje się z mego karku.

Wiem, że muszę wstać, że w plątaninie ścieżek i niewybrukowanych drózek jest już ciemno, bo obrastają je jodły, brzozy i osiki. Ale wciąż spokojnie siedzę. Jestem sam.